60

Fryderyk hr. Skarbek.

ŻYCIE I PRZYPADKI

FAUSTYNA FELIKSA NA DODOSZACH

DODOSIŃSKIEGO.

WARSZAWA.
NAKŁAD I DRUK S. LEWENTALA.

1874.

321 985

88570

Дозволено Цензурою.

Варшава, 30 Августа, 1874 года.

Fryderyk hr. **Skarbek** (ur. 1792 r. w Toruniu, zm. w Warszawie 1866 r.), uczony i poeta, niespożyte w piśmiennictwie naszém położył zasługi swemi pracami naukowemi, jako ekonomista, oraz utworami fantazyi, głównie jako powieściopisarz i dramatyk. Po powrocie z zagranicy, dokąd w 1809 r. dla ostatecznego wykształcenia się wyjechał, wszedł do służby publicznéj w wydziale ministerstwa skarbu, za epoki księztwa Warszawskiego (r. 1811); wypadki 1813 r. atoli skłoniły go do opuszczenia stolicy i zamieszkania w wiejskiém ustroniu, dopóki go, w wieku jeszcze młodzieńczym, po założeniu w Warszawie nowego uniwersytetu nie spotkało zaszczytne wezwanie na katedrę professora ekonomii politycznéj. Dzieła takie, jak: „Elementarne zasady gospodarstwa narodowego“ (2 t., 1820) — „Nauka administracyi“ (2 t., 1821) — „Dykcyonarz ekonomii politycznéj“ (1828) — „Rys nauki finansów“ (1830), świadczyły, jak głęboko i po obywatelsku pojmował swój zawód nauczycielski. Po upadku „Pamiętnika Warszawskiego“, redagowanego przez Feliksa Bentkowskiego, objął redakcyę jego Skarbek, wspólnie z Brodzińskim i Skrodzkim, nadając pismu charakter wyłącznie już naukowy; jednocześnie wszakże, obok prac tak poważnéj natury, rad zbogacał niwę literacką utworami powieściowemi, z których zaraz najpierwsze: „Pan Antoni w szczęściu“ i „Podróż bez celu“, oba w rodzaju „Podróży Sentymentalnéj“ Sterne'a, zdradzały talent niepospolity, a zwłaszcza humor dobroduszną zaprawny satyrą. Więcéj samoistności wykazuje trzecia w tym samym humorystycznym kierunku powiastka, p. t. „Małe przyjemności życia“; — wyżéj przecież nierównie, niż w poprzedzających, wzniósł się Skarbek w późniéjszych trzech utworach powieściowych, osnutych na tle epoki księztwa Warszawskiego, mianowicie w „Panu Staroście“ (1826), w „Życiu i przypadkach Faustyna na Dodoszach Dodosińskiego“ (1838) i w „Pamiętnikach Seglasa“ (1845). Są to arcydzieła w swoim rodzaju, malujące z artystyczną wiernością czas i typowe jego postacie. Słabszemi natomiast są powieści historyczne autora, jego „Damian Ruszczyc“ i „Tarło“, w których zamierzone naśladownictwo Walter-Skota nie powiodło się jemu zupełnie. W roku 1860 ogłosił jeszcze drukiem dwutomowe „Dzieje księztwa Warszawskiego“.

Jako pisarz dramatyczny nie wzniósł się wprawdzie Skarbek na stanowisko mogące rywalizować z jego talentem powieściopisarskim, jednakże „Zofia Przybylanka“, „Czemuż nie byłam sierotą?“, „Biuraliści“, „Przez sen“, „Popas“ i niektóre inne jego sztuki, nacechowane są albo wyższą, zacną tendencyą, albo szczerym dowcipem — kilka z nich nawet wcale wyczerpującą charakterystyką. Wybór z utworów tych, ułożony przez autora, wyszedł 1847 r. p. t.: „Teatr Fryderyka hr. Skarbka“.

W zawodzie publicznym dosłużył się Skarbek stopni najwyższych; najpłodniejszym atoli pod względem pożytecznéj dla ogółu pracy był okres jego kierownictwa w dyrekcyi ubezpieczeń w Warszawie, a bardziéj jeszcze poruczanych mu kilkakrotnie badań nad więzieniami i pauperyzmem. Jego: „Théorie des richesses sociales“ (Paryż, 1830), w przekładzie polskim, p. t.: „Ogólne zasady nauki gospodarstwa narodowego“, zjednała mu miejsce zaszczytne pomiędzy ekonomistami, używającemi rozgłosu europejskiego. Niektóre jego powieści („Pan Starosta“, „Dodosiński“, „Podróż bez celu“, „Tarło“), przetłómaczone zostały na języki francuzki i niemiecki.

ŻYCIE I PRZYPADKI

FAUSTYNA FELIKSA NA DODOSZACH

DODOSIŃSKIEGO.

ŻYCIE I PRZYPADKI
FAUSTYNA FELIKSA NA DODOSZACH
DODOSIŃSKIEGO.

ROZDZIAŁ I.

S z k o ł a.

Na farnym zégarze biła godzina pierwsza po południu. Miasto było jak wymiecione, nikogo na ulicy, bo jedni dla upału nie śmieli wychodzić z domów, drudzy spoczywali po obiedzie, opędzając się w drzémaniu natarczywym muchom; a studenci, najgłówniejsi mieszkańcy Łowicza, nie wybierali się do szkoły, bo mieli jeszcze całą godzinę swobodnego próżnowania przed sobą. Na korytarzu szkolnym, w którym się przed godziną tak huczne rozlegały okrzyki, było teraz tak cicho, że echo sklepienia powtarzało sapanie śpiącego na ławie kalafaktora, a w izbie szkolnéj jeszcze ciszéj, gdzie tylko uwijające się po oknach osy i muchy jednostajny brzęk wydawały. Była-to w końcu korytarza długa sklepiona sala, w któréj tylko u góry widziano ślady pierwotnego bielenia; niżéj zaś, w równi z ławkami, wieszały się rozmaite kolory i cienie, to wylanego atramentu, to rysunków lubryką wykonanych, to odcisków od głów codzień w jedném miejscu o ścianę opieranych. Między dwoma rzędami ławek niegdy czarnych, a przez niezliczone snycerstwa i rzeźby w srokate zamienionych, było miejsce próżne, prowadzące do katedry naprzeciw drzwi umieszczonéj, do owego tronu, z którego *Pater* professor wyrocznie naukowe, wyroki dyscyplinarne, *damna* i *laudesy*, jako niegdy Jowisz z Olimpu, na zalęknionych studentów rozrzucał.

Obok téj katedry, po prawéj stronie, stała mała ławeczka z pulpitem do pisania, siedlisko dyktatora, owego pierwszego ucznia szkoły, który tę dostojność przez trafne rozwiązanie najtrudniejszéj kwestyi osiągnął, i który miał przywiléj wyłączny do dziesięć razy większych pochwał czyli laudesów, niż wszyscy inni studenci. Nad rzędem ławek po jego stronie stojących wisiała tablica z napisem: *Pars Romana* (*), a na niéj summy liczbami krédą wypisane, wyrażające ilość laudesów przez ten rzymski oddział szkoły uzyskanych. Naprzeciw niéj, nad lewym rzędem ławek, wisiała druga tablica z napisem: *Pars Graeca* (**), podobnemiż liczbami mniéj gęsto zapisana. Na czele obudwóch rzędów ławek, dwie na kijach osadzone tabliczki z napisem: *Imperator*, oznaczające miejsce honorowe pierwszego każdego oddziału studenta, który miał przywiléj przewodniczenia swym współuczniom przy każdym uroczystym pochodzie całéj szkoły. Bliżéj jeszcze na lewo przy piecu stała osobna ławka, a nad nią nieszczęśliwy napis: *Scamnum asinorum* (***); za nią na zapiecku stołek kalafaktora, a nad nim groźne narzędzia, które leniwym i tępym rozum napędzały do głowy, płaska *placenta* do uderzenia po dłoni i łokciowy twardy kańczug, insignia nieugiętego kalafaktora.

Ten urząd piastował teraz młodzieniec dwudziestoletni, który ze studenta infimy do retoryki na tę godność był wyniesiony. Twarz jego nie odpowiadała srogości powołania; lecz za to postać cała napędzała do pilności mniéj dbałych, a do spokojności swawolnych studentów, bo ci, którzy przez jego ręce przeszli, na czułéj mieli pamięci siłę, jaką był obdarzony. Dochodził on miary drabantów, których król August III z Saksonii sprowadził: szeroki w plecach, miał barki do góry wzniesione, tak iż cała postać jego przy spuszczonych rękach foremny czworobok wyobrażała, i podobną była do tych słupów murowanych u bram, na których okrągłe kule są osadzone. Twarz miał rumianą, lecz mocno piegami okrytą; usta szerokie, jakby umyślnie usposobione do głupowatego uśmiechu, który w razach trudnych lub w przypadku zawstydzenia na nich osiadał. Nad pulchnemi wargami unosił się nos duży okrągły i małe piwne oczy, a nizkie czoło wieńczyła ruda czupryna, pod linią równiuteńko ostrzyżona. Nie mając żadnych zasiłków od rodziców, obywać się musiał odzieżą, którą po bogatszych studentach dodzierał, i którą nieraz, dla uzyskania względności w przykrém położeniu, od nich otrzymywał. Dla tego miał właśnie na sobie żupanik, który sam tylko do kolan, a rę-

(*) Część Rzymska.
(**) Część Grecka.
(***) Ławka ośla.

kawy do łokci sięgały; przepasany był krajką, a buty miały aż nadto widoczne znamiona, iż dawną już służbę odbywały.

Do téj tak ważnéj i powabnéj osoby, którąśmy chrapiącą na ławie przed szkołą zostawili, przybiegł korytarzem dorodny ośmnastoletni młodzieniec, uderzył go poufale kijem, *palcatem* zwanym i rzekł:

— Faustynku! cóż-to, ty śpisz jeszcze? czy nie masz nikogo w szkole? — Zerwał się równemi nogami Faustynek, przetarł oczy, spojrzał na przybyłego i rzekł:

— A, to pan starościc, a czego panicz chce?

— Czy jest już kto w szkole?

— Nie ma nikogo. Albożby oni byli przeszli spokojnie koło mnie i zostawili mnie śpiącego na ławie?

— Słuchaj, będziesz mi dziś potrzebny; mam rozprawę z naszym *dyktatorem*, wyzwałem go na palcaty, ma tutaj przyjść o wpół do drugiéj i kilkunastu z mojéj i z jego strony. Staniesz we drzwiach i będziesz mi zważał na to, aby nie wszedł Michałek, co to wszystko donosi, co się między nami dzieje.

— A jakże ja go zatrzymam?

— Zabawiaj go jak możesz, powiédz mu jakie plotki na nas, aby się zatrzymał, a jak to nie pomoże, to użyj siły, nie wpuść go, póki my się nie rozprawimy.

— A *Pater* co na to powié? — zapytał ze zwykłym uśmiechem Faustynek. Lecz żywy starościc, nie dawszy mu żadnéj odpowiedzi, wpadł do szkoły, wskoczył na ławkę prawéj strony, przeliczył na tablicy *partis romanae* ilość zapisanych krések, zeskoczył, przeszedł na drugą stronę, przeliczył kréski na tablicy *partis graecae*, a potém wróciwszy na środek sali, uderzył kilka razy palcatem w ławkę, próbując czy mocny, i z miną śmiałą czekał na przybycie przeciwnika swego.

Niedługo zaczęli się zgromadzać stronnicy i przeciwnicy jego; pierwsi stanęli przy ławkach prawéj, drudzy przy ławkach lewéj strony i rozmawiali z sobą pocichu, lecz tak wszelakoż, iż zgiełk powszechny panował. Nakoniec okazał się dyktator szkoły; był-to syn podkomorzego ziemi sochaczewskiéj, który obok zdolności do nauk i wielkiéj pilności, nie miał tych przymiotów serca, co przyjaźń jednają. Był on wypieszczonym jedynakiem ślepo kochających rodziców, przyzwyczajonym do wymagania i otrzymywania dowodów uległości od wszystkich, którzy go otaczali, a przytém był sprzecznym i swarliwym i ustawicznie na współuczniów skargi do professorów zanosił. Starając się jedynie o względy przełożonych, poświęcał dla nich wszystko, nawet przyjaźń i szacunek rówieników, bo będąc z natury bojaźliwym, potrzebował względów nauczycieli, aby w każdym razie być pewnym ich opieki przeciwko napastującym go studentom. Stanąwszy u drzwi, wahał się z razu: czy wejść do sali, czy czekać na

przybycie nauczyciela, bo wiedział, jakie były zamiary Wacława, owego przeciwnika jego, któregośmy już poznali. Lecz stronnicy jego nie dali mu długo rozmyślać i przemocą go wprowadzili do szkoły, żądając, aby się rozprawił z Wacławem. Gdy tedy chcący nie chcący stanął przed nim i zalękniony oczy na ziemię spuścił, zabrał tamten głos w następujący sposób:

— Koledzy i mnie wielce panowie bracia! Jeżeli kiedy dobra sława szkoły naszéj i obrona prerogatyw nam służących silnéj poręki i obrony potrzebowały, to zaiste w dniu dzisiejszym, w którym postępek, ledwo w infimie cierpiany, niegodny studenta retoryki, a cóż dopiéro jéj *dyktatora*, popełnionym został. Zastarzały zwyczaj dotkliwe dla nas bezprawie między nami utrzymuje; i gdyby o to szło, zrobiłbym teraz pierwszy ten wniosek, aby się wszelkiemi siłami o zniesienie jego postarać. Chcę mówić o prawie, jakie służy dyktatorowi szkoły darowania swoich laudesów téj lub owéj stronie; laudesów, których zawsze krociami nabywa dla tego, że niemi dla niego professor szafuje, i że mu się dziesięć razy więcéj liczą, niż nam wszystkim. Pomijam niesprawiedliwość samego prawa, lecz wspomnę o nadużyciu, które się, niestety! z infimy do retoryki zakradło i nam, Rzymskiéj strony studentom, dzisiaj niezasłużonym upadkiem i upodleniem grozi. Źle jest, iż dyktator może rozdawać do woli laudesy swoje, lecz gorzéj, stokroć gorzéj, kiedy je sprzedaje.

Na te wyrazy ozwały się krzyki zgrozy z jednéj, a zadawania fałszu z drugiéj strony.

— Nie skończyłem jeszcze, mości panowie! — zawołał Wacław. — Słuchajcie, co na poparcie mego zarzutu przytoczę, przypatrzcie się dowodom, jakie wam przedstawiam! Pan podkomorzyc, dyktator nasz, mając ogromny zapas dwóchkroć trzydziestu tysięcy laudesów, przez tydzień uzbierany, chce go już darować Greckiéj stronie, która ich tylko pięćdziesiąt tysięcy liczy, ale postanowił je sprzedać za pierniki, owoce i inne łakocie, tym sposobem nas, Romanae partis studentów, pognębić, a przekupujących go Greków do naszego wynieść zaszczytu. Ale szczęściem dla dobréj sławy i szkoły i partyi naszéj, dowiedziałem się dosyć wcześnie o tym niegodnym frymarku, a chcąc się o prawdzie przekonać, ofiarowałem podkomorzycowi ten kawał lodowatego cukru w zamian za sto tysięcy laudesów, aby go wypróbować, a on śmiał się targować ze mną i oświadczyć mi: iż to było zamało, gdyż mu strona przeciwna daleko większe dary przeznaczyła. I cóż teraz powiecie na te dowody? niechajże śmié zaprzeczyć temu com powiedział? mogęż mu darować tę sromotę? mamże się z moją partyą poddawać bez walki? ustąpcie się ze środka, koledzy! bierz palcat do ręki i stawaj niezwłocznie do walki, bo inaczéj postąpię sobie z tobą, jak z tchórzem postępować należy!

— Hola bratku! — ozwał się na to donośnym głosem jeden ze studentów lewéj czyli Greckiéj strony, który wlazłszy na ławkę, oparł się na ramionach przed nim stojących jedną ręką, a drugą groził Wacławowi palcatem — hola bratku, nie tak zuchwale! bo się tu nikt ciebie nie boi; to, coś powiedział, obraża nas wszystkich, ze wszystkimi tedy będziesz miał do czynienia. Bo kiedy twierdzisz, żeśmy chcieli przekupić dyktatora, dajesz nam przytyk, jakbyśmy sami sobie na jego względy przez naszę większą od waszéj pilność zasłużyć nie mogli.

— Co! wy pilniejsi od nas? — zawołali z głośnym śmiechem przeciwnicy — a zwłaszcza ty może, coś wczoraj jeszcze *scamnum asinorum* zajmował? — rzekł Wacław.

— Gdyby było dosyć miejsca na niém, tobym was wszystkich powinien był miéć za sąsiadów — odparł tenże żywo. — Ale jeżeli siadam niekiedy przy piecu, to ci dowiodę, że się za piec nie schowam, gdy o poszukiwanie obelgi idzie.

To rzekłszy, przeskoczył przez wszystkich na środek sali i nie bawiąc natarł na Wacława, który zręcznie pierwsze uderzenie palcata odwrócił. Oburzyli się wszyscy na tę niespodziewaną napaść, a dyktator korzystał z pierwszéj chwili rozruchu i uciekł chyłkiem do katedry, w któréj się ukrył. Obiedwie strony, zagrzane mowami swoich dowódzców, poczytały rozpoczętą walkę za pospolitą sprawę, i Rzymianie tak mężnie na Greków natarli, iż każdy swego schwycił i że się powszechna bitwa rozpoczęła. Zrazu uwijały się nad głowami palcaty, lecz przy natłoku, w ścieśnioném miejscu, musiano tę broń porzucić i samym pięściom zaufać. Słabsi zagrożeni od silniejszych przeskoczyli ławy, i tam jak z za szańców, rzucali kałamarzami, i wkrótce całą szkołę i wielu z walecznych atramentem zalali.

Zamięszanie i hałas tak były wielkie, iż ludzie stawali na ulicy, i że przecię zdołały przebudzić professora, który miał jeszcze urzędowy kwandrans do spania, nim się miała szkoła rozpocząć. Przelękniony i rozgniewany zbiegł na dół korytarzem do sali, któréj drzwi na klucz zamknięte zastał.

Faustynek bowiem, chcąc się przysłużyć swemu paniczowi, rozumiał, że najlepiéj było zamknąć szkołę, aby się niebezpieczny Michałek do niéj nie zakradł, i schować się samemu w kącie, póki godzina rozpoczęcia nauki nie wybije. To stało się przyczyną większego zamięszania między studentami i większéj niespokojności w professorze, bo ci, którzyby chcieli byli szukać ocalenia w ucieczce, musieli chcący nie chcący przyjmować i odbierać razy, a nauczyciel długo na próżno stukał we drzwi i wołał co siły, aż nie mogąc nic poradzić, wrócił po ludzi i drzwi wybić kazał.

Co za widok stawił mu się przed oczy! kilkadziesiąt pięści nawzajem we włosach ujętych, jedna część uczniów na ziemi jęcząca pod

przemocą zwycięzców, inna chroniąca się po ławkach; jeden na piecu bezpieczny i dwóch wdzierających się do niego; ściany obryzgane atramentem, struga téj czarnéj posoki na podłodze, wszystkie niemal suknie i twarze umazane, a nad wszystkiemi na wierzchu katedry Wacław, jako zwycięzca, wyciągający z niéj za włosy wybladłego dyktatora.

Łoskot wywarcia drzwi i donośny głos wchodzącego professora obiły się o uszy studentów; wstrzymali się wszyscy na chwilę i każdy został w tém położeniu, w jakiém się właśnie znajdował, to jest trzymał, lub był trzymany. Drugi okrzyk nauczyciela uśmierzył nieco zapał, ręce puściły włosy, gardła i barki; gdzie niegdzie jeszcze ostatnie uderzenie odwetu słyszano; za trzeciém zawołaniem zeskoczyli z ławek, złazili z pieca; i Wacław zszedł z katedry i groźném tylko okiem na puszczonego dyktatora poglądał.

Po uciszeniu nastąpiła pierwsza inkwizycya; Grecy otrzymali głos od professora i znaleźli wiarę u niego. Wszyscy mianowali Wacława głównym sprawcą niespokojności, a miejsce, jakie przy wejściu nauczyciela zajmował, i czynność, jąką był wówczas zajęty, potwierdzały to świadectwo większości. Ani można było myśléć o nauce, bo na to zawiele było otrzymanych guzów, zanadto wszystko było poprzewracane. Lecz trzeba było wydać przedstanowczy wyrok i wykonać go niebawnie. Jakoż przywołany Wacław miał sobie ogłoszony wyrok, skazujący go na otrzymanie prowizoryjnie plag dziesięciu, a kalafaktor, który się był nieznacznie wsunął do sali, został przywołany do wypełnienia obowiązku swego.

Przy piecu będąc, nie mógł Faustynek usłyszéć imienia delinkwenta; dlatego sięgnął obojętnie po kańczuk, ustawił stołek, i czekał zbliżenia się skazanego, który pierwszy raz na hańbiącą karę, bez dostatecznego przekonania, skazany, opierał się z całéj siły tym, którzy go prowadzili. Lecz gdy ten stanął w miejscu fatalném, skoro go spostrzegł Faustynek, rzucił kańczuk na piec, obalił stołek nogą i sam rozpychając wszystkich za drzwi uciekł. Ten niespodziany obrót rzeczy zdziwił wszystkich, a zmięszał professora tak dalece, iż nie wiedząc co ma począć, a obawiając się powszechnego powstania, za przykładem nieuległości samego nawet kalafaktora, zawiesił wykonanie wyroku, i kazawszy osadzić Wacława w karceresie, aż do dnia następnego, rozpuścił szkołę. Lecz kara nie była dnia tego przeznaczona dla starościca, bo trafem szczęśliwym zdołał wkrótce oswobodzić się z karceresu i wraz z przychylnym sobie Faustynkiem w ucieczce szukać ocalenia.

ROZDZIAŁ II.

Rada i wyrok.

Z miejsca pobojowiska udał się professor retoryki do rektora, i zdążając do mieszkania jego, rad był, gdy się do końca korytarza dostał, a bardziéj jeszcze, gdy wszedłszy na schody, zgiełku już za sobą nie słyszał. Trzeba było niezwłocznie przedsięwziąć środki surowe dla pohamowania zuchwałych, zwłaszcza że studenci, wyszedłszy ze szkoły, nie rozchodzili się z przed domu, lecz zbierając się coraz w większéj liczbie, zdawali się oczekiwać dalszych rozporządzeń władzy szkolnéj i coraz głośniéj dopominali się sprawiedliwości i zmiany zbyt stronnego wyroku.

Rektor należał do tych dobrotliwych ludzi, którzy nie urodziwszy się do przewodniczenia jakiéj korporacyi lub magistraturze, muszą przez ślepy traf losu być przełożonymi. Miał on między nauczycielami powiernika i doradzcę, który go zastępował w najtrudniejszéj czynności jego życia, to jest w myśleniu o tém, co czynić wypada: tak dalece, iż gdy rektor wydawał rozkazy, można go było porównać do *tuby maryny*, przez którą się kto inny odzywa. To umysłowe zastępstwo tak go od wszelkiego samodzielnego postępowania odzwyczaiło, iż nic wcale nie przedsiębrał, ani wykonywał, skoro tylko wiernego doradzcy nie było.

A to miało miejsce właśnie teraz, kiedy zachodziła potrzeba szybkiego rozstrzygnienia i stanowczego działania w zatrważającéj okoliczności. Gdy professor, świadek bitwy studentów, wpadł zadyszany do jego mieszkania, zerwał się rektor przelękniony z miejsca, spojrzał na niego z wyrazem trwogi, i przykładając rękę do serca, które mocno biło, zapytał: Dla Boga! czy gore?

— Gdzie tam, jeszcze gorzéj.

— Jeszcze gorzéj! ach ja nieszczęśliwy! — To powiedział rektor i rzucił się w krzesło, bo się nogi zbyt mocno pod nim chwiały.

— Cała retoryka do góry nogami przewrócona.

— Jakto, czy się sala zapadła?

— Jeszcze gorzéj, bo wszyscy studenci...

— Przywaleni może.... Ach, dla Boga! wszakżeśmy mówili o tém, że sklepienie narysowane i że trzeba będzie....

— Ale gdzie tam sklepienie! to stoi, jak stało, lecz studenci wszyscy.... — (tu odetchnął mocno mówiący z powodu zadyszania).

— Studenci wszyscy, ani jeden nie zdążył uciec?

— Ale kiedy drzwi były zamknięte, dlatego wszyscy chcący nie chcący musieli się bić z sobą.

— Jakto bić? — rzekł uspokojony rektor — więc to się sklepienie nie zapadło, ani się dom nie pali, tylko studenci się bili?

— A któż mówił o tém, żeby się co paliło, lub zapadło?

— Ale cała retoryka ma być do góry nogami przewrócona?

— Tak jest; to się ma znaczyć, że się studenci przy drzwiach zamkniętych tak zacięcie bili między sobą, iż nietylko się sami pokaleczyli, ale i całą szkołę, katedrę, ławki i kałamarze, wszystko prawie poprzewracali. — Ja przychodzę po rozkaz co trzeba zrobić, bo rzecz jest nagła.

Rektor obejrzał się, jakby kogoś szukał, krząknął parę razy, zająknął się tyleż i odpowiedział: — To.... to.... trzeba kazać poustawiać na swoje miejsca ławki.

— A ze studentami co zrobić?

— Czy się jeszcze biją?

— Nie, ale....

— To chwała Bogu, kiedy się już nie biją! — odpowiedział rektor, wstał, poszedł do professora i uściskał go.

— I cóż z tego, że się nie biją, ale trzeba ich ukarać za to, że się bili, bo będą jeszcze zuchwalszymi nadal.

— Nie mówmy o tém teraz; dajmy pokój temu, bo nie masz professora arytmetyki.... jutro.... jutro.... zobaczymy.

— Ale ja jednego głównego dowódzcę osadziłem w karceresie.

— To dobrze, to bardzo dobrze — rzekł z pewnym przyciskiem rektor.

— Ale ten osadzony jest synem starosty, który się może za to gniewać.

— To źle, to bardzo źle — odpowiedział z pomięszaniem rektor.

— Jeżeli go każemy wypuścić, to najwięksi wichrzyciele jeszcze zuchwalszymi będą.

— Tak, tak.

— Jeżeli go zatrzymamy w karceresie, to go gotowi odbić przyjaciele, których ma wielu.

— To prawda, prawda.

— Możeby go lepiéj było wypuścić?

— I zapewne, zapewne.

— Ale znowu gotów się za to gniewać pan podkomorzy, bo jego syn jest najbardziéj pokrzywdzony od niego.

— A to nie dobrze, nie można gniewać pana podkomorzego.

— Trzebaby zrobić indagacyą między studentami; może się znajdzie winniejszy, który nie będzie ani starościcem, ani podkomorzycem.

— O to, to! zrobić indagacyą!

— To trzeba, ażeby pater rektor sam zeszedł do nich i sam ich słuchał po kolei.

Na te słowa zatrzymał się rektor na środku pokoju, po którym chodził szybkim krokiem, zacierając niekiedy ręce, gdy podana myśl trafną mu się zdawała, a zakładając je w tył przy każdéj nowéj trudności, i oglądając się przytém na drzwi, czy pożądany sprzymierzeniec nie nadchodził.

Uderzyła go dotkliwie ta myśl, że ma sam bez doradzcy zapuszczać się między uczniów, dać zdanie stanowcze, na tysiącznych sprzecznych z sobą zeznaniach ugruntowane.

Nie wiedział, co ma odpowiedzieć, lecz to przynajmniéj postanowił, iż nie zejdzie do uczniów, i rzekł szybko:—Nie, tego ja nie zrobię, bo.... bo.... ale bo nie mogę zrobić.

— A więc trzeba zwołać na radę wszystkich professorów.

— A zwołać, zwołać, niech przychodzą, a nadewszystko posłać po professora arytmetyki, który zapewne jest na Nowém Mieście. Waćpan wiész dobrze, w którym domu.

Wyszedł professor retoryki, a rektor rzucił się powtórnie w krzesło, aby spocząć po wielkiém utrudzeniu, i sam z sobą zostawszy, zastanowić się nad tém, co czynić wypadało; chciał on myśléć koniecznie, chciał nadewszystko cośkolwiek postanowić, ale ile razy się zapuścił w ten ciemny dla niego zawód, zawsze błądził między krzyżującemi się wyobrażeniami karceresu i napaści nań studentów, kańczuga i potrzebnéj łaski panów starostów i podkomorzych; a choć go kiedy szczęśliwy pomysł na prostą drogę wyprowadził, zaraz napotkał na niéj swego despotycznie nad nim panującego powiernika, widział jego twarz surową, słuchał naganę powziętéj myśli, truchlejąc zbaczał z drogi i znowu błądził bez żadnego celu.

Wszedł jeden z przywołanych nauczycieli, kłaniając się pokornie przy drzwiach i coraz niżéj, im więcéj się do przełożonego zbliżał; zajął miejsce przy stole za naleganiem rektora, i z zadziwieniem pytał się o powód zwołania całego zgromadzenia. Następnie słuchał z uwagą opowiadania, i najprzód syknął, potém podniósł oczy z wyrazem zalęknionego do góry, daléj ruszył ramionami i w końcu ręce nieco uniósł, a wszystko z takiém zadziwieniem, jakby jeszcze nic nie wiedział. — Skończywszy opowiadanie zapytał go rektor, coby czynić wypadało.

— Ja prawdziwie nie wiem, jak najlepiéj radzić—dodał ze skromną pokorą—lecz rozumiem, że który z kolegów, zwłaszcza właśnie nieobecny w domu, najlepszą radę dać potrafi. A zresztą, co tylko rektor postanowi, to niezawodnie dobrze będzie.

— A kto zaś słyszał tak długo zwłóczyć w nagłéj potrzebie — zawołał wchodząc do izby gruby, wysoki i rumiany professor. — Czego tu radzić, gdzie idzie o poskromienie swawoli chłopaków? Kazać

brać z kolei na stołek, a wnet stanie się zadosyć sprawiedliwości i winni pewnie ukarani zostaną.

— Ale za pozwoleniem — rzekł inny kolega, przybyły podczas tamtego przemowy — to są dzieci, to są młode chłopcy, którzy zwyczajnie poswawolili trochę, ale nic tak bardzo nagannego nie popełnili. I cóż z tego, choć się trochę podrapali i powalali atramentem? dobrze, że się zaprawiają do rozruchów i bijatyk, bo będą wytrwali na sejmikach.

— Ja rozumiem — odpowiedział pierwszy pokorny kolega, patrząc przez okno, do którego był przyszedł z powodu usłyszanego hałasu — że jednak wypada cośkolwiek postanowić, bo studenci gromadzą się przed domem.

— Decymować, decymować mówię, jeżeli nie każdemu dać pamiętne — odparł tłusty i surowy kolega.

— Ale gdzie zaś kto słyszał? nie wiedzieć za co? — odpowiedział łagodny — wszak prawda, panie rektorze?

— Zapewne, zapewne — rzekł tenże.

— Pocóż mnie było wołać, kiedy moja rada za nic — zawołał surowy kolega i zabierał się do drzwi.

— Ale proszę bardzo — rzekł rektor zastępując mu odedrzwi, — przystaję i owszem na to, aby być surowym; trzeba dać przykład, trzeba winnych ukarać.

— A kiedy winnym jest podobno Wacław, syn pana starosty—dodał z dwuznacznym uśmiechem pokorny kolega.

Wtém wszedł professor Retoryki i oznajmił, iż dowiedziawszy się, gdzie się wiadomy sprzymierzeniec znajduje, posłał po niego i że spodziewa się, iż wkrótce nadejdzie. Ucieszyła ta wiadomość rektora, a uwolnionym będąc od kłopotu powzięcia stanowczego zdania, nie zważał wcale na toczącą się dyskussyę między professorami, i o obojętnych rzeczach z jednym z nich mówić zaczął, aby przerwać bezskuteczne na teraz rozprawy, i rzecz do przybycia pomocnika zawiesić.

Po chwili otworzyły się drzwi i oczekiwany przyjaciel wszedł z wyrazem niechęci na twarzy, zajął milcząc miejsce obok uśmiechającego się mile rektora, nie zważał na ściskanie rąk tegoż i wysłuchał spokojnie całéj relacyi professora, który był świadkiem zdarzenia, jako i różnych zdań kolegów. Poczém przechylił się, uniósł głowę nieco do góry, spojrzał z niechcenia na pióro, które w ręku trzymał i gniótł po stole, i rzekł z wyrazem niezaprzeczonéj wyższości:

— Wszystko nie ma sensu, trzeba nam pamiętać na to, iż w tym, jako i w każdym innym razie, nie chęć ukarania uczniów, lecz wzgląd na nasze dobro postępkami naszemi powodować powinien. Trzeba ukarać kogóś, bo eksces został popełniony; ale wyrokując, nie trzeba

się narażać tym, którzy nam szkodzić mogą. Starościca trzeba natychmiast wypuścić, podkomorzyca ułagodzić czém bądź, pogodzić obudwóch z sobą, a ukarać przykładnie Faustynka kalafaktora, bo za tym się nikt nie upomni, a ten łatwo za najwinniejszego poczytany być może, ponieważ nie wypełnił rozkazu zwierzchnika swego i był nie tylko nieposłusznym, ale nawet zuchwałym.

— Wiwat! — krzyknął rektor powstając — oto mi rada dopiéro. Rozkazuję więc wypuścić starościca, a Faustynka wsadzić do karceresu i jutro wyliczyć mu..... tu się zatrzymał i obracając się do doradzcy, zapytał: wiele?

— Nie będziemy podobno ani uwalniać, ani wsadzać do więzienia — rzekł z uradowaniem złośliwy pokorny kolega, który nie odstępował od okna — bo oto wychodzą studenci ze szkoły, niosą starościca na ramionach i prowadzą pod ręce Faustynka kalafaktora, wydając okrzyki radości. — Rozstrzygnęli oni prędzéj od nas los tych, o których my tutaj tak długo radzili.

Nastąpiło milczenie w całéj radzie: rektor poglądał z miną pożałowania na swego doradzcę, jakby go chciał przeprosić za to, co się stało. On zaś milczał chwilę, spojrzał ponuro po wszystkich, zerwał się potém z miejsca i zwracając kroki ku drzwiom, rzekł:

— Otóż-to tak, kiedy nie ma głowy ani do rady, ani do rządu.

ROZDZIAŁ III.

Gościnność.

W saméj istocie nie było już w szkole ani więźnia, ani tego, który niewinnie za wszystkich miał cierpiéć, wtenczas gdy o ich losie radzono; w pół godziny nie było ich nawet i w Łowiczu, bo szybkim krokiem ku Sochaczewu pośpieszali, Wacław naprzód, a Faustynek, sam nie wiedząc dlaczego i po co, za nim, przyczém obadwaj zachowywali milczenie i tylko kiedy niekiedy oglądali się niespokojnie za siebie.

Nakoniec stanął Faustynek, znużony pochodem, którego końca i celu nie wiedział, i zawołał na idącego naprzód Wacława: Panie! a dokąd my idziemy?

— Do domu.

— A kiedy tak, to ja się wrócę, bo my dzisiaj nie zajdziem, cztery mile okrutne, a ktoby jutro Retorykę zamiótł?

— Czyś niespełna rozumu? — rzekł Wacław, zatrzymując się —

tobie wracać do szkoły! a czy-to nie wiész, co ciebie czeka za to, żeś nas zamknął, żeś ich nie słuchał i mnie wypuścił z karceresu?

— A co mnie ma czekać? — ja nic złego nie zrobiłem; co ja temu winien, że się studenci pobili? Nie chciałem się wprawdzie wziąść do kańczuga, ale pocóż mi kazali bić mego pana? każdego innego, czemu nie? ale pana starościca broń Boże! coby na to tatynek i matynka powiedzieli? Albo co ja temu winien, że panicz wyszedł, kiedym ja drzwi otworzył? A choćby też tak było, wielka rzecz! i cóżby mi zrobili? te kilkanaście plag.... czyli mi to pierwszy raz?

— Ale kiedy nie dbasz o własną skórę, to się przynajmniéj zmiłuj nademną. Ja do Łowicza nie wrócę, a nie wiem drogi do domu, bom tu nigdy pieszo nie szedł.

— Oto — odpowiedział Faustynek, przystępując do niego i skazując ręką prosto, na prawo i na lewo w miarę, jak dawana instrukcya tego wymagała: — Oto pójdziesz pan starościc prosto, prosto, aż do téj tam figury, co nad drogą stoi. Tam będzie droga na lewo; nie, nie, chciałem mówić na prawo, ale tak sobie będzie droga, to nie trzeba nią iść, tylko od siebie ścieżką, bo to bliżéj; ale nie trzeba dochodzić do wsi, oto téj tam, bo to Zabostów wieś, tylko jak się skończy, iść precz, precz, prosto miedzą, co na niéj stoi gruszka, a potém....

— I co mi ty tam gadasz? ja właśnie mam spamiętać wszystkie figury, ścieżki i miedze; oto powiedz! chcesz iść, albo nie?

— Ale panie starościcu, jakże mam pójść, kiedym ja tam potrzebny....

— A ja się nie pytam, czyś ty potrzebny czy nie, czy chcesz czy nie chcesz, tylko każę, więc musisz, bo inaczéj — to mówiąc, podniósł kij do góry i pogroził nim Faustynkowi.

— No pójdę już, pójdę — odpowiedział tenże, usuwając się na bok — tylko niech pan da pokój; ale mnie pan każesz zaraz odesłać jak przyjdziemy!

— No zgoda na to, a kiedyż my zajdziemy?

— Ha! tak koło świtu może.

— Na to nie ma zgody. Trzeba będzie nocować.

— Ha! dobrze, zajdziemy do któréj karczmy.

— Nie, ja pieszo do karczmy nie pójdę.

— A ja się też w boru nocować boję, bo tu są wilki, strachy i Bóg wié nieco.

— Jakaż tedy rada?

— Jać mam dla siebie dobry nocleg po drodze, o milę ztąd, ale najgorzéj pan starościc, nie wiem, co z sobą zrobi.

— Gdzież-to? u kogo? czemużbym nie miał razem z tobą zanocować?

— A jakże-to będzie, żeby pan starościc miał przyjść pieszo do szlachcica?

— A co to za jeden?

— Oto tak: z tamtéj strony Bzury, a można ją przejść, bo pod tamtą wsią jest most, z tamtéj strony, pod Kęszycami, mieszka stary szlachcic. Ale to dawny zuch, dawny wojak, który zawsze prawi o wojnach; a ja go lubię słuchać, bo to aż strach, jak zacznie gadać, co to było kiedy bywały wojny. Nazywa się Dulski, ma żonę tak starą jak on sam, ale za to córkę Anielę, młodszą od nich obojga. A ta córka, trzeba wiedzieć panu starościcowi, jest ładna.—Tu się roześmiał głośno.—Ładna, co się nazywa, i mój tatynek chce — ha! ha! ha! — chce, żebym ja się jéj zalecał. Bo trzeba panu wiedzieć, że kto się ożeni z Anielą, to dostanie tęgą fortunę szlachecką, będzie z dziesięć morgów gruntu w każdém polu, do tego tęga łąka nad rzeką, można ze sześć krów i parę koni chować, a do tego dworek porządny, a kto wié może jeszcze jaki grosz z dawnych czasów zachowany, bo stary był kutwa, nic nie stracił, ani na jarmarku, ani na odpuście.

— A no, to idźmy tam! rad będę poznać twoję narzeczoną.

— E, gdzie zaś, to się nie godzi!

— Jak-to się nie godzi?

— A jużci, bo gdybyśmy tam poszli, toby mię się pytali, zkąd idę? Jakże im powiem: z Łowicza czy z Sochaczewa? A potémby się spytali, dokąd idę? No i cóż im powiem? toć oni wiedzą, że moje prawo jest siedzieć w szkole. A potémby się pytali, a to co za jeden, co z wasanem idzie, panie Faustynku? Cóżbym ja im na to wszystko odpowiedział?

— Co? oto prawdę, wszystko słowo w słowo, jak się stało.

— Ej zaś, jakże-to będzie z tém wyjechać?

— Jak? zdaj to na mnie i prowadź.

Faustynek kiwał głową i szedł naprzód, przewodnicząc do mieszkania Dulskiego, do którego Wacław szybszym zmierzał krokiem, odkąd się od niego o pięknéj Anieli dowiedział. Ciekawy był poznać go dlatego, że znając tylko z dziejów czyny bohaterskie, a pałając żywą chęcią wstąpienia kiedyś w ślady walecznych przodków, uwielbiał każdego wojskowego, który jeszcze chlubne wyprawy Polaków zapamiętał, i zazdrościł mu tego, iż żył w czasie, gdzie jeszcze można było znaléźć sposobność wsławienia się czynem bohaterskim. Do tego wspomniał był jeszcze Faustynek o pięknéj Anieli.... I któżby mógł mu wziąść za złe, że w tém mocniejszą pobudkę do szukania przytułku w gościnnym domu starego wojaka znajdował?

Po pewnym przeciągu czasu, który Faustynek przegadał, a Wacław przedumał, nie zważając na jego powieści, jak wtedy chyba, gdy

się imię Anieli o jego uszy obiło, ujrzeli nasi podróżni kilku ludzi z grabiami, z pola boczną drogą wracających. To on! — zawołał Faustynek — to pan Dulski; poznaję go po dużym kapeluszu słomianym; wraca z czeladzią swoją z pola. Poczekajmy tu na drodze, aż nadejdzie, to pójdziem razem z nim do domu.

Zatrzymali się w miejscu, a wkrótce zbliżył się ku nim rzeźwy starzec, niósł grabie na ramieniu, szedł żywo przed czterema ludźmi, a postrzegłszy naszych wędrowników, opodal jeszcze będąc od nich, przyłożył rękę do kapelusza, i zasłaniając się od blasku zachodzącego słońca, patrzał na nich, chcąc ich poznać. Lecz gdy się zdaleka nie mógł domyślić, kiwnął głową i kroku przyśpieszył; nakoniec zbliżywszy się do Faustynka, rzekł:

— A witajże panie bracie! zkądże tutaj i o téj porze, panie Faustynie? Czy do mego domu? mości panie, rad wam będę. A któżto jest ten panicz, mości panie? Jak-to? tak per pedes apostolorum?

Faustynek zdjął był czapkę, kręcił i gniótł ją w rękach i krztusił się, aby jaką taką odpowiedź wymęczyć. Lecz Wacław, uprzedzając go zabrał głos, pokłonił się uprzejmie starcowi, opowiedział mu otwarcie całe zdarzenie i cel podróży, lecz przytém nie wymienił swego nazwiska, mówił tylko w ogólności o sobie, jako o studencie niesprawiedliwie prześladowanym.

— Mości panie — odpowiedział na to Dulski — być to może prawdą, co mi waszmość pan powiadasz, a ja nie mogę być sędzią postępków waszych, ale jeżeli chcecie wzbudzić ufność we mnie, raczcież mi wyjawić swoje nazwisko. — Wacław uczynił zadosyć jego życzeniom, i gdy mu otwarcie oświadczył kim był, zdjął starzec kapelusz, zbliżył się do niego, ścisnął go lekko za kolano, i rzekł:

— A ścielę się pod stopki pana starościca; bardzom rad, żem go napotkał, że mu mogę być użytecznym; słońce już zaszło, w moim ubogim domku wygodniéj jednak będzie nocować, niż w lesie lub w karczmie; a jeżelić z równie dobrém sercem przyjmie pan starościc, czego mu chudoba moja dostarczyć może, jak ja je ofiarować będę, rozumiem mości panie, że i wczas i posiłek dostateczny u mnie znajdzie.

Szczerze ścisnął rękę starca Wacław, i dziękując mu za dobre serce, szedł obok niego ku domowi, a Faustynek postępował po drugiéj stronie drogi, potakując głośnym śmiechem ich rozmowie.

O staj kilka od kręto płynącéj rzeki. na wesołém błoniu, dojrzałém zbożem wszędzie otoczoném, stała skromna zagroda szlachecka, w któréj wszystko porządek i dobry byt oznaczało. Podwórze, ogród, sadek i paśnik przed domem, wszystko było wygrodzone starannie, tak iż żadnego kołka, żadnéj żerdzi nie brakowało. Wysoka brama z tarcic zrobiona, a obok niéj nizka furtka takaż świadczyły, iż gospo-

darz pamiętał o bezpieczeństwie i miał zapewne czego pilnować. Na środku podwórza stała wysoka lipa, a pod nią duży kamień za ławę służący. Dworek był drewniany, świeżo i gładko słomą poszyty, z wystawą na dwóch filarach sztucznie toczonych; w oknach były drobne, lecz wszystkie całe szyby. Na lewo dworku stał lamus mały z murowaném wejściem, nieco w ziemię wpuszczony, do którego była ścieżka od dworku mocno wydeptana.

Na lewo mały szpichlerek, ze szczytem naprzód wystającym, warownie na kłódkę zamknięty. Za nim stodoła naprzeciwko, a po dwóch bokach w małym okólniku obora ze stajenką, pod ścianą stodoły. W sadku, który był za zabudowaniem dworskiém, stało kilkadziesiąt pni pszczół, ze szczególném upodobaniem i nader starannie przez gospodarza hodowanych.

Gdy wchodzili na dziedziniec, zerwał się duży pies z przed sieni i śmiało natarł na przybywających, póki go głos pana nie poskromił. Wacław, dobrze dla gospodarza uprzedzony przez to, co mu Faustynek powiedział i przez uprzejmość i rozsądek, które w rozmowie okazywał, utwierdził się w dobrém mieniu o nim, gdy wchodząc do zagrody spostrzegł wszędzie znamiona zamożności i porządku. To wrażenie przyjemniejszém się stało, gdy ujrzał młodą i piękną dziewicę, która szła od lamusu do dworka krokiem wolnym i ostrożnym, bo niosła w obudwóch rękach pełną misę mléka.

Domyślił on się łatwo, że to musi być Aniela, bo Faustynek uśmiechnął się i żywo zdjął czapkę z głowy, skoro ją tylko spostrzegł.

Uderzyła Wacława zajmująca postać dziewicy i pewien wyraz szlachetności na twarzy, jakiego się u córki prostego szlachcica nie spodziewał.

Do tego ubiór jéj, jakkolwiek pospolity, odznaczał się pewną wytwornością. Gdy usłyszała psów szczekanie, zatrzymała się na ścieżce, a gdy spostrzegła zbliżających się gości, a nadewszystko dorodnego Wacława, którego sam ubiór bardzo od towarzysza odznaczał, zmięszała się, przechyliła nieco naczynie, aż się trochę mléka odlało na ziemię, zwróciła oczy na nie i żywy rumieniec okrasił lica.

— To moja córka, panie starościcu — rzekł stary Dulski — jedyna nasza pociecha.

Skłonił się uprzejmie Wacław, lecz nie śmiał nic na pochwałę Anieli powiedzieć, bo skromność jéj była tak szczera, iż poniewolnie wzbudzała poważanie, a wrażenie Wacława tak miłe i niespodziewane, iż nie mógł wyrazom uczucia swego powierzyć. Zatrzymała się w przedsionku, aby przepuścić wchodzących gości, a Wacław, nawykły do uprzejmości dla płci pięknéj, nie chciał wziąść kroku przed nią i przez chwilę ustępowania z obojéj strony z pewném zapomnieniem na twarz Anieli poglądał.

— A, panie starościcu! to się nie godzi — rzekł ojciec; — a te wyrazy sprowadziły rumieniec na twarz Wacława i wprawiły go w pomięszanie; aż gdy dokończając mowy — rzekł daléj gospodarz domu: — gościowi, a zwłaszcza takiemu, należy się zawsze pierwszeństwo. Proszę bardzo pana mego na prawo, na prawo.... bo tam, to sobie moja Aniela do swego gospodarstwa pójdzie wyręczać matkę, która mi od kilku dni chora; ale dzisiaj już lepiéj chwała Bogu, po trochu już chodzić zaczyna.

Ten sam porządek, też same znamiona zamożności, które spostrzegano na podwórzu i w całém zabudowaniu, panowały także w mieszkaniu, do którego podróżni nasi weszli.

W rogu dębowa otwarta szafa, lśniąca się od czystości, w niéj cynowe talerze, kilka kieliszków, a każden inny, i jeden puhar wiwatowy; na niéj wysuszone tykwy różnego kształtu, a blizko przy niéj na drzwiach mała cynowa ampułka z krzyżem na wierzchu, w któréj zachowywano święconą wodę. Z drugiéj strony drzwi wchodowych, kominek szafiasty, kartunową w kwiaty firanką zasłoniony, dlatego, że nie służąc do właściwego użytku w lecie, zawierał za tą osłoną jeden i drugi gąsiorek miodu, którym się niekiedy gospodarz posilał. Pod ścianą naprzeciw komina podwójna kotara, któréj uchylona firanka pozwalała dostrzedz znak Zbawiciela nad wezgłowiem na ścianie, i sznur biały z dużym węzłem we środku kotary umocowany, który ułatwiał podnoszenie się z pościeli. Pod oknem prosty stół dębowy i parę stołków takich, które wraz z ławą przy piecu do spoczęcia mieszkańców służyły.

Naprzeciw łóżka na ścianie dwie szable, na krzyż zawieszone, znak dawnego powołania gospodarza.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł Dulski, gdy wszyscy do izby weszli.—Witajcież mi panowie na tém miejscu, spocznijcież sobie po podróży, bo musicie być zmęczeni, zwłaszcza pan starościc, który nie nawykł do pieszéj podróży. Pójdę przynieść wam co do ochłody i do ugaszenia pragnienia. Co Bóg dał, to przyjmiecie; jest mleko świéże, ale to nic nie warte po przechadzce, ja zawsze wolę piwo; wszak prawda, panie starościcu? Albo może wolicie co innego? abym miał w domu, to wszystko na wasze usługi.

— Dziękuję wam za gościnną uprzejmość — rzekł Wacław — ściskając rękę gospodarzowi—dla mnie wszystko dobre, co tylko mi ofiarować będziecie.

To rzekłszy, posunął się ku ścianie, na któréj wisiały pałasze, i z ciekawością im się przypatrywać zaczął.

— Czy wy się znacie na dobréj broni? — zapytał Dulski. — Próżne to dzisiaj sprzęty, do stroju tylko potrzebne, ale wierzajcie mi,

młody panie, nie zawsze one tak próżnowały. Jeden z nich służył ojczyznie i dobréj sprawie, i z tym się nawet po śmierci nie rozłączę.

To wszystko wymówił krzątając się koło dostarczenia piwa dla gości, dostał z komina z za firanki gąsior gliną zatkany, nalał sobie szklanicę, wypił ją w ręce starościca i oddał mu ją napełnioną po brzegi, a gąsior na stole postawiwszy, zbliżył się do ściany, wziął pałasz krzywy, nieco ozdobniejszy i rzekł:

— Przypatrzcie mu się dobrze — panie starościcu — to turecki prawdziwy, za to ręczę, bom go sam dostał w Benderze wówczas, gdy nam bisurmanie do naszéj ziemi powrót ułatwić mieli i gdyśmy jeszcze mieli nadzieję, że nam król Stanisław panować będzie, a jaki król do tego!

— Powiedzcie-no nam co o tym królu—ozwał się Faustynek — bo ja lubię o nim słuchać, chociaż to nie tęgi był król, kiedy się dał wypędzić.

— Ciszéj bratku! — przerwał Dulski — z większém uszanowaniem o królu Stanisławie. Tém bardziéj godzien był czci naszéj, że był nieszczęśliwym. Oj, ponoby dzisiaj inaczéj było w kraju, gdyby on nam był panował!

— Toście wy za królem Stanisławem niegdy wojowali? — zapytał Wacław.

— Za nim aż do ostatniéj chwili, i wówczas jeszcze porzuciłem dom i żonę, kiedy do nas z zagranicy powrócił. Pod Gdańskiem ostatni raz wyszła ta szabla z pochwy, odtąd wisi w kurzu i już nie doczeka się świetnéj pory dla siebie, chyba gdybym się jeszcze jednéj miał doczekać elekcyi. Kto wié, coby się wtedy stać mogło? przecieżby się może jaka konfederacya.... Ale co tam o tém z wami mówić, panowie młodzi, wy tego nie znacie, nigdy już może znać nie będziecie.... To to był czas szczęśliwy, kiedy człowiek był konfederakiem! Bieda dokuczała nieraz, musiałeś odbiedz wszystkiego, a gdyś powrócił, zastałeś kamień na kamieniu, ale była święta wolność i swoboda, człowiek wojował za sprawę, jaką sobie obrał, był wiernym panu, któremu służył, i sumienie było lżejsze. A teraz! Ech co tam! w ręce pańskie, mości starościcu!—To mówiąc nalał drugą szklanicę, którą wypił szybko i z wyraźną niechęcią, i podał nalawszy znowu Wacławowi.

— Oj! panie bracie — rzekł tenże odbierając ją uprzejmie — nie macie podobno czego narzekać. Wiek młody strawiliście na usłudze krajowéj, podeszły przepędzacie spokojnie między swoimi, a nam podobno takiéj nie dostanie się pociechy; kto wié, czy starość nasza będzie się cieszyć wspomnieniem zasługi młodości? Na czémże wam zbywa? Prawa i rządność zapewniły wam dostatek, a Pan Bóg pobłogosławił wam śliczną córką, która musi być pociechą waszéj tarości.

— Zapewne, mości panie — odpowiedział starzec i rozweselenie osiadło na twarzy jego. — Bogu najwyższemu niechaj będą dzięki za to ukochane dziecko; z niegoć to cała pociecha starości nas obojga. Dziękuję panu starościcowi za pochwałę jéj urody, ale ja wiem, że to prawda mości panie. Wszyscy mi to powtarzają, ona sama tylko nie chce się przyznać do tego i rumieni się za każdym razem, gdy ją kto pochwali. Teraz nam źle bez niéj, bo trzeba wam wiedzieć, moi panowie, żem oddał moję Anielę do pani chorążyny. To bogobojna i stateczna pani, a dwór jéj z dobranych niewiast złożony.

— Do pani chorążyny? — zapytał Wacław — do matki pani podstoliny Porzyckiéj? matka wprawdzie sędziwa dama, ale jéj córka jest młoda, wesoła wdówka, lubiąca zabawy; w tym domu wiele bywa gości.

— Bez wątpienia — odpowiedział Dulski — ale ja polegam, mości panie, na skromności mojéj Anielki i na troskliwości pani chorążyny. Ta dobra pani dawno mnie zaszczyca swoją znajomością; szczególne ma łaski dla mojéj córki; nieboszczyk jéj mąż, to to był stronnik zagorzały króla Stanisława, i ona sama także. Ile razy u niéj jestem, to się o dawnych czasach nagadać nie możemy.

Gdy tak mówił, zaskrzypiały drzwi, wszyscy ku nim oczy zwrócili i spostrzegli wchodzącą Anielę. Szła ona wolno, bo schorzała matka wspierała się na lewém jéj ramieniu, troskliwie zwracała na nią oczy, jak gdyby każdym jéj krokiem kierować chciała, lecz długie rzęsy kryły przed patrzącymi wdzięk spojrzenia, skromnéj słodyczy pełnego. Zdawało się, iż prócz matki nikogo więcéj nie widzi; lecz lekki rumieniec, który ubarwił świeże lica, okazywał, iż ją bytność gości zajmowała. Słabym głosem powitała gospodyni domu Faustynka i Wacława, o którego się nazwisko poprzednio męża spytała; zajęła miejsce na ławie przy piecu, za troskliwą córki pomocą, która czuła powiększające się w niéj pomięszanie, skoro posadziwszy matkę, nie miała już przedmiotu, którymby się wyłącznie zajmować mogła; zwłaszcza gdy wzniosła oczy do góry i prowadząc je po obecnych, śledcze wejrzenie Wacława spotkała. Faustynek przestępował z nogi na nogę i myślał o tém, jakby to naprzód postąpić, jak się zbliżyć do Anieli, i po dawniejszéj znajomości słów kilka z nią pomówić. Lecz matka przyszła nie chcąc na pomoc pomięszaniu tych trzech młodych osób, zalecając córce, aby się koło przygotowania do wieczerzy krzątała.

Zatrudnienie się jakim bądź przedmiotem jest wielką pomocą wtedy, gdy nie wiemy, co z sobą począć i jak nasze pomięszanie ukryć mamy. Dlatego znikła zwolna nieśmiałość poruszeń i wejrzenia Anieli, gdy przygotowanie do wieczerzy czyniła. Faustynek ośmielił się do tego stopnia, iż wyszedł z swego kąta, a zbliżywszy się do szafy, z któréj Aniela talerze i szkła dobywała, stłumionym głosem prowa-

dził rozmowę, na którą ona głośno i z nieco złośliwym uśmiechem odpowiadała. Sam tylko Wacław milczał, i siedząc przy starym Dulskim, zdawał się słuchać uważnie jego powieści, gdy zazdrośne wejrzenie jego z niechęcią padało na Faustynka, a raczéj na tę, z którą miał szczęście rozmawiać; a myśl żywa bujała w rozległéj przestrzeni przyszłości.

Tak zeszedł cały wieczór. Wacław nie miał i razu sposobności zbliżenia się do Anieli i mówienia z nią, gdyż wrodzona nieśmiałość jego każdy krok i każdy wyraz wstrzymywała. Za to zaś mówił z nią ciągle Faustynek, i to tém więcéj, im bardziéj się rozgadał; lecz to właśnie było przyczyną niechęci pana jego, który nie chciał z nim gadać, gdy się obadwaj do śpichlerza na spoczynek udali i nakazał mu nawet milczenie, kiedy się zbyt długo nad powodzeniem zalotów swoich do Anieli rozwodził.

Nazajutrz było już słońce wysoko na niebie, nim się nasi podróżni obudzili. Stary Dulski, nie mogąc się doczekać ich obudzenia, poszedł w pole do roboty, a oni udali się do niego, aby się z nim pożegnać, lecz nim przyszło do tego, zbliżyło się południe, a z niém obiad, a to wszystko dlatego, że obadwaj pragnęli widzieć jeszcze Anielę, któréj długo na próżno upatrywali, i któréj bytność przy obiedzie nadspodziewanie ich pochód w dalszą podróż opóźniła.

ROZDZIAŁ IV.

Rodzice.

Na piaszczystéj płaszczyznie, gdzieniegdzie wrzosami i nizkiemi zaroślami pokrytéj, rozciągał się niewielki promień uprawnéj ziemi, ze wszech stron dzikiemi pastwiskami lub bagnami otoczony. Kilka chylących się budynków, z których jeden tylko mieszkalny, a nadewszystko wysoka brama z furtką, którąby wszystkie zabudowania w całości można było wyprowadzić, oznaczały fortunę szlachecką, Dodoszami zwaną. Z miejsca tego był widok na całą okolicę równie ograniczony, jak majątek i rozum właścicieli. Bo lasy zaczynały się tam, gdzie się odłogi i bagna kończyły, tak dalece, że oko blaskiem wschodzącego i zachodzącego słońca nigdy rażone nie było i zawsze na jednostajnym widoku ciemnych sosen przestawać musiało, gdy tylko daléj jak dziedziniec i bliższe błonia sięgnąć chciało. Podobnież i mienie właścicieli wystarczało zwykle na wyżywienie domowników od jednych

żniw do drugich, dostarczało im zasiłków na jaką taką odzież, ale więcéj niczego się po niém spodziewać nie należało.

Co do rozumu właścicieli, ten się nie unosił wysoko, ani się zapuszczał głęboko, lecz ograniczał się pojęciem wyobrażeń codziennego życia i pamiętaniem prerogatyw szlachectwa, tego drogiego klejnotu, przy którym nie żal było głodzić się i biedzić, byleby go czémkolwiek nie skalać.

Lecz nie uprzedzajmyż czytelnika o właścicielach fortuny, z którąśmy go jeszcze dobrze nie obznajomili.

Na najniższém miejscu doliny, nad błotkiem, trzciną, tatarakiem i sitowiem zarosłém, stał dom drewniany, którego ściany dawno już z prostopadłéj linii wyboczyły i przez rozmaite wygięcia swoje malowniejszą postać przybrały. Z przycieś zostały już tylko rdzenne sęki, a wysokie obsypanie domu ziemią w około, zastępowało niedostatek spróchniałego drzewa. Przed domem była wystawka o jednym już tylko słupie, zachowana dlatego, że za sérnik służyła, a próg od drzwi wchodowych, dawno wygniły, zastępował kawał nieobciosanéj brzeziny, pomiędzy drzwi wbity; dwa okna dawały dosyć światła w mieszkaniu, póki niedostatkowi szyb gąty gliną oblepione nie zaradziły; były nawet kiedyś proste i równoległe z dachem i z przyciesiami, ale za upadkiem tych ostatnich, musiały się ku nim nachylić.

Po prawéj stronie wszelakoż, jako w mieszkalnéj izbie państwa, były trzy całe z pomiędzy sześciu szyb, jedna spękana i patyczkami w miejscu utrzymana, a dwie zalepione papierem, za uproszeniem na dworze pana starosty otrzymanym. Dach od mchu zielony był wklęsły, według kierunku chylących się ścian, a ustawiona przy lepionym kominie drabina, lubo już tylko o kilku szczeblach, musiała wszelakoż służyć jeszcze do przeznaczenia swego, aby lepiéj całéj budowie odpowiadała. Po prawéj stronie domu stała stodoła z plecionemi z chrustu ścianami; obórka, stajenka i chlewiki pod ścianą ledwo że widzialne przed szańcami z mierzwy, któremi otoczone były. Podwórze miało, jak już wiadomo, wielką wjezdną bramę z furtką, któréj tylko wrót i drzwi brakowało, i otoczone było niegdyś parkanem, z którego dziś tylko same słupy pozostały. Prócz wierzby, na pół z kory obłupionéj przy bramie, i dzikiéj gruszki za dworem nad błotkiem, nie było żadnych drzew koło domu, i właściciel zwykł mawiać, iż drzew jest aż nadto w lesie, a o cień w upały nie trudno, bo zawsze jedna strona domu koniecznie w cieniu być musi.

Już się słońce chyliło ku zachodowi, gdy pan Dodosiński, właściciel dopiéro opisanéj włości, wjechał na podwórze z furą żyta z pola zwożonego, i zrzuciwszy je wraz z parobkiem do stodoły, przyszedł znużony spocząć na kamieniu przed domem i zawołał głośno:

— Basiu, wynieś mi tam podwieczorek! séra, chleba i dzban piwa, bom się spracował.

— Widzisz go — odpowiedziano z domu — spracował się i jeść woła! Raz ci się zdarzyło wziąść się do roboty i już się chwalisz, jak gdyby to tak zawsze było.

— Ja się nie chwalę, tylko wołam jeść i pić, bom głodny i spragniony.

— A dałżeś mi na sér, na chléb i na piwo, których się dopominasz? — rzekła, wynosząc kawał czarnego chleba, pół krajanka zeschłego séra i trochę piwa, z daleka kwasem trącącego, pani domu, dlatego tylko zdrobniałém imieniem Basi zwana, że mężulo chciał przez to zjednać sobie jéj łaski i tém pewniéj upragniony zasiłek otrzymać.

— Teraz przednówek — dodała, podając mu wszystko — a jaki jeszcze trudny do tego; gdybym ja nie pamiętała o wszystkiém, tobyśmy podobno dawno już byli z torbami poszli. Żebyś ty się téż kiedy czém szczerze zajął; spojrzyj w koło siebie, wszystko się wali, nigdzie nie masz ogrodzenia, poszycie dziurawe, a rola uprawiona, Boże zmiłuj!

— E, co mi tam; niech się dzieje co chce! Mnie przecież chleba nie brakuje, bo mam łaskę u panów.

— Ale pamiętaj na to, że masz syna, a jaką on sobie da radę, jeżeli dziedzictwo swoje tak spustoszałe odbierze?

— Faustynkowi bieda nie dokuczy, o niego się nie troszczę, bo mi cyganka powiedziała, że będzie zawsze szczęśliwym, i dlatego nazwałem go Faustynem Feliksem. Ale ty tego nie rozumiész, a ja, który doszedłem dawniéj aż do grammatyki, wiem dobrze, co to znaczy Feliks i Faustus, i dlatego powtarzam, nie troszczę się bynajmniéj o niego.

— Ale ja się troszczę i bardzo o naszego syna, bo już wyrosł chłop jak dąb, a jeszcze nie umié zarobić na kawałek chleba, i nie wiem, czego siedzi w téj szkole, gdzie się nawet niczego nie uczy.

— Wiem ja, czego on tam siedzi; czy się uczy, czy nie, to wszystko jedno, będzie on panem, mówię, i kwita!

— Boże! jak ci téż w głowie świta; lepiéjbyś był oto zrobił, gdybyś go był oddał w termin do jakiego rzemieślnika.

Na te słowa zerwał się pan Dodosiński z miejsca, zachłysnął się piwem, które po suchym chlebie popijał, odkaszlnął kilka razy i widać było, że się gniewał, choć jeszcze nie mógł nic wymówić; nakoniec przecież ozwał się groźnym głosem: — Co wasani mówisz, pani Dodosińska? Czyś to zapomniała, żeś moją żoną i matką Faustynka? Czy nie wiész o tém, żem ja szlachcic i mój syn także?

— I cóż z tego? i cóż z tego?—powtórzyła w gniewnym tonie pani Dodosińska.—Goły szlachcic gorszy od bogatego żyda.

Szybkość, z jaką te słowa wyrzeczone były, i wyraz nieukontentowania na twarzy małżonki, umitygował uniesienie pana Dodosińskiego tak, iż usiadł napowrót, gryznął w chleb, założył nogę na nogę i obojętnie rzekł: — Być może, być może; ale ja przy mojém stać będę, i choćbym miał żebrać, to się nigdy nie zachwycę żadnego rzemiosła, któreby szlachcica spodlić mogło — a zasadziwszy z całéj siły zęby w nader twardą krajankę, dodał, gdy zdołał jéj kawałek ukruszyć — i nie pozwolę nigdy na to, ażeby syn mój miał kiedy dratwy kręcić, lub skóry skrobać.

— A to weź go wcześnie do domu, aby się przynajmniéj gospodarstwa nauczył, i ażeby nawykł do roboty, bo potém nie będzie umiał zarobić na kawałek chleba.

— Zapewne, żeby się wychowywał za piecem, a potém nie wiedział, jak się znaléźć między ludźmi!

— A czegóż on się w szkole nauczy?

— Czego? — odpowiedział pan Dodosiński, kiwając nogą na drugiéj nodze założoną, i poglądając z szydzącym uśmiechem na żonę: — wy kobiety tego nie rozumiecie i rozumiéć nie możecie.

— I, mój ty mądry człowieku, ja myślę że ty sam nie wiész, czego chcesz! bo wszakże już rok blizko dochodzi, jak Faustynek przestał się uczyć i tylko jest jakimciś kalafaktorem, a taki pono w piecu pali i kańczugiem bije.

— A tak — rzekł z miną decydującą pan Dodosiński i popił kwaśnego piwa.

— No i cóż mu z tego przyjdzie? najwięcéj, że się nauczy służby hajduka lub podstarościego, ale takiéj, gdy jeden i drugi z batem mają do czynienia.

— E, co tam, tego wy kobiety pojąć nie możecie i kwita.

— Ale przecież godziłoby się, ażebyś mnie, jako matce, raz przynajmniéj objawił twoje widoki względem naszego syna, i ja chcę, abyś mi zaraz powiedział, na co mu się teraźniejszy jego stan przyda?

Ton mowy i temperatura twarzy pani Dodosińskiéj zbyt wyraźnie okazywały zbliżającą się burzę, ażeby mężulo nie miał użyć wszelkich środków wczesnego jéj odwrócenia; dlatego rzekł łagodnie: — Oto widzisz, rybko, na to go zrobiłem kalafaktorem w retoryce.... widzisz: retoryka, oto już zaraz rzecz, któréj nie rozumiész, i nie wiem, jak ci ją mam wytłómaczyć... oto wystaw sobie izbę, cztery razy tak wielką, jak nasza czeladnica, ale sklepioną, z dużemi oknami, bo ja byłem raz w retoryce, jakem zanosił ostatni raz buty Faustynkowi; było to w sam wieczór kiedy się wszyscy porozchodzili. Otóż to retoryka.

— I, cóż mi do twéj retoryki, mów ty mi o synie, po co on tam siedzi?

— Po co siedzi? Oto po to, aby zabrał znajomość z paniczami, którzy się tam uczą, i których tam dużo, bo są wojewodzice, kasztelanice, podkomorzyce, starościce.

— No wiem, już wiem wszystkie nice, jakie tylko są. Ale jakże on z nimi znajomość ma zabrać? Czy oni się też właśnie z nim wdają?

— Jak? a on tyle razy ma z nimi do czynienia, że muszą się z nim poznać koniecznie.

— Ale z jakiéjże strony zabiera z nimi znajomość, toć on tylko ma do czynienia...

— Otóż to, to, co najlepsze, bo panicze bojąc się jego ręki, starają się o przyjaźń, ujmują go sobie to butami staremi, to kontusikiem wytartym, to żupanikiem starym, to pasiną jeszcze jaką taką, a chłopiec, co się przyodziewa, to się przyodziewa i wchodzi w respekt u paniczów.

— A daléj co będzie? przecież całe życie nie będzie w piecu palił i...

— Nie, nie, broń Boże! — przerwał pan Dodosiński — potém... potém zrobię go dworzaninem.

— Radabym wiedzieć u kogo?

— U pana starosty! Alboż to zły dom, he?

— Odkądże to starosta zlecił tobie dobierać mu dworzan? A czyżeś go nie prosił już raz za Faustynkiem? cóż ci wtenczas powiedział? Że zbyt wielki gap', wszak prawda?

— No i cóż? bo zwyczajnie wtenczas nie był jeszcze dosyć obtarty między ludźmi, i ja w złéj chwili prosiłem pana starosty; było to przed obiadem, był jeszcze trzeźwiuteńki wtenczas. Ale jak teraz Faustynka odbiorę do domu, to sobie upatrzę dogodną porę, upadnę do nóg staroście, przyprowadzę mu syna mego i powiem:

— Oto jest mój jedynak, jaśnie wielmożny panie! wyrósł on duży, jest zdrów i silny, będzie wierny i przywiązany do swego pana i zaręczam...

— A ja też słucham twoich andronów — przerwała pani Dodosińska, budząc się poniekąd z zamyślenia i spuszczając ręce, które była założyła, przysłuchując się mężowi; ruszyła się z miejsca i wracając do domu dodała: — Stoję nad tobą, jakbym nie miała co lepszego do roboty... idź, idź, nie bajałbyś próżno, bo ci się nawet nie klei.

Lecz zajęty szczęściem swego jedynaka ojciec nie ruszył się z miejsca, siedział i marzył o przyszłym losie Faustynka, i tak długo, że zmordowane władze jego umysłowe nie zdołały wytrwać przy niezwykłéj czynności, i uległy nakoniec przemocy snu, który przedłużył marzenia na jawie miane.

ROZDZIAŁ V.

W i ę z i e ń.

Słońce już było wysoko nad naszym padołem płaczu, ocucone muchy oddawna męczyły Dodosińskiego, dosypiającego zwykłéj miary gnuśności, tak iż na pół odurzony postanowił wstać z posłania, i tylko jeszcze zwykłą walkę między chęcią leżenia, a potrzebą wstania odbywał; gdy przeraźliwy krzyk na podwórzu do przyśpieszenia chwili rozstania się z łożem przymusił. Skrzętna małżonka była bowiem od świtu na polu u żniwa, i nikt prócz samego pana w domu nie pozostał, tak dalece, iż koniecznie trzeba było wybiedz na pomoc wołającemu.

Gdy tedy jakkolwiek odziany, boso wypadł przed sień, spostrzegł żyda i psa podwórzowego, niewzruszenie obok siebie stojących. Żyd szedł śpieszno do Dodosińskiego i zatopiony w rachubach zapomniał o znanym sobie kundlu, którego spotkania zwykle jak najusilniéj unikał, aż na jakiś stos wysoki drzewa niespodzianie natrafiwszy, wszedł poniekąd na niego, i obudził psa ze snu, w którym równie jak pan jego na barłogu był zdjęty.

Pies przeląkł się z razu, porwał z barłogu, lecz w miejscu, i spojrzał obojętnie na żyda, bo mu się jeszcze szczekać nie chciało; żyd stał także, bo nie śmiał uciekać, lecz twarz odwracał od kondla, aby przynajmniéj nie patrzéć na grożące niebezpieczeństwo. Krzyknął z razu przeraźliwie, ale gdy kundel podniósł ogon do góry, zamilkł, odwrócił się od niego i oglądając się na wszystkie strony, mówił przytłumionym głosem: — No, weźcie tego psa! weźcie tego psa! — Dodosiński wyszedł przed sień, gdy się żyd zwolna oglądał na Obala, czy jeszcze przy nim stoi, a spostrzegłszy go, jak się przeciągał obojętnie i ziewał nawet, odwrócił się szybko, bo go widok dwóch rzędów zębów niezmiernie przeraził.

— No, weź waćpan tego psa! — rzekł nieco głośniéj, gdy Dodosińskiego obaczył i czekał wybawienia siebie z przykrego położenia. Pan domu gwizdnął, pies radując się pobiegł ku niemu i szczeknął parę razy, aby przekonać pana, że ma chęć wykonania swego obowiązku.—No, co téż waćpanu po takim dużym brzydkim psie? a gdyby on téż ukąsił? wołaj go waspan! czego on chce odemnie?

— Nie bójcie się Wołku — odpowiedział Dodosiński — odpędzając psa i zagroził mu kijem, tak iż Obal z mrukiem wrócił na zwyczajne legowisko. Pan domu zaś rzekł daléj: — Czegóż to chcecie tak rano? gdzie to idziecie?

— Czego chcę? gdzie idę? A czegóż mam chciéć, jeżeli nie swojego? a dokądże mam iść, jeżeli nie do waćpana?

— Już znowu. A co za przeklęty żyd! Zapewne będziesz się upominał tego, coś dubeltową kredą na ścianie napisał?... Obal, na tu!

— Nie! daj waćpan pokój, panie Wojciechu! czego to żartować znowu? On mógłby doprawdy mnie okaleczyć. Przecież człowiek musi za swojém chodzić: mnie nikt nic nie daruje, ja pański skarb utrzymuję, ja muszę panu arendę płacić, a przecież waćpan nie będziesz chciał mojéj krzywdy.

— A ktoby tam chciał twojéj krzywdy? Ja ci zapłacę wszystko co do szeląga, tylko czekaj i nie naprzykrzaj się... jak się zasieje, to się i wymłóci, i sprzeda w mieście.

— Toć się sprzeda, i nie raz już się sprzedawało, a Wołek z tego nic nie będzie miał. Alboś to waćpan nie sprzedał przed tygodniem dwóch wieprzaków? a cóż mi z tego przyszło?

— To nie ja, to moja żona, a ona za mnie nie płaci: i jak jéj słowo piśniesz o tém, ilem ci winien, to zobaczysz, co ja ci zrobię.

— Ktoby tam zaś! Toć waćpan wiész przecież, że ja nic nie gadam przed nikim; bo czego to ludzie mają wszystko wiedzieć? Ale nie wiem, czy można przy niéj mówić o Faustynku, bo oto właśnie idzie?

— Co o Faustynku? Cóż ty wiész o nim?

— Zwyczajnie nic — rzekł żyd stłumionym głosem i powitał panią Dodosińską, która bardzo złém okiem na niego spojrzała, i zapytała go, po co był przyszedł.

— Po staremu — odpowiedział — przyszedłem zwyczajnie do jegomości dowiedzieć się, co tam słychać u niego? jak będzie plonowało?

— Wypatrzéć, cobyś mógł zagrabić za jego długi — rzekła z niechęcią pani Dodosińska — wydrwić na nim jaki korczyk zboża, albo ostatnie bydlę z obory. Nic z tego nie będzie, bratku. Po co mu na borg dajecie? niech pije, kiedy ma za co; ja mu nic nie dam.

— Ale co ci się znowu zdaje, rybko? On ani myślał o tém; on przyszedł z jakąś nowiną od Faustynka.

— Od Faustynka? — zawołała z wyrazem ucieszenia matka.— Cóż nam dobrego o nim powiecie, mój Wołku? czyście byli u niego w Łowiczu? Cóż on tam?

— A pocóżbym ja tam chodził? Tak go zwyczajnie widziałem przypadkiem.

— A to gdzie? — spytała matka.

— W śpichrzu pana starosty.

— Co to jest w śpichrzu pana starosty? — zawołał, posuwając się z gniewem ku żydowi ojciec. — Coby on miał robić w śpichrzu? chyba ci się zdawało, albo przyśniło.

— No, kiedy mi się zdawało, to niech tak będzie. A co mnie to

szkodzi? Niech sobie siedzi, kiedy się waćpan gniewasz, panie Wojciechu! Co mnie to szkodzi? Niech sobie siedzi.

— Ale, mój Wołku, czekajcie-no! — rzekła stroskana matka — przecież nie odchodźcie tak; toć powiedzcie, co się z nim dzieje, bo mnie strach bierze doprawdy.

— Po co was ma brać strach? Co mu się stanie?

— Ale przecież gadaj, jak człowiek rozumny — rzekł ojciec — powiedz, coś widział? coś słyszał? bo ja dotąd jak w rogu.

— Oto tak, widzisz waćpan, panie Wojciechu. Byłem u dworu po wódkę i jechałem sobie na szkapie zwyczajnie, baryłka przedemną na karku konia oparta, i przejeżdżałem koło śpichrza, co to nade drogą stoi. Wtém jak coś krzyknie: Wołek! tak ja ledwom nie spadł z konia, który się zląkł i w bok skoczył, i ledwom baryłkę utrzymał przed sobą i pomyślałem sobie: Bodajeś przepadł ty jakiś, coś mnie nastraszył, bodajeś!

— A to może był Faustynek — przerwała matka. — Wyście go przeklinali, Wołku!

— A toć on był, nie kto inny. Alem go dopiéro poznał, gdym się do okienka zbliżył. Ale com ja to miał termedyi i strachu, nim to nastąpiło, bo szkapa nie chciała ruszyć z miejsca, baryłka mi wypadła, szczęście że w piasek, bo byłaby pękła. Musiałem szkapę uwiązać u płota i dopiéro...

— I, co nam tam do tego, coście robili. Powiedzcie tylko, co Faustynek robił w śpichrzu?

— Wyglądał okienkiem, które było za małe, coby niém mógł głowę wykazać; a ja mu tylko oczy i nos widziałem, a on mi powiedział, abym wam powiedział, że on tam siedzi.

— Ale cóż on robił w śpichrzu? jak tam wlazł? — zapytała matka.

— Ja myślę, że drzwiami musiał wleźć, bo by się oknem nie zmieścił.

— I wy się tylko śmiejecie z naszéj biedy, Wołku — rzekł ojciec odchodząc do dworu. — Trzebać mi to śpieszyć co tchu, aby się dowiedzieć, co to się znaczy.

— Otóż to tak! — rzekła matka z płaczem. — Nie mówiłam ja ci zawsze, że się to na jakiéj biedzie skończy? Potrzebnieś go trzymał w tym Łowiczu? Chłopak się zbisurmanił, musiał co zbroić i pan starosta go kazał osadzić. Otóż-to tak go promowujesz na dworzanina! Gdybyś go był w domu trzymał, toby się to wszystko nie było stało.

Tak mówiła pani Dodosińska, nie zważając nawet, iż jéj mąż nie słyszy. On zaś tymczasem ubrał się w niedzielny kontusz, przypasał szabelkę, wziął kij do ręki i nacisnąwszy czapki na uszy, aby napomnień żony nie słyszał, wyszedł za wrota z Wołkiem, który ztamtąd w inną stronę drogę swoję obrócił.

W głębokiém zamyśleniu postępował stroskany ojciec ścieżką, którą sam przez pole i łąkę udeptał, minął las i wyszedł na drogę, w któréj w ostatnim załamku widać było wieżę kościoła, i bielące się dwa kominy na drewnianym dworze pana starosty.

Rozmaite bardzo uczucia miotały sercem stroskanego: to gniew na występnego może syna, to litość nad niewinnie cierpiącym. Raz się zajmował odgadnieniem tajemnicy i wymyślaniem środków oswobodzenia jedynaka, drugi raz ubolewał nad zniszczeniem najmilszéj nadziei swojéj.

Wszystkie te wzruszenia przyśpieszały kroki jego; im mocniéj go myśl zajmowała, tém prędzéj szedł naprzód, tak dalece, iż zdyszany i zmęczony stanął w miejscu, do którego zmierzał.

Nade drogą naprzeciw dworu stały zabudowania dworskie, śpichlerz tyłem, a dwie stodoły węgłami do drogi obrócone. Przy rogu pierwszéj od pola stodoły zatrzymał się dopiéro nasz Dodosiński; ocierając pot z czoła, starał się zebrać myśli względem tego, jak ma powitać swego jedynaka, czy z wyrazem złości, czy też z pobłażającą dobrocią? Lecz gdy parę kroków naprzód postąpił, usłyszał stłumionym głosem wyraz *tatynku* dwa razy powtórzony, który całą surowość jego rozbroił. W ciasném w ścianie drewnianéj wyrzniętém okienku, mieściła się połowa tylko tłustéj Faustynka twarzy, tak iż ojciec nie mógł rozeznać, jakie się na niéj uczucie maluje.

— A ty tu co robisz? — zawołał. — Za cóż cię też osadzili?

— Albo ja wiem? — odpowiedział spokojnie Faustynek. — Pan starosta kazał i oto jestem.

— Ale zkąd się tu wziąłeś? po co wyszedłeś ze szkoły?

— Albo ja wiem po co? pan starościc poszedł sobie, a ja za nim. Przyszliśmy obaj tutaj, a pan starosta kazał nas osadzić obudwóch: jego gdzieś tam we dworze, a mnie tutaj we śpichrzu.

— Toście wy sobie tak wyszli obaj z Łowicza, ni z tego ni z owego, na hulankę zapewne... i tyś paniczowi drogę do złego pokazał? He, czekaj-no! dam ja ci, jéno się do ciebie dostanę.

— Ej, co tam tatynku gadacie! Nam się też właśnie śniło o hulance albo zabawie, kiedy był strach i duży do tego; myśmy zmykali co tchu, aby nas nie złapali.

— Więceście coś zbroili? A ja nieszczęśliwy, cóż to z ciebie będzie!

— Cóżeśmy mieli zbroić? Co tam panicz zrobił, to zrobił, ale ja wiem, żem zupełnie niewinny. Słuchajcie tylko tatynku, a sami powiecie, żebyście byli to samo zrobili, co ja uczyniłem.

Studenci pobili się onegdajszego dnia po południu. I cóż w tém dziwnego? wszak to nie pierwszy raz! Ale się dobrze bili

w izbie, bo ja na klucz drzwi zamknąłem, ażeby im nikt nie przeszkodził, tak, że aż *Pater* drzwi musiał kazać wybić.

— I ty mówisz żeś niewinny? ladaco!

— A cóż ja miałem robić, kiedy mnie panicz kazał ani jednego studenta do szkoły nie puścić; ja też pomyślałem sobie: Co ja się mam kłócić z nim, jak będzie chciał wejść koniecznie? Dla tego wolałem zamknąć drzwi, wziąść klucz do kieszeni i pójść sobie na piwo, póki godzina nie wybije. Ale kiedym wrócił, to już drzwi zastałem otwarte.

— Zapewne ci za ten figiel chcieli dać baty, a tyś uciekł?

— Ej, gdzie tam! Nikt o niczém nie wiedział. Chcieli owszem, ażebym ja dał plagi temu, którego tam za najwinniejszego mieli; ale ja nie chciałem i uciekłem z izby.

— A ty hultaju! A za cóż ci to płacą? za cóż cię żywią? odziewają i ciepło w zimie trzymają? Nie mówiłżem ja ci tyle razy, żeś powinien wiernie służyć temu, co ci płaci?

— A toć ja też to zrobiłem. Bo mi pan starościc dał niedawno stary żupanik. Jakże ja go miałem bić za to?

— To więc pan Wacław najwięcéj zbroił, i ty jego bić nie chciałeś? Nie ma co mówić, dobrześ zrobił. Ale znać, że lepiéj było dać plagi nakazane, kiedy oto siedzisz za to, coś go od nich obronił.

— Siedzę, i cóż z tego? Albo nas to pan starosta wysłuchał? Ja więcéj zrobiłem dla pana Wacława, bo nie tylko żem go nie bił, alem go jeszcze z karceresu wybawił.

— A pocóżeś się do tego jeszcze mięszał? Czy nie dość było jedno głupstwo zrobić?

— Ale co ja temu winien? Oto tak było: Jakem uciekł z izby, żeby nie bić panicza naszego, nie wiedziałem gdzie się podziać ze strachu, i gdym upatrywał jaki kąt dogodny, przypomniało mi się, że mam przy sobie klucz od karceresu. Wszedłem więc do tego ciemnego lochu i wyjąłem klucz dlatego, abym mógł widzieć przez dziurkę co się na korytarzu dzieje. W tém, gdy w najlepsze patrzę, zbliża się Pater i kalafaktor z gramatyki, który miał drugi klucz od karceresu. Otwiera drzwi; ja umykam w kąt; wpychają do karceresu kogoś i drzwi za nim zamykają. Nowy mój sąsiad nie spostrzegł mnie z razu. Alem kichnął, a on krzyknął i obaśmy się razem poznali: on, że to ja, a ja, że to on.

— No i któż to był?

— A któż ci? pan Wacław.

— A pocóżeś go wypuścił?

— Ja go nie wypuszczałem, ale przecież musiałem sam wyjść, bo trzeba było wrócić do izby, poustawiać powywracane ławki; a potém

pójść chciałem do Patra, przeprosić go za to, żem panicza bić nie mógł. Więc otworzyłem sobie karceres i wyszedłem, a pan Wacław za mną.

— Nie trzeba go było puszczać!

— Ale, kiedy nie chciał zostać. I prócz tego chmara studentów szturmowała już do drzwi, chcąc go uwolnić. To lepiéj, żem otworzył, bo byliby drzwi popsuli.

— No, dobrze, ale po cóż było uciekać ze szkoły i z miasta?

— Albo ja wiem? Jakem tylko wylazł z ciemnéj dziury z panem starościcem, porwali mnie i jego inni studenci, wzięli nas na ręce i wynieśli przed sień. Potém krzyczeli: Wiwat Faustynek! Wiwat Faustynek! i posadziwszy nas na ziemi, poszli z nami prosto przez rynek na most i za most z wielkim krzykiem i hałasem. A gdyśmy już byli na prostéj drodze do domu, uściskali nas, pożegnali i co tchu naprzód iść kazali. Ja téż poszedłem, ale sam nie wiedziałem po co i za co, alem się nie mógł wracać, bo mi pan staroście powiedział, żeby mnie najprzód sami studenci, a potém professorowie wybili; że się już nie mam po co wracać; że będzie o mnie pamiętał. Ja go to nie chciałem słuchać z razu, ale jak mi powiedział, że nie wié drogi do domu, toć ci go musiałem odprowadzić; a potém miałem się wrócić.

— A ja nieszczęśliwy! Twoje głupstwo zepsuło całe szczęście nasze! Teraz jeszcze i pan starosta zagniewany.

— A za cóż on się gniewa? Za to może, żem mu syna od plag i karceresu ocalił? Idźcie, idźcie tatynku! Wy téż nie chcecie być wyrozumiałym; wybyście powinni mu powiedzieć, że ja na to nie zasłużyłem.

Na te słowa powstała myśl szczęśliwa w umyśle stroskanego ojca, a ufając w własną układność i wymowę, udał się do dworu przebłagać starostę i upomnieć się krzywdy Faustynka.

ROZDZIAŁ VI.

Niespodziewana łaska.

Pan starosta, ojciec owego Wacława, którego śmy w pierwszym już rozdziale poznali, był człowiekiem znamienitego rodu i bardzo majętnym kiedyś. Nie wyjawimy tutaj jego nazwiska, bo gdy całe życie swoje tylko dla siebie przepędził, i żadnéj po sobie nie zostawił pamiątki, mniejsza o to, że potomność nie będzie znać tego, który tak mało dbał o nią.

Używać świata w sposób, w jaki w owym czasie go używano, było

jedynym celem jego życia. Póki gospodarna małżonka wodze domowego rządu utrzymywała, póty wystarczały znaczne dochody własnych dóbr i starostwa na gościnne życie jego. Lecz gdy ze śmiercią troskliwéj matki Wacława zniknął wszelki rząd domu, gdy starosta ani się miał kim zastąpić, ani kogo obawiać, szły w zastaw włoski jedne za drugiemi, i pożycie w domu jego tém było świetniejsze, im się wszystko więcéj do upadku zbliżało.

Wierna drużyna przyjaciół i domowników gościła nieodstępnie w jego domu: niektórzy tak zwani chudeusze ciągle w nim przebywali, a liczne towarzystwo sąsiadów, krewnych i przyjaciół kolejno do niego uczęszczało. Czas schodził na łowach, biesiadach i niekiedy dla odpoczynku na grze w karty. Nadworna kapela grała panu i gościom na *dobry dzień*, grała wiwaty przy obiedzie, grała w każdym razie, gdy zagrzane winem głowy ciągłego potrzebowały hałasu, aby nie dostrzedz zamięszania, jakie w nich panowało; albo gdy przy chłodzie wieczornym skromny tylko kieliszek obchodził, aby rosa nie szkodziła gościom, lubiącym przysłuchiwać się klarynetom, których odgłos po okolicy się rozbiegał. W tém ciągłém odurzeniu zmysłów nie miał starosta czasu zastanowić się nad losem własnym i syna swojego. Pomykał on szybko ku smutnym chwilom życia, nie bacząc na to, co go nadal czeka, jak ów nieroztropny chłopiec na płytkiéj łyżwie rozpędzony, pędzi naprzód po ślizgiéj i łyszczącéj się powierzchni, a nie widzi opodal przerębli, która go pochłonąć może.

Storosta spał jeszcze po dłuższém niż zwykle biesiadowaniu, późno w noc. Lecz pewien oddział gości, który do honoratiores nie należał, już był obudzony. W szczęśliwém próżnowaniu oczekiwał chwili rozpoczęcia zwykłych zabaw, i obmyślał środki bawienia i rozweselenia pana. W wielkiéj sali, po prawéj ręce obszernego dworu leżącéj, a zwykle do uczt przeznaczonéj, czego czerwoném suknem podbite ławki dla muzyki w jednym jéj rogu stojące dowodziły, było kilkanaście posłań ze słomy, pokotem jedno po drugiém, kobiercami po większéj części pokryte, a kilka tylko pościelą opatrzonych. Goszczący rozciągali się jeszcze po nich: jedni, przygnębieni trudem wiwatowym, dosypiali potrzebnéj miary do zupełnego wytrzeźwienia, i głośném chrapaniem wdawali się poniekąd do toczącéj się między innemi rozmowy; drudzy, już obudzeni, nie przemawiali jeszcze i słowa, bo pewne ociężenie i przykre nudności psuły im humor i wstręt do wszystkiego wzbudzały. Inni nakoniec, wprawni i wytrzymali wszelkiego rodzaju szermierze, byli już przy zupełnych zmysłach, ocuceni na ciele i umyśle, gotowi do nowych zapasów, i tak zdrowi i silni, jak gdyby w ciągłéj wstrzemięźliwości życie pędzili. Z pomiędzy tych jeden już był na nogach i przeglądał się w zupełnym kuble wody, aby wąsom ozdobną pokrętność nadać. Był-to niegdy namiestnik lekkich znaków,

dziś nie proszony, lecz ciągły gość starosty. Postawa jego mogła zastraszyć niejednego i oznajmiała wojaka, któremu tylko na sposobności dania dowodów męztwa zbywało. Bawił on leżących jeszcze opowiadaniem swoich czynów na wyprawie do Siczy przeciwko hajdamakom, a silny głos jego rozlegał się po izbie, i wtenczas się nieco tłumił, gdy staranne muskanie i zakręcanie wąsów, ust szeroko otwierać nie dozwalało. Drugi po nim wstał chudy, wysoki szlachcic, który niedługi czas na ubieraniu strawił, palcami potargane włosy rozgarnął i potém je dłonią nad czołem przymuskał. Ten badał rycerza o wszelkie szczegóły opowiadanéj wyprawy, przerywał mu niekiedy wykrzyknikiem nieoznaczającym, lub wyrazami: *No proszę!* a zważając niby najpilniéj na powieść, własną jakąś sprawą wyłącznie był zajęty.

Był to subdelegat, pełnomocnik, doradzca i totumfacki pewnéj wdowy, co ją późniéj poznamy, który nie bez przyczyny często w domu starosty gościł i niejednéj potrzebnéj sobie wiadomości zręcznie zasięgał. Trzeci poszedł za przykładem kollegów, żwawy, nizki i dość opiekły szlachcic, który słynął z dowcipu, grał na bandurce i śpiewał własne piosnki, aby pana rozweselać i skarbić tę łaskę jego, która mu schronienie, odzież i wyżywienie zapewniała.

Inni, najopieszalsi do wstania, byli to po większéj części młodzi panicze w pierwszém polu biesiadnych wypraw, którzy nie mogli jeszcze wytrwać równie z drugimi, i dłuższego wczasu po trudach potrzebowali.

Między goszczącymi kręciło się kilku pachołków i dworskich, to przysposabianiem ubiorów dla panów swoich, to dostarczaniem dla panów polewki piwnéj lub kieliszka wódki zajętych. Za nimi weszło kilka psów legawych do izby, które napadnięte zostały od tych, co obok panów swoich noc przepędziły, a po odparciu tych napaści, lub gardząc słabszymi przeciwnikami, zajęły miejsca na posłaniach, dopiéro co przez gości opuszczonych.

Między tych wszystkich wszedł nasz stroskany ojciec, pan Wojciech Dodosiński, chcąc z nimi razem oczekiwać obudzenia się pańskiego.

— A witaj-że nam, witaj, miły hospodynie! — krzyknął Srokosz, ów wirtuoz bandurkowy, o którym wyżéj.

— A gdzieżeście to przebywali, panie bracie? — rzekł namiestnik wczorajszéj gratki. Była to bowiem jedna z lepszych.

— Bez wątpienia, bez wątpienia, — dodał subdelegat, dmuchając przytém w garnuszek grzanego piwa, które z wolna popijał po każdym kęsie chleba.

— Co mi tam do waszej gratki! — odpowiedział smutnie Dodosiński.—Żałuję, żem tu nie był, ale nie dla hulanki, tylko dlatego, izbym był zapobiegł nieszczęściu mego jedynaka.

— A cóż mu się to stało? — zapytał Srokosz. — Otrzymał basarunek? Nie wielki to frasunek.

— Widzisz go, co za trefniś! — odpowiedział z niechęcią Dodosiński. — Wam to łatwo przychodzi szydzić z obcéj biedy. Mój syn od nikogo nie brał basarunku, wiész?

— Wiem. On nie bierze, tylko daje — odparł żywo Srokosz i głośno się śmiać zaczął, aż się trząsł cały siedzący na ławie.—Za cóż tak się srożycie? czego się gniewacie, panie Wojciechu? Wolne żarty każdemu.

— Nie, to niedobrze — przerwał pan namiestnik — śmiać się z obcéj biedy. — Pan Wojciech ma zapewne jakiś smutek prawdziwy, i chce może zasięgnąć naszéj rady.

— Bez wątpienia, bez wątpienia — dodał subdelegat.—Cóż się to tedy stało godnemu synowi waszmość pana?

— A gdzieżeście to byli wszyscy wczoraj? jak się to działo? — zawołał z podziwieniem Dodosiński, zakładając ręce i odstąpiwszy w tył parę kroków.

Odpowiadając na to, zbliżył się ku niemu Srokosz, uderzył go lekko w ramię i rzekł:

Gdzieśmy byli panie bracie?
Wy to wiecie, wy to znacie.
Kiedy człek nachyli dzbana,
Wązka izba, blizka ściana,
W głowie tak jak w pustym miechu;
Wy to znacie, mój Wojciechu!

— Idź ty kleto z twojemi wierszułami — rzekł, oddalając się od niego z niechęcią Dodosiński.—Wierzę temu, żeś ty o świecie nie wiedział, kiedyś przebrał miary. Ale cóż to tu żaden z was nie pamięta tego, że wczoraj przybył pan starościc z moim synem?

— Co? — zawołał jeden ze świeżo ocuconych, zrywając się na pościeli — co, Wacław jest tutaj? Powiedzcie prawdę! Kochany chłopiec! Chciałbym go uściskać czém prędzéj. Powiedźcie, czy był, czy jest?

— Tak, tak — odpowiedział na to, głaszcząc się po twarzy i uśmiechając złośliwie subdelegat. — Był, jakby nie był, jest i nie jest.

— To to wasz syn, panie bracie? — rzekł z głośnym i grubym głosem namiestnik.—To to jego wczoraj casus taki spotkał?

— Co za casus? co takiego? — zawołał z niecierpliwością Dodosiński.—Czy ja się dowiem czego od was dzisiaj, czy nie?

— Mówcie-no, mówcie, jeśli wiécie, a prędko! — zawołał mło-

dzieniec z posłania, bo ja o niczém nie wiem. — Na to odpowiedział Srokosz, obracając się do niego:

Nie wiész, panie, co się działo,
A dlaczego, powiem śmiało:
Boś był także między nami,
Nie na ławach, pod ławami.

— Cicho, ty nieznośny gaduło! — rzekł młodzieniec z pościeli. — Pan subdelegat będzie najlepiéj wiedział, co i jak się stało. Proszę tedy.

Zapytany przybrał minę wątpliwą, przychylił nieco głowy, spuścił oczy, ruszył ramionami, otworzył ręce, a przeginając się z boku na bok, zaczął chodzić po izbie i mówił:

— In tantum, in quantum sobie przypomnieć mogę, rzecz się miała sposobem następującym:

Było to już, mości dobrodzieju, dawno po zachodzie słońca. Pan wojski, jak wiadomo, główny gość i powód wczorajszéj ochoty, mężnie jeszcze wszystkim dotrzymywał placu, i otoczon w koło trupami w téj bachusowéj sprawie poległemi, z panem starostą i z nami trzema, jak nas tu panowie bracia widzicie, walczył zapamiętale i każden kielich, jak się uczciwemu człowiekowi godzi, z kolei przyjmował. Hej! zawołał pan starosta, rozgniewany, jak już widziałem, wytrwałością przeciwnika, hej! dać tu smoczek! Jedno jeszcze zdrowie, wiwat! *kochajmy się!* spełnić musimy. — Ha, dobrze — rzekł pan wojski — przestępując z nogi na nogę, i wkrótce podano groźne narzędzie, z którego żaden fryc i jednego łyka nie pociągnie. I gdy go nasz pan wziął do ręki, wszedł wówczas marszałek, zbliżył się do niego, i coś mu szepnął do ucha. — Ha ladaco! — zawołał pan starosta tém rozgniewany, że doznaje zwłoki w zamierzoném pokonaniu przeciwnika swego. — Cóż takiego? — krzyknęliśmy wszyscy, zrywając się do kordów. — Nic, nic — rzekł pan starosta, dając nam znać ręką — to mój syn drapnął ze szkół z famulusem swoim. Trzeba go ukarać: panicza wsadzić do sypialnego pokoju nieboszczki żony mojéj, a famulusa do śpichrza. Idź waść! — rzekł do marszałka, i zawoławszy: Wiwat! Kochajmy się! przysadził się do smoczka, lecz niestety, brakło siły; legł pod przewagą téj broni i dotychczas leży jeszcze. A pan wojski, obróciwszy się do nas, rzekł: — Dajcie-no go tutaj! Ja to kiedyś umiałem. — I w mgnieniu oka wypróżniwszy smoczek, pomógł odprowadzić pana starostę do łóżka, a sam wypiwszy jeszcze kufel piwa dla ugaszenia pragnienia, wsiadł do powozu i zdrów do domu pojechał. Tym to tedy sposobem dostał się panicz i syn pana Dodosińskiego.

Wtém usłyszano klarynety. Ten odgłos przerwał mowę opowia-

dającego i uwagę słuchających. — Pan wstaje! — zawołali wszyscy, i jeden przed drugim śpieszył powitać łaskawego pana.

Niedługo zgromadzili się goście w pokoju przyległym sypialnemu pana starosty, i zastali jego respektowych dworzan, oczekujących przybycia pańskiego i gotowych na jego usługi. Stary Dodosiński wszedł za innymi nieśmiało, z twarzą posępną, bo nie był pewnym pomyślnego skutku zabiegów swoich. Jedni poglądali na niego z politowaniem, drudzy szydzili z wypadku ukochanego synalka, a mało kto był taki, coby się chciał za nim do pana wstawić.

Po niejakiém oczekiwaniu wyszedł szatny z pokoju pańskiego i zawołał Dodosińskiego do pana starosty, zostawując obecnych zajętych domysłami nad tém, jak mu tam będzie; a Srokosz rzekł za odchodzącym:

Nie chciałbym być w jego skórze,
Boby mnie świerzbiało srodze.
Kiedy przewidujem burze,
Lepiéj pono ufać nodze;
Fugas w chrustas i w kraj, świat,
Bo wara marszałka bat!

Głośny śmiech powstał na ten koncept nadwornego poety, którym zatrwożonego ojca Faustynka pożegnano, tak iż wesoły odgłos aż w pokoju pana starosty się odbił.

Lecz tu były rzeczy wcale inaczéj, jak się spodziewano. Pan starosta, obudziwszy się, nic nie wiedział o tém, co się dnia wczorajszego stało i mocno się zdziwił, gdy go się marszałek zapytał: coby miał z paniczem robić? Pomiarkował się wszelakoż, i chcąc pokryć nieprzyzwoitość swego postępku, rzekł surowo, zapytawszy się wprzód nieznacznie o niektóre szczegóły powrotu Wacława: — Idź waść zawołać mego syna i zostawić mnie z nim sam na sam.

Przykro było ojcu przybierać powierzchowność zagniewanego, gdy czuł wewnętrznie, iż zbyt porywczo wczoraj osądził syna, którego bardzo kochał i dobre przymioty wysoko cenił. Lecz nie chcąc ujmy czynić powadze ojcowskiéj, przez wzięcie winy na siebie, rzekł do Wacława, gdy ten z pokorą wszedł do pokoju i rękę ojcowską pocałował:

— Cóż się ma znaczyć to nagłe przybycie, czyli raczéj ta ucieczka ze szkół?

— Przewiniłem ojcze — odpowiedział Wacław, padając mu do nóg — ale w uczciwéj sprawie. Uniosłem się zbytecznie, stałem się przyczyną zamięszania i miałem być sromotnie karany, lecz — dodał z ogniem,

powstając z miejsca — nie mogąc znieść zniewagi, wolałem wrócić do ojca, paść mu do nóg, i błagać jego przebaczenia i protekcyi.

Podobały się staroście postawa śmiałą i szlachetne uniesienie Wacława. Uniósł głowę do góry z uśmiechem i rzekł:—Dobrze tak, Wacławie! dobrze! Czuły jesteś na dobrą sławę, takimi wszyscy przodkowie twoi byli. To mnie cieszy i za to odpuszczam ci wszystko, cokolwiek mogłeś uczynić, i nawet chęci znieważenia ciebie srodze dopominać się będę.

Ucałował Wacław rękę ojcowską i rzekł: — Lecz-to nie tylko o mnie samego idzie. Jest tu jeszcze kto inny, co niewinnie za mnie cierpi i który także wczoraj zamknięty został; za nim błagam łaski twojéj, ojcze!

— A za kimże to? zapytał starosta, usiłując pokryć niewiadomość swoję, czy za tym.... to mówiąc dał znak pogardzający głową.

— A tak — odpowiedział syn. — Jakkolwiek powierzchowność jego nie mówi za nim, jest on wszelako przywiązany do naszéj familii, i w tym razie właśnie na karę, jaką mu przeznaczyłeś, ojcze....

— Karę? — zapytał przerywając starosta. — Ale bo widzisz, ja rozumiałem, że kiedy.... No, zresztą zobaczę jeszcze, co zrobić wypadnie; tylko mi wszystko opowiedz, jak się stało, abym wiedział, czego się mam trzymać.

Wacław opowiedział ojcu z największą otwartością całe zdarzenie, w którém tenże nic tak nagannego nie widział, zwłaszcza, że był osobistym nieprzyjacielem ojca owego podkomorzyca, którego Wacław wyzwał i drżącego na plac bitwy z katedry wyciągnął. Następnie przytoczył postępek Faustynka i oswobodzenie swoje z karceresu, co się tak bardzo staroście podobało, iż kazał przywołać marszałka i surowo go się zapytał: — Ktoby był śmiał wsadzić Faustynka do śpichrza?

— Jaśnie wielmożny pan — odpowiedział z nieśmiałością marszałek — rozkazałeś.

— Ja rozkazałem? Toś się waść przesłyszał. Ja tego rozkazu dać nie mogłem, i chcę, żeby go wypuścić i żeby nikt o tém nie wiedział.

— Jakże nie ma nikt wiedzieć — odparł marszałek — kiedy ojciec jego już się z nim widział, i czeka w przyległym pokoju na wyjście jaśnie wielmożnego pana, aby łaski jego za synem błagać.

— Co też waszeć za niezręczny sługa! — zawołał z gniewem starosta. — Nie mogłeś się waść domyślić.... ale co tam, mniejsza o to. Wołać mi starego Dodosińskiego!

W skutku tego rozkazu wszedł tedy nasz stroskany ojciec i skłonił się pokornie do nóg staroście, i czekał z trwogą spełnienia przykréj

wróżby, którą wychodząc z sali wspólnego zebrania za sobą słyszał; lecz jakże się zdziwił i pocieszył, gdy usłyszał te wyrazy starosty:

— Masz waszeć poczciwego syna! Chciałem się przekonać o rzetelności tego, co mi o nim powiedziano, dlatego musiałem go kazać potrzymać trochę na osobności, aby zapobiedz zmowie; ale za to przekonawszy się, że jest wiernym i przywiązanym do nas, przyjmuję go do mego dworu na pokojowca. Wszakżeś sobie waść tego życzył kiedyś?

— A, jaśnie wielmożny panie! — odpowiedział Dodosiński uradowany, padając do nóg starosty — łaska jaśnie wielmożnego pana.... i co tylko z mojéj strony.... najuniżeniéj....

— Dobrze, dobrze, panie bracie — rzekł starosta, podnosząc go lekko od kolan swoich. — Idź waść teraz nacieszyć się z synem, pojutrze go odprowadzisz do służby. Dziś możecie sobie wrócić do domu.

To rzekłszy, dał znak, aby drzwi otworzono. Wszedł z rozweselоną twarzą, mając Wacława przy sobie, między kłaniających się ze wszech stron dworzan i gości, i powitał wszystkich uprzejmém skinieniem.

Następnie w dał rozkazy kilku dworzanom, którzy w miarę ich odebrania śpiesznie z sali wychodzili. Pomówił z kilkoma osobami w szczególności, i w ogóle do wszystkich słów kilka przemówił; wspomniał o powrocie syna, jakby się żadna przygoda nie była wydarzyła; po chwili zaprosił gości na śniadanie do owéj izby, gdzie przed godziną szlachta na słomie zalegała.

ROZDZIAŁ VII.

Wyprawienie jedynaka w świat.

Opuścił uradowany ojciec smaczne śniadanie, jakiego nigdy w domu nie miał, bo w pierwszém uniesieniu szczęścia swego nie pomniał na to, że nicby na tém nie był stracił, gdyby był nieco spóźnił uwolnienie Faustynka, lub gdyby uwolniwszy go, był sam wrócił do bigosów, ozorów, kiełbas i alembikowéj wódki. Lecz niespodziewana pomyślność odjęła mu przytomność umysłu, któréj zwykle dawał dowody, ile razy szło o to, aby się na obcym stole pożywić. Z boleścią żołądka przebiegł przez sień, w któréj go zapach smażonéj kiełbasy zaleciał, i wyznać należy na jego pochwałę, iż miłość rodzicielska wzięła tak dalece górę nad wrodzoną dbałością o własną osobę, że,

lubo go wabny zapach na chwilę zatrzymał, nie zdołał wszelakoż odwieść od celu, do którego z takim pośpiechem zmierzał.

Żałował, lecz zapóźno, tego poświęcenia, bo przyszedłszy z podstarościm do śpichrza, długo wołał i szukał Faustynka, nim go na kupie wełny śpiącego znalazł i obudzić zdołał. Zląkł się z razu syn, gdy go nagle przebudzono; słuchał jak przez sen opowiadania uszczęśliwionego ojca; a przerażony osobliwością zdarzeń, które go w tak krótkim czasie ze zwyczajnéj kolei życia wyprowadziły, nie dowierzał ani sobie, czy dobrze słyszy, ani ojcu, czy prawdę mówi. Lecz wstał z legowiska, obejrzał się, nic do nikogo nie przemówił, zszedł z przezornością na dół, i wyprzedzając ojca, zbliżył się do drzwi, wytknął naprzód głowę, spojrzał na wszystkie strony, a nie widząc w poblizkości nikogo, wyskoczył raptownie za drzwi i co siły ku domowi uciekać zaczął. Napróżno wołał za nim ojciec:—Faustynku! Faustynku! czekaj! czekaj!—Napróżno zawinąwszy poły żupana, co siły za nim ruszył, wołając:—A czyś oszalał? Czekaj, stój!—Nic nie pomogło. Faustynek tak dobrze zbierał nogi, że wkrótce znikł w przyległym lesie, a ojciec stanął na drodze i rzekł:—Oj głupi, głupi.... no proszę, było po co opuszczać pańskie śniadanie!—To wspomnienie przejęło go niechęcią. Szedł jednak śpiesznо naprzód, i gdy stanął przed dworkiem swoim, mocne miał przedsięwzięcie złajania syna za nierozmyślne postępowanie. Lecz zamiast niego, natrafił nasamprzód na swoję małżonkę, która wybiegając przed sień rzuciła okiem na niego i zawołała:

— A ja nieszczęśliwa! wszakże on bez syna do domu powraca! — I nie czekając dalszego tłómaczenia męża, oddała się rozpaczy i rzekła: — Otóż tak, stało się com przewidziała! Nie masz go, i Bóg wié jeszcze, co się z nim stanie, a wszystko przez twoje głupstwo, przez twoje złe prowadzenie.

— I co mi tam gadasz z prowadzeniem?—odparł z niechęcią Dodosiński.—Gdybymci go był miał w ręku, tobym go zapewne był dobrze prowadził; ale kiedy wypadł jak oparzony i pobiegł naprzód, sam nie wiem czego, to trudno go było gonić.

— Więceś go widział? więc już nie siedzi? więc jest wolny?

— Bogdajby był dłużéj siedział, jak co mnie zmęczył, ciebie niespokojności nabawił i, co najgorsza, mnie śniadania pańskiego pozbawił. Ale gdzież on jest, jeżeli go tutaj nie masz?

Pani Dodosińska żądała wytłómaczenia niezrozumiałéj dla siebie mowy mężowskiéj, a gdy powzięła wiadomość o nader pomyślnym obrocie téj zatrważającéj okoliczności, dała oznaki największéj radości, i przejęta niecierpliwością oglądania jedynaka, pobiegła głośno wołając, szukać go po całéj okolicy. Nie był on daleko, bo gdy się głos macierzyński koło stodoły dał słyszéć, odpowiedział na niego Fausty-

nek i wyjrzawszy dziurą w poszyciu, przywołał matki, któréj więcéj niż komukolwiek ufał. Wypytał jéj się o wszystko, a otrzymawszy najmocniejsze zapewnienie: że mu się nic złego nie stanie, że go owszem wielkie szczęście czeka, zlazł na ziemię po dachu, znacznie ku niéj nachylonym, i musiał przyjąć najczulsze powitanie matki.

Pominiemy to, co daléj nastąpiło, bo każdy łatwo się domyśli, że ojciec chciał łajać zbiega, a matka nie pozwoliła na to. Faustynek zaś na wszystko był głuchy i nieczuły, ale donośnym głosem wołał jeść; i zasiadłszy w izbie za stołem, póty za nim posępny siedział, póki troskliwa matka życzenia jego nie zaspokoiła. Dni następne zajęte były przygotowaniem wyprawy jedynaka na dwór pański; i lubo tam miał dostać barwę dworską, trzebać go było wszelako innym dworakom przystojnie przedstawić. Dlatego rozlegał się przez całe odwieczerze odgłos kijanki, którą na ławie przy sadzawce bieliznę Faustynka tłuczono, aby ją do czystości przymusić. Matka dobyła ze skrzyni nożyc, i przytrzymując nad czołem łubo od starego przetaka, równiuteńko po niém włosy syna ostrzygła. Ojciec dobył sejmikowego kontusza, w którym syn miał na dworze wystąpić, z warunkiem zwrócenia onegoż, gdy przynależną barwę otrzyma. Ponieważ zaś syn znacznie przerósł ojca, zdarzyło się, iż cały ubiór był na niego zakrótki, i że długie ręce zbyt daleko z rękawów wyglądały. Lecz na to nie można było zważać, bo familijne szaty nic lepszego w sobie nie zawierały.

Gdy nadszedł dzień wyprawienia syna do dworu, tyle było przygotowań do uczynienia, iż południe nadeszło, a Faustynek nie był jeszcze gotów do podróży. Wyszedł nakoniec z alkierzyka, wyciągając ręce naprzód z całéj siły, aby ciasne rękawy cośkolwiek przypuścichciały, i oddychając ciężko z powodu wszelkiemi sposobami ściągnięcia tego kontusza, który i tak nie obstawał jeszcze na całą okrągłość jego. Ojciec naglił odjazd. Dlatego pożegnawszy się z matką, która się łzami zalała, jak gdyby na długi czas traciła syna, wsiedli na konie i stosownie do możności tychże, wolnym truchtem naprzód ruszyli.

Ledwie, że parę staj ujechali, zatrzymał konia Faustynek, odetchnął ciężko i rzekł:—A niech tam djabli wezmą ten wasz strój paradny. Kolka mnie spiera, ledwie dyszę: ręce proste jak drągi w tych wązkich rękawach żupana: to pęknie, nim dojedziedziemy. Jeżeli mi w takich sukniach każą u dworu chodzić....

— Nie bój się o to — rzekł pan Wojciech Dodosiński poważnie. — Mam ja o czém inném z tobą mówić. Bo kiedy masz wyjść na człowieka, to cię muszę wprzódy nauczyć, jak masz postępować; bo kiedy wléziesz między wrony, musisz krakać jak i ony. Ażebyś umiał krakać, to ja cię muszę nauczyć, boć ja przecież byłem także dworskim

u nieboszczyka wojewody, który, jak wiész, udarował mię tą fortuną, odemnie, dla wiadomości potomków moich, Dodoszami nazwaną.

— E, wiem — odparł Faustynek, stękając i przytrzymując konia, aby szedł stępą. — Jużeście mi to nieraz powiedzieli, tatynku.

— Ale tego nie wiész, czego się teraz dowiész — rzekł daléj ojciec. — Bo ja chcę, żebyś ty się wypromował na człowieka i był *Felix* et *Faustus*, jak mi to o tobie przepowiedzieli.

— Ba jeszcze czego! — odparł syn z głośnym śmiechem. — Nie miałbym wiedzieć, żem Feliks i Faustyn!

— Tu nie o to chodzi — rzekł z niecierpliwością ojciec. — Ty tego nie rozumiész, i kwita. Dlatego bądź cicho i słuchaj. Jak pójdziesz w dworską służbę, to ci marszałek i inni dworacy powiedzą to i owo, ale ty tego nie słuchaj, tylko pamiętaj na przykaz twojego ojca, a mnie samego, jak mnie tu widzisz żywego. Bo tu idzie o twoje szczęście i promocyą, nie o to i owo, czego będą chcieli od ciebie. Powiedzą ci, że wszystko zależy na tém, abyś był układny, zgrabny, przystojny. To bajki: bo najprzód człowiek tak musi być, jak go Pan Bóg stworzył, a potém nie na tém sztuka przypodobania się, tylko na mądréj głowie. Powiedzą ci na wstępie do dworu: że masz być wiernym, chędogim i trzeźwym. No, wiernym, to prawda, bo któżby panu swemu wiernym nie był? Chędogim, dobrze, jeśli możesz: ale trzeźwym — bajki, zwłaszcza u pana starosty. Ale czego ci nie powiedzą, a ja ci powiem, oto to: że chcąc mieć łaskę u pana, trzeba być pokornym, zwłaszcza z początku, usłuchanym i gotowym na wszystko, skoro rozkaże. Kiedy ci pan powié:—Faustynek, palnij go!— zaraz na odlew; albo:—Faustynek, wypij duszkiem!—natychmiast, i co do kropli.

— No, to dobrze, przerwał syn, póki idzie o wypicie i wybicie. Ale kiedy tamten odda, a może lepiéj?

— To nic nie szkodzi — rzekł ojciec. — Kto téż-to kiedy przyszedł do czego, co był łechciwych pleców albo sztywnego karku? Otóż-to to mi się przypomniało... Oj naucz się kłaniać, a nizko do nogi czapkę na dół, ot tak — do saméj kostki przykładać i mówić zawsze: Jaśnie wielmożny panie; słucham jaśnie wielmożnego pana; dziękuję uniżenie jaśnie wielmożnemu panu. A pamiętaj, żebyś zawsze mówił *Tak* albo *dobrze*, a nigdy *nie*. Tego państwo nie cierpi, żeby człowiek miał się spierać i miał swoje zdanie. Kto chce iść w górę, ten musi się chylić, póki na wierzch nie wlézie; a jak tam będzie, to się będzie mógł wyprostować.

— Rozumiem, rozumiem — rzekł syn. — Dlatego najlepiéj nic nie mówić, jak powiedzieć coś takiego, coby się panu nie podobało.

— Oto to — dodał ojciec. — Myśléć sobie możesz, ale gadać nie; a kiedy gadasz o kim albo o sobie, to nie tak, jak myślisz, bo naj-

większe głupstwo wygadać się z tém, co człowiek ma na myśli. Tego najbardziéj musisz się strzedz między innymi dworskimi. Pamiętaj na to, że to są wszystko ludzie, którzyby cię chcieli podsiąść; dlatego nie ufaj żadnemu, nie zwierzaj się nikomu, a kiedy będziesz miał sposobność, to szepnij samemu panu albo marszałkowi, co tam zobaczysz i usłyszysz między innymi dworskimi, ale przecie tak, aby się oni o tém nie dowiedzieli, boby ci skórę wybili. Przez takie doniesienia będziesz mógł zyskać łaskę.

— Dobrze to wszystko — rzekł syn. — Ja słyszę, co mam robić, ale nie wiem jeszcze, czego się mam spodziewać.

— Dowiész się zaraz — odpowiedział ojciec — tylko cierpliwie słuchaj, a potém czekaj. Dziś jesteś pokojowcem, a za lat kilka.... no zobaczysz, co to będzie.

— Co mi tam z tego, co będzie — rzekł syn — ja chcę wiedzieć, co mam mieć teraz.

— A cóż-to ty myślisz sobie?— odparł ojciec — czy to można tak od razu zostać człowiekiem? Trzeba-to zaczynać od maleńkiego, a potém się piąć powoli. Kiedy mnie ojciec oddał do dworu nieboszczyka pana wojewody, tom od razu nie został pokojowcem, tak jak ty, ale byłem przez rok prosto chłopcem, a przecież widzisz teraz, do czego doszedłem.

— A widzęć — rzekł syn, przedłużając wyraz ostatni.

— Ty zaś, zostawszy pokojowcem — mówił daléj ojciec — dostaniesz zaraz barwę dwoistą: jednę od powszedniego dnia, drugą od święta; będziesz sługiwał do stołu z talerzem i do butelki z tacą.

— Nie, tego ja nie chcę — przerwał Faustynek. — Ja tego nie cierpię, żeby stać za stołkiem, kiedy drudzy jedzą, albo trzymać flaszkę, kiedy drudzy z niéj piją. To człowiekowi tylko ślina do gęby idzie. Nie, to nic niewarto.

— Ale się umityguj, Faustynku! — zawołał ojciec. — To inaczéj być nie może. Od tego trzeba zacząć, aby potém siadać do stołu. Wieleż-to ja ludzi dzisiaj na pierwszém miejscu u stołów widuję, którzy dawniéj za krzesłami stawali.

— Ale kiedybym ja nie wytrzymał z głodu — odparł syn — nierazbym sięgnął po jadło z wielkiéj pokusy.

— A toby cię za to plagi czekały u marszałka — rzekł ojciec. — Ale i plagi szlachcicowi brać miło u dworu, bo kiedy innych pokojowców i lokai chamów rozciągają na podłodze, to szlachcica tylko na kobiercu pokładać wolno. Abyś się tylko umiał applikować panu marszałkowi, to ci się żadna krzywda nie stanie, i to przynajmniéj do lat trzech: bo potém, to cię już nie będzie mógł karać bez wiedzy pańskiéj.

— Ale co się to przez trzy lata nabrać można! — rzekł syn. — A potém cóż daléj?

— Oto po trzech latach — mówił daléj ojciec — zostaniesz dworzaninem. Pan podczas gali jakiéj każe ci wystąpić przed gośćmi w paradnych sukniach, nie barwianych, tylko zwyczajnie szlacheckich; palnie cię z całéj siły w gębę, abyś pamiętał łaskę pańską; przypasze ci potém szablę do boku; wypije do ciebie kielich wina; da ci konia z siedzeniem i drugiego z masztalerzem w zasługach trzechletnich, i pozwoli ci jechać w kraj-świat, tentować lepszego szczęścia.

— To, to ale — rzekł syn — to mi się podoba, ten koń jeden i drugi. Ale gdzież ja pojadę na nim?

— A pocóż masz jechać zaraz? — odpowiedział ojciec — będziesz także mógł zostać u pana, i być u niego dworskim pojedyńczym, to jest z jednym koniem; albo lepiéj podwójnym, to jest, z parą koni i człekiem; wtenczas będziesz brał dwieście złotych zasług na rok. Ale wtenczas, bratku, trzeba już będzie umieć dobrze się bić szablą i rąbać się za sprawą i rozkazem pańskim.

— Jakto? na ostre szable? To mnie się nie podoba; do tego ja się nie zdam. Na kije, to jeszcze. Czy-to człowiek do niczego więcéj nie będzie dworskim, tylko do szabli?

— Ale gdzie zaś! To się tam rzadko kiedy zdarzy, a za to, co za swobodne życie zwyczajne dworzanina! Rano wstawszy, człowiek idzie na pokoje pańskie, czekać na wyjście pana i prezentować mu się w ubiorze przystojnym. Jeżeli da jaki rozkaz, to go się wypełni, a jeśli nie, to człowiek zostaje w sali i gra z innymi w karty, albo idzie, gdzie mu się podoba. Wieczorem schodzą się dworscy do siebie: piwo, miód i maliniak z pańskiéj piwnicy pokrzepia i rozwesela wszystkich; tak się to niejednę noc przepędzi na hulance. Dworzanin już siada do stołu, albo do pańskiego, albo do marszałkowskiego.

— To mi się podoba, to chwalę.

— Prócz tego, obowiązkiem jest dworzanina assystować panu w kawalkacie, kiedy gdzie wyjeżdża w paradzie. Czasem, kiedy się dworzanin dobrze aplikuje, to go pan wyśle ze zbożem do Gdańska; a kiedy się tam dobrze sprawi, to prócz tego, co się od kupca wytargować potrafi, i pan go jeszcze nagrodzi. A kiedy dworzanin wpadnie w łaskę pańską, to go pan czasem promowuje do fortuny: puszcza mu wieś nizkim kontraktem w dzierżawę, albo, jak mnie, obdaruje fortuną szlachecką, albo nakoniec dobrze ożeni.

— To mi się podoba! — zawołał Faustynek i popędził konia batem.

ROZDZIAŁ VIII.

Przypadek.

— Poczekajmy, tatynku — rzekł Faustynek. — Niech to bydło i te owce miną, co oto idą z pola; bo haniebny kurz robią, to wam się czerwony kontusz zakurzy.

— A ktoby tam czekał! Bierz licho i kontusz; słońce oto już zachodzi; trzebać się za dnia jeszcze pokazać panu.

— A toć zdążymy przecież, wszakże to już ten śpichrz, w którym niedawno pokutowałem.... No otóż masz! — krzyknął nagle — a nie mówił ja tatynkowi, że trzeba było poczekać? Widzisz go! Czy oszalała bestya? Prr! prr! Tatynku, tatynku! Ratujcie, kto w Boga wierzy!

Tak wołał Faustynek, bo wjechawszy pomiędzy bydło, owce i kwiczącą trzodę, w nieładzie z pola wracające, najprzód nic nie widział, bo kurz zupełnie zaległ oczy, potém uczuł mocne podrzucenie siebie na siodle, gdyż koń jego wierzgać zaczął; nakoniec jechał prędzéj niż chciał, bo go koń uniósł i z nim pomiędzy bydłem na wszystkie strony biegał. Był-to wysłużony rumak ojcowski, siwy i chudy, jako zwyczajnie u szlachcica, który nie zwykł owsa na obrok marnować; lecz przytém, pomimo lat podeszłych, czego gęsta po całém ciele rozsiana gryczka dowodziła, niezdolny znosić cierpliwie obelgi, od innych zwierząt, pośledniejszych od siebie, doznawane. Dlatego widząc się wśród tłoku różnorodnych mieszkańców chlewów, obór i owczarni, i nie mogąc ścierpiéć, to trącania siebie po nogach przez jednych, to gonienia za sobą przez drugich, wziął na kieł, aż wędzidło sznurkiem związane pękło, a wówczas, nie czując żadnego hamulca, puścił się w zawody z napastnikami swymi i jednych sięgał zębami, drugich dosięgał kopytami; a wszędzie unosił z sobą mocno za grzywę trzymającego się Faustynka, który nie wiedział, czego się bardziéj obawiać: czy silnego podrzucania siebie do góry za każdém wierzgnieniem konia, czy uderzenia rogami napastującego bydła, bardziéj jego rawskim czerwonym mundurem, niż zuchwałością konia rozjątrzonego.

Ojciec Dodosiński miał pod sobą wcale przeciwnéj natury konia. Był-to kasztan ślepy na jedno oko, z długą kołtuniastą grzywą, pożyczony od Wołka na tę wyprawę, który wtedy tylko służył za wierzchowca panu swemu, żydowi, gdy go tenże na jarmark wyprowadzał. A że się to często zdarzało, więc nawykł był tak dalece do licznego rogatego zgromadzenia, że mniemając zapewne, iż się znowu na takiém publiczném zebraniu znajduje, stanął jak wryty, spuścił łeb ku ziemi

i daléj postąpić nie chciał. Lecz ponieważ stroskany ojciec chciał pośpieszyć na ratunek jedynaka w czerwonym żupanie, który pomiędzy bydłem ciągle polował i raz wraz spadnieniem z konia groził, dodał więc silnym razem ochoty koniowi do ruszenia naprzód. Ten, sądząc bez wątpienia, że przed jakim znawcą ma dać dowody swojéj biegłości, dobył sił ostatnich i ruszył naprzód cwałem, w kierunku przeciwnym jak sobie jeździec życzył, prosto na gromadę owiec, w któréj, jak niegdy Rossynant, śmierć i trwogę roznosił. Gdy to spostrzegli owczarze, zastąpili z krzykiem pędzącemu koniowi, który uradowany tém, że się skończyło wymagane popisywanie się, stanął i oddał pana Dodosińskiego w ręce owczarzy, dopominających się wynagrodzenia zrządzonéj szkody w owcach. Chciał zręcznie zwrócić konia ku Faustynowi nieszczęśliwy ojciec, bo właśnie spostrzegł, jak przez łeb koński przeleciał i upadł na piasek, jak gdyby na pastwę nacierającego nań bydła; lecz silnie trzymany przez aresztujących go owczarzy, musiał poprzestać na tém, że w niebogłosy krzyczał na pasterzy, aby syna ratowali. Już stał syn na nogach za pomocą nadbiegłych ludzi, oddychał ciężko, poglądał na popękane rękawy żupana, i otrzepywał się z kurzu, który był zmienił kolor kontusza, gdy ojciec przybył do niego pod eskortą owczarzy i troskliwie pytał, czy mu się co nie stało?

— Ej, idźcie tatynku — zawołał. — A nie mówił ja wam, żeby poczekać, aż miną? No i cóż teraz ze mnie będzie?

Starał się uspokoić syna pan Wojciech Dodosiński, kazał mu wziąść na rękawy kontusz i czyścił go jak mógł; lecz gdy się zabrał iść z nim do blizkiego już dworu, zawołali owczarze:—A nasze owce kto nam zapłaci? Jedna na amen stratowana, a drugiéjście nogi połamali. — Chciał ich ułagodzić Dodosiński, lecz nic nie pomogła moc wymowy tam, gdzie szło o zapłatę, któréj nigdy pięknemi słowami zbyć nie można. Dlatego musieli obadwaj zezwolić na to, aby ich przed pana marszałka, jako delinkwentów, zaprowadzono.

Weszli na dziedziniec z hałasem, jaki sprzeczka wzbudzała, aż się echo po ścianach dworu i oficyn rozlegało. Pusto bowiem i głucho było przede dworem, gdyż pan starosta wyjechał był z synem w sąsiedztwo, a pozostali dworzanie i pokojowcy korzystali z wydarzonéj sposobności trawienia czasu na zabawie.

Dodosiński ojciec, rozgniewany natrętnością owczarzy, poszedł śmiało do dworu, rozumiejąc, że tam łatwo spór ukończy, gdy rzecz całą staroście opowié. Otwierając drzwi, usłyszał mocny hałas w przedpokoju, krzyki, śmiechy i uderzenia, aż się okna trzęsły. Grano bowiem w pliszki; jeden z pokojowców rozciągniony na podłodze brał plagi, jako przegrywający, a że zbyt były dokuczające, aby je mógł znieść cierpliwie, zerwał się właśnie i do bijącego przyskoczył,

chcąc żarty w prawdziwą bitwę zamienić. Ztąd powstał zgiełk i krzyk taki, iż przybyli oskarżeni i oskarżyciele nie tylko z nikim mówić, ale nawet samych siebie słyszéć nie mogli. Dodosiński, chcąc przyśpieszyć koniec swojéj sprawy, pomyka się przy ścianie przedpokoju do drzwi przyległéj sali, i zasłaniając się rękami przed licznie rozdawanemi razami, chyłkiem do nich śpieszy, otwiera je i wchodzi.... Co za obraz nieładu i zniszczenia! Gdy się lokaje bawili i bili w przedpokoju, wpadły tymczasem psy otwartém oknem do jadalnéj sali. Służalcom pilniéj było grać w pliszki, niż sprzątać ze stołu po obiedzie, i nowi czworonożni goście za nich wszystko z niego posprzątali. Ogromny ogar chodził po stole, wietrzył i szukał, czy nie masz jeszcze jakiego posiłku, i przy tym spacerze zrzucał na podłogę resztę szklanek i talerzy. Drugi pies leżał między skorupami potłuczonego szkła i farfurek, trzymał w przednich łapach i ogryzał kość dużą, oglądając się z wyszczerzonemi zębami na mniejszego kundla, który mu chciał porwać ową kość niezgody.

— A dla Boga! Cóż się tu dzieje — krzyknął Dodosiński, i to tak donośnym głosem, że go pomimo zgiełku jeden z lokai dosłyszał, pobiegł ku drzwiom i jeszcze dobitniejszym krzykiem wszystkich kolegów swoich przywołał. Ustała bitwa między ludźmi i nastała walka z psami; a Dodosiński, domyślając się, że pana nie masz w domu, wrócił do swoich towarzyszów i z nimi poszedł do oficyny, gdzie marszałek i dworscy mieszkali. Wchodząc szybko do sieni, trącił piwniczego, wracającego z koszem wina z piwnicy. Przeląkł się na uczynku złapany piwniczy, cofnął się ku ścianie, kosz za siebie postawił, zasłonił go połą kontusza, i będąc dobrze napiły, wielkiemi szklannemi oczami na Dodosińskiego spojrzał, aby rozpoznać, czy pan, czy marszałek takiego mu strachu napędził. Napróżno przemówił do niego Dodosiński; próżno krzycząc powtórzył Faustynek zapytanie: Gdzieby był marszałek? Piwniczy zakrywał kosz wina, kiwał się na obie strony, i z uśmiechem bełkotał tylko te wyrazy:—To nic, to nic, wielmożny panie.

Wiadomy będąc miejscowości, postąpił Dodosiński ku drzwiom izby, w któréj zwykle dworzanie się bawili, i teraz zapewne zabawą zajęci być musieli, gdyż rozmaite słychać w niéj było odgłosy. Gdy drzwi otworzył, ujrzał bardzo znajomy sobie widok: czterech starszych dworzan klęczało w kole na środku izby, a jeden z nich trzymał kolejny kielich, i prawiąc długą perorę, przechylał go nieustannie i wylewał z niego wino na podłogę. Srokosz, poeta, siedział na stole, śpiewał z całego gardła, przygrywając sobie na bandurce, a przytém przechylał głowę, przymrużał oczy i na nic nie zważał, bo już nie mógł patrzéć, tak iż się zdawało, że całkiem poetyckiemu natchnieniu był oddany. Ostatni nakoniec z obecnych dworzan już był zwalczony

i w kącie na ławie ciężkiém chrapaniem bytności i życia dawał znaki. W drugim kącie stało dwóch pachołków, posługaczy dworzan, którzy z kolei wytrząsali butelki przez panów wypróżnione, a jeden z nich, korzystając z zupełnéj nieprzytomności umysłu tychże, sięgał zręcznie po ledwo napoczętą butelkę, która za kołem pijących stała. Gdy Dodosiński spostrzegł, że go nikt nie widzi i nie poznaje, rzekł: — Próżnoby było z nimi napoczynać; szkoda jednak, żeśmy tak późno przybyli. — I obracając się do jednego z pachołków, dodał: — Słuchaj ty, a gdzie pan marszałek?—U pana podstarościego — rzekł tenże, zmykając zręcznie butelkę i chowając ją za siebie.

— A pójdźmyż do podstarościego — zawołali owczarze — bo my nie ustąpim. — Poszli więc wszyscy do folwarku. Wchodzą do czeladnicy; ten sam hałas, co we dworze i w oficynie. Krzyk służebnic folwarcznych oznajmił, że nie były same, i że pobłażano ich próżnowaniu i zabawie. Tymczasem kipiało z garnków i kopraków na kominie, a wieczerza czeladzi ogień zalewała. Wracając z pola, zwierzęta niegodnego wspomnienia wstępnym bojem zaległy czeladnicę, tak iż przybyli goście ledwo z niéj wyjść mogli, z powodu ich plątania się między nogami. Nie było gospodyni, bo właśnie w śpiżarni miała odwiedziny kumoszek i przyjaciółek, które pod fartuchami zapasy leguminy i okrasy wynosiły.

Wydobywszy się z trudnością z licznego zgromadzenia, które ich pochód wstrzymywało, udają się oskarżeni i oskarżyciele do podstarościego, gdzie prócz niego i marszałka, zastają jeszcze trzecią osobę, nader dla nich obydwóch, ile się zdawało, pożądaną, to jest: poważnego arendarza, który liczył tynfy na stole i na dwie równe części przyniesioną summę dzielił.

Zmięszał się pan marszałek, gdy spostrzegł wchodzących niespodziewanych gości; trącił nieznacznie arendarza, który szybko zgarnął liczone pieniądze, i z gniewem wysłuchawszy sprawy, pomimo wymownéj obrony Dodosińskiego, krótki ferował wyrok: że obwinieni mają natychmiast zapłacić za owce, lub w przypadku niemożności uiszczenia się z wypłaty, otrzymać po dziesięć razów w obecności owczarzy, i to bez względu na protestacyą; bo panu marszałkowi pilno było ukończyć rzecz całą. Pan Wojciech Dodosiński już chciał ulegać konieczności; lecz Faustynek widząc, że przywoływano parobków z przyległéj izby, zawołał śmiało: — Hola tatynku! Nie dajmy się! Wyście powiedzieli, że nam się jako szlachcie kobierzec należy.

— A tak, tak! — ozwał się ojciec, zagrzany męztwem syna. — Panie marszałku, proszę nie zapominać, że my nie chamy, tylko szlachta! Nie tutaj, lecz między dworzanami miejsce nasze! Waszmość musisz pójść z nami do dworskiéj izby, i porządnie kazać roz-

postrzéc kobierzec, bo inaczéj, to się protestuje przeciwko gwałtowi, i gotów jestem jutro przeciw waszmości manifest w Grodzie zapisać.

Nie mógł się oprzéć téj oppozycyi marszałek. Z największym gniewem wyszedł z folwarku, i przewodnicząc delinkwentom, poszedł do oficyny spełnić wyrok. Lecz nie zastawszy tam nikogo przy zmysłach, gdy miał iść do dworu po ludzi, usłyszano trąbkę na dziedzińcu, i jaśnie wielmożny pan zajechał przede dwór i w marszałku przestrach, a w potępionych winowajcach nadzieję wygranéj wzniecił.

ROZDZIAŁ IX.

Nawiedziny.

Wspomnieliśmy wyżéj o pani chorążynie, która się piękną Anielą, córką Dulskiego, opiekowała, oraz o jéj córce, pani podstolinie, młodéj wdowie po starym mężu i o panu subdelegacie, pełnomocniku téjże wdowy. Przypominamy teraz wszystkie te osoby, dlatego, że je właśnie na scenę wyprowadzić mamy.

Była-to niedziela, dzień pożądany dla subdelegata, z powodu, że miał raz na zawsze zamówiony obiad u pani chorążyny, przy którym znalazł jaki powód do przedłużenia bytności swojéj do następującego poniedziałku, i dłużéj nawet, w miarę ważności interesu, którego zlecenie wyjednać sobie potrafił. Przybył on jak zwykle, na człapaku przed kościół, w którym się chorążyna z córką i z całym dworem na nabożeństwie znajdowała; uwiązał konia u płota, a poprawiwszy ubiór przez jazdę konną zmiętoszony, wszedł do świątyni, stanął z daleka naprzeciw kollatorskiéj ławki, i poglądał na panie swoje, aby im dać niziuteńki pokłon, skoro która z nich oko na niego zwróci. Dopełniwszy po chwili tego obowiązku uniżoności, zajął się dopiéro żarliwie modlitwą, póki po skończoném nabożeństwie ksiądz pleban patyny do pocałowania kollatorom nie zaniósł, które potém między rozstępującemi się na obie strony wieśniakami z kościoła wyszły.

Subdelegat, wyprzedziwszy je czekał u drzwi kościoła, aby ponowić pokorne ukłony i podać rękę staréj chorążynie, która go zawsze żądaniem téj usługi zaszczycała, kiedy piękny czas dozwalał jéj wracać pieszo z kościoła do dworu: dlatego, że podczas téj nader powolnéj przechadzki miała sposobność dowiedzieć się wszelkich nowin okolicznych, jakie jéj subdelegat co tydzień obowiązany był znosić.

Pani podstolina, zbyt żywa, aby mogła tak wolno za matką postępować, wyprzedzała ją z młodszą częścią dworu i korzystała z czasu

przez subdelegata na składaniu rapportu strawionego, aby spacer konny w towarzystwie Agaty, ulubionéj panny respektowéj i dworzanina odbyć. Ta pani nie należała bowiem do rzędu tych kobiet, które bojaźliwość skromności do zalet swoich liczą. Zazdroszcząc zawsze niepodległości mężczyznom, największe miała upodobanie w zabawach im tylko właściwych; dlatego bywała na łowach, strzelała nawet do napędzonego zwierza, śmiało i zręcznie jeździła na koniu; ale za to nie wzięła nigdy igły do ręki i nigdy do krosien nie zasiadła. Cała jéj postać odpowiadała temu szczególnemu powołaniu. Wysoka i dosyć szczupła, była nadzwyczaj żywa w każdém poruszeniu. Czarne włosy zdawały się ćmić jeszcze płeć przez się śniadą; mocno naznaczone brwi wieńczyły duże czarne oko, które w ciągłym ruchu iskrzyło się za najmniejszą pobudką do gniewu, lub w razach przemijającego uniesienia. Nos, zwykle rzymskim zwany, nadawał jéj wyraz powagi i śmiałości, a nad świeżemi ustami, w miejscach, gdzie zazwyczaj u niewiast skromny uśmiech osiada, porastał rzadki i nizki wąsik czarny, którym się podstolina, jako najpiękniejszą ozdobą swéj twarzy szczyciła.

Była ona już we dworze, nim stara chorążyna połowę drogi przebyła, i pędem na dzielnym koniu wyjeżdżała z dziedzińca, gdy się ta do niego dopiéro zbliżała.

— A przez Bóg żywy, kochana Krysiu! — wołała za odjeżdżającą — nie szaléj tak na tych koniach, bo o przypadek nietrudno. Eh, gdzie tam, ani słyszy, ani zważa na to, co ja mówię. Trzebaby to koniecznie temu mężа, któryby to umitygował, ale nie takiego, jak nieboszczyk podstoli, Boże świéć nad jego duszą. Bo to był za stary i zbyt powolny człowiek dla niéj.

— Bez wątpienia — odparł subdelegat, wprowadzając chorążynę do pokoju. — Pod tym względem mam ważną bardzo nowinę do objawienia jaśnie wielmożnéj pani.

— A czemużeście od niéj nie zaczęli? Toć mię to więcéj obchodzi, niż wygrane lub przegrane sprawy, wiolencye i exorbitancye na tych lub owych granicach popełniane, lub zwady domowe małżeństw obcych. A gadajcie przecie! Cóż mi takiego macie objawić?

— Kiedy ja wiem, że to z tego nic być nie może, czegoż mam przeto śpieszyć się z niedowarzonym konceptem.

— No, czy co będzie z tego czy nie, chcę przecież wiedzieć, o co rzecz idzie.

— Jedynie dlatego, aby wypełnić rozkaz jaśnie wielmożnéj pani, powiem tedy, że mnie doszło z boku, iż pan starosta ma pewne zamiary zbliżenia się do domu jaśnie wielmożnych pań moich i ukończenia tym sposobem owego zastarzałego procesu....

— Czyliż to ten proces jest tak wątpliwym, iżby wypadało okupić spokojność poświęceniem szczęścia córki mojéj?.

— Broń Boże! Ja tego nie mówię, owszem właśniem to utrzymywał, że z tego nic być nie może. Ale wszakże nie jest tajném jaśnie wielmożnéj pani, iż affekt pani podstoliny dosyć się ku tamtéj stronie nachyla....

— Prawda; ale to są wszystko tylko chwilowe kaprysy. A potém, na co się to affekt przyda tam, gdzie idzie o stałe postanowienie?

— Bez wątpienia, bez watpienia. Zwłaszcza że pan starościc nie ma jeszcze żadnego znaczenia, żadnéj funkcyi nie sprawuje.... Ale wszyscy mu oddają zaletę, że jest bardzo obyczajny kawaler, że zna respekt przyzwoity dla starszych....

— Tak, to prawda; ale młokos jeszcze wielki, niedawno wrócił ze szkoły.

— Już od roku, jaśnie wielmożna pani. A ojciec go kocha nad życie i teraz zamyśla go żenić; a ponieważ jest człowiekiem przyjacielskim i lubiącym spokojność, chciałby przeto małżeństwem dawne niesnaski zakończyć.

— Ale pan starosta ostatkiem goni: syn jego będzie chudeuszem. Chciałby sobie poprawić interesa i los jedynaka dobrém ożenieniem zapewnić. To piękne jest życzenie, zapewne. Ale pocóż my mamy stać się jego ofiarą? Gdyby coś podobnego nastąpić miało, upadłaby tém samém cała sprawa nasza, sprawa najświętsza, najpewniejszego sukcesu, wygrana w Ziemstwie, równie pewna w Trybunale, która powróci do dóbr podstoliny całą wioskę i las piękny, tak niesprawiedliwie nieboszczykowi podstolemu wydarty.

— Wydarty?—powtórzył z powątpieniem subdelegat.—Ja zawsze rozumiałem, że pan podstoli wsi i lasu odstąpił przez komplanacyą dobrowolną, w Grodzie zeznaną.

— Tak; wiem ja najlepiéj, jak ta komplanacya była zrobiona. Ś. p. podstoli, Boże świéć nad jego duszą! był nieco *mente captus*, jak wiadomo. Pan starosta rościł prawo do gruntu w mowie będącego i ciągłą utrzymywał kontrowersyą; ale ponieważ dowody jego były słabe, a więc poparł je siłą i wiolencyą.

— Pamiętam ja to, pamiętam — rzekł kiwając głową subdelegat. — Była to krwawa bitwa, która się w lesie quondam pana podstolego odbyła. Sto fur i tyluż chłopów ze starostwa spędzonych, wycięło w pień kilkadziesiąt morgów najpiękniejszego lasu. Gromada z dóbr pana podstolego chciała dać odpór; a gdzie tam! piętnastu chłopów zabili na śmierć, dwudziestu przeszło ranili. I cóż się stało daléj? Oto zamiast poszukiwania téj krzywdy, naznaczono kom-

promis. Pan starosta dodał węgrzyna co niemiara; nastąpiła zgoda i komplanacya.

— Cóż taka komplanacya znaczy? Wszak ona procesu nie kończy.

— Nie kończy, mościa dobrodziéjko. Wprowadziliśmy sprawę *de noviter repertis;* ale możemy się jeszcze lat dziesięć pieniać bez pewności wygranéj.

— A więcby krócéj było ukończyć wszystko małżeństwem? Nie, na to ja nie przystanę. Toby wieczna była szkoda tak pięknéj sprawy. A potém, moja córka jest starszą od pana starościca.

— O, różnica wieku jest niewielka. Wiadomoć całemu światu, jak pani podstolina młodo za mąż poszła i że rok tylko żyła z mężem.

Zamilkła chorążyna, i patrząc za okno zamyśliła się głęboko, a kiedy niekiedy poważnie tabakę zażywała. Subdelegat opisywał jéj tymczasem przygotowania, które w domu starosty do nastąpić mających odwiedzin czynią, aby z przyzwoitą okazałością wystąpić. Gdy długo jeszcze nad tém i innemi przedmiotami rozprawiano, otworzyły się drzwi nagle i szeroko. Podstolina weszła żywo do pokoju, gniew malował się na twarzy, rzuciła się z niechęcią w krzesło i rzekła:

— Co za ludzie nieznośni! Odpędziłam znowu jednego dworzanina. Bo czyż można sobie wystawić, aby kto był tak niezręcznym i nieprzytomnym?

— Cóż się takiego stało, kochana Krysiu? — zapytała troskliwie chorążyna.

— O staj kilka za wsią, w gaju, zesiadłam z konia, chcąc się przejść nieco, i kazałam czekać na drodze mojemu rękodajnemu (*) na siebie; wracam po chwili i nie zastaję ani konia, ani dworzanina. Mój wierzchowiec wyrwał mu się z ręki; na własnym pobiegł gonić za nim, a ja musiałam wrócić pieszo, tak iż wszyscy mogli rozumiéć, że mnie koń zrzucił.

— Dobrze, iż się tak nie stało, bo to byłoby gorzéj. Ja ci zawsze powiadam, moja Krysiu, że ty kiedy doznasz nieszczęśliwego przypadku przez prędkość twoję i zbyteczną śmiałość w jeżdżeniu konném. Zostawić to należy mężczyznom; białogłowom ta rozrywka nie przystoi.

Żywo zwróciła oczy podstolina na matkę, uśmiechnęła się złośliwie i milczała, lecz wyraz niecierpliwości malował się na twarzy.

— Moje dziecko—mówiła daléj chorążyna—jakbym ja téż rada

(*) Rękodajny dworzanin, który sprawiał przy pani domu obowiązki masztalerza.

była, gdybyś ty mogła dobrać sobie męża. Toby to jedyny był sposób nabycia téj powagi i powolności, która tylko zamężnym niewiastom i matkom jest właściwa. Nie miałabyś także wówczas tak częstych okazyj do gniewu na twoich służących, bo kiedy pan jest w domu, to cały dwór inaczéj się prowadzi, jak gdy same kobiety rządzą.

— Jabym na to miała iść za mąż, ażebym pana sobie dała? — rzekła podstolina żywo.—Zbyt wysoko cenię wolność moję. Raz już ślubowałam wbrew życzeniu własnemu, aby tylko wolę rodzicielską dopełnić; drugi raz już tego nie uczynię. Jeżeli sobie obiorę męża, wybór ten padnie na takiego, który wszystkim moim życzeniom i urojeniom nawet odpowiadać będzie.

— Wszakżem ci już dawno przyrzekła, że ci w téj mierze zupełną wolność zostawię. Mnie tylko o to idzie, abym jeszcze raz nowemu postanowieniu temu pobłogosławić mogła.

— I owszem, byleby się zdarzył taki, który mi się podobać zdoła.

— A toć się podobno i zdarzy teraz. Nasz subdelegat wspomniał mi tu właśnie o zamysłach młodego Wacława, syna starosty.

Na te słowa obejrzała się podstolina żywo na swego plenipotenta, który tyłem stojąc do chorążyny, odpowiedział wyrazem pokory i zaprzeczenia na śledcze wejrzenie podstoliny.

— Ale to dzieciuch jeszcze — rzekła daléj chorążyna — bez powagi, nieotrzaskany ze światem.

— To nie ma nic złego — odpowiedziała, odwracając się od subdelegata podstolina.—Taki może być uległym i pokornym.

— Nie dowierzaj takim na pozór pokornym. Nie wiedzieć, co to jeszcze z tego będzie.

— Jak bądź tak bądź, nie można mu odmówić wszelkiéj nadziei na samym wstępie. Wypada nawet przyjąć go uprzejmie w domu naszym, skoro przybędzie.

— Zapewne — rzekła poważnie chorążyna, a podstolina poszła z niechcenia do zwierciadła, poprawiła kołpaczek na głowie i o czém inném mówić zaczęła.

W kilka dni po téj niedzieli nastąpiły odwiedziny przez subdelegata zapowiedziane. Starosta mieszkał o mil kilka od zwykłéj rezydencyi podstoliny, która po odnowieniu puściła dzierżawą graniczące z dobrami jego wioski i sama przy matce osiadła. Wybrał on się tak z domu, aby w poobiedniéj godzinie przyjechać. Chorążyna drzémała jeszcze po obiedzie, a podstolina siedziała w milczeniu, bawiąc umysł różnemi o przyszłości marzeniami, gdy dworzanin zbliżanie się pana starosty z licznym dworem oznajmił.

Wjechało najprzód na dziedziniec kilku dworzan, sadząc na dziar-

skich komach, i za nimi pachołki do odebrania od nich koni. Następnie biegł pieszo laufer z kołpakiem, strusiemi piórami przystrojonym, i z krótkim biczykiem w ręku. Za nim wtoczyła się wolno w bramę dziedzińca ogromna kareta, którą sześć sprzęgłych koni siwych z natężeniem przez wysoki próg przeciągnęło, że aż stangret na koźle podskoczył. Konie przybrane w szory czarne, suto mosiądzem wysadzane, miały po trzy kutasy na łbach. Foryś i stangret w barwę byli przybrani; ostatni siedział na nizkim koźle, za którym stał na desce osadzonéj na drągach powozowych Węgrzynek, który się ramion jego trzymał. Sama kareta była gdańskiéj roboty, wewnątrz suknem karmazynowém wybita, złotym galonkiem szamerowana, zewnątrz pokryta skórą czarną, obwiedziona około całego pudła pozłacaną drewnianą ramą, a w górze gęsto ćwieczkami mosiężnemi wybita. Ogromne pudło karety wisiało na grubych rzemiennych pasach między dwoma drągami, i nizko sięgało ziemi, tak iż na stopniach po stronach obudwóch były znaki błota, które po drodze zagarniały. Za karetą stało dwóch lokai w barwie i dwóch hajduków na stopniu, po którym za karetę włazili lokaje. W karecie siedział starosta z synem. A skoro stanęła przed dworem, pośpieszyli hajducy i lokaje do otworzenia drzwi, zaś dworzanie, którzy już byli z koni zsiedli, podawali rękę panom, pomagając im wysiąść z pojazdu.

Powstał ruch nadzwyczajny i hałas w całym dworze. Domowi pokojowcy otwierali podwoje szeroko, że się aż drzwi o ściany obijały. Zamaszysto wchodzili panowie i dworzanie, szczęk karabel i powłóczenie nóg po podłodze rozlegały się po izbach. Przy drwiach komnaty, w któréj się panie domu znajdowały, zatrzymali się dopiéro dworzanie, lecz jeden z nich nie zważał na przestrogi kolegów i wcisnął się nieznacznie za panami do izby. Nastąpiły ukłony ze strony gości i gospodyń domu, i zobopólne oświadczenia uprzejmych affektów. Starosta najprzód matce, a następnie córce z głębokim ukłonem wynurzał uczucia swoje. Lecz gdy w najlepsze rozprawiał przed podstoliną, i gdy po ukłonie zwrócił oczy na nię, spostrzegł, że pomimo najlepszéj chęci zachowania się z przyzwoitą powagą, nie mogła uhamować chęci śmiechu, i gryząc czas niejaki wargi, skończyła na tém, iż głośno parsknęła śmiechem. Zdziwiony i obrażony starosta spojrzał na nię surowo, a gdy w uniesieniu śmiechu nie mogła mu dać odpowiedzi i tylko ręką na drzwi wskazała, obejrzał się, i spostrzegł za sobą owego dworzanina, który się był wcisnął do pokoju, stojącego za Wacławem, i z najsłodszym jaki tylko mógł ułożyć uśmiechem kłaniającego się nizko, tak jak pan jego, i powtarzającego cicho za nim dosłyszane wyrazy. Rozgniewał się starosta, lecz zdołał wstrzymać pierwszy zapęd niechęci, obrócił w żart głupowatość nowotnego dworzanina, spojrzał na niego surowo, dał znak oddalenia

się, synowi słów parę poszepnął, i damy za nieprzyzwoitość najuprzejmiéj przepraszać zaczął.

Wacław wyszedł natychmiast z pokoju, i oświadczył innym dworzanom, którzy w ubocznéj izbie czekali, iż wolą jest pana, aby Dodosiński, który był tym nowotnym dworzaninem, natychmiast do domu był odesłany i pamięci marszałka za popełnioną nieprzyzwoitość polecony. Wydawszy ten rozkaz, wrócił do pokoju i zostawił naszego biednego Faustynka, którego odtąd panem Dodosińskim zwać będziemy, w rękach reszty dworzan, którzy go szyderskim śmiechem powitali.

Była to dla nich oddawna pożądana rozrywka, bo nasz bohater, pamiętny na ojca przestrogi, zdołał sobie zjednać powszechną niechęć kolegów, a łaskę panów swoich, przez tajemne donoszenia tego wszystkiego, co się między dworzanami działo. Na samym wstępie do dworu był on świadkiem największego nieładu i szkody pańskiéj, a zagrożony wykonaniem dotkliwego nader wyroku, potrafił ojca i siebie od zniewagi i bólu ocalić przez naoczne wymówienie marszałkowi tego wszystkiego, co się stało przyczyną oddalenia onegoż ze dworu. Ten pierwszy sukces dodał śmiałości, a szkolna zażyłość z panem starościcem ułatwiła mu przystęp do państwa, tak dalece, iż pomijał wszystkie niższe stopnie, gdy skargę miał zanieść na kogo, lub jaką łaskę wyjednać dla siebie, i wprost panu czynił doniesienie lub do niego prośby zanosił. Przytém był usłuchany i pokorny, wszystko wykonywał, cokolwiek mu rozkazano, nie zważając nigdy na to, co ztąd wyniknie. Tą drogą zyskał taką łaskę u pana, iż lubo tenże ciągle szydził z jego niezgrabności i nieśmiałości, zawsze jednak pamiętał o nim. A gdy raz wśród biesiady, po dobrém podchmieleniu, nasz Faustynek najdokładniéj wszelkie rozkazy, a nawet najniedorzeczniejsze żądania pańskie wypełniał; w nagrodę téj powolności i dla rozśmieszenia obecnych, dał mu starosta wyzwalające uderzenie i mianował go dworzaninem, w rok po przyjęciu na pokojowca, i po trzeźwu wszystkiego tego odwołać nie chciał.

Wkrótce po téj promocyi przypadła owa wizyta do pani chorążyny, a Faustynek Dodosiński, zaufany zbytecznie w łasce pańskiéj, poważył się weisnąć do pokojów i wspomnianą nieprzyzwoitość popełnić. Chwila nie była po temu, aby można było odwołać się do łaskawości pańskiéj i spodziewać się przebaczenia, bo wypadało koniecznie staroście skarcić przykładnie postępek, za uchybienie gospodyni domu uchodzić mogący. Nasz Dodosiński dostał się tedy prawdziwie na pastwę innym dworzanom, z których każdy miał jakiś żal dawny do niego, każdy rad był zemścić się doznanéj z jego powodu nieprzyjemności. Jego położenie przyrównać można było do położenia lisa, który się dał ułowić, a w miejscu zamkniętém trzymany, otoczony jest

w około dybiącemi nań myśliwcami.. Nie ma on wtedy owéj bystrości w spojrzeniu, która śmiałość i przebiegłość oznacza; lecz z nieśmiałością pogląda na otaczających go nieprzyjaciół, i jeżeli czasem zęby wyszczerzy, gdy go drażnią, jest-to ostatnie wysilenie, które ani siły, ani śmiałości nie oznacza.

Takim był nasz Dodosiński, gdy go Wacław między innymi dworzanami zostawił. Dopełniając zlecenia pańskiego, wyszli wszysey przed sień, zkąd mieli go wyprawić pod strażą do domu, i tutaj dopiéro rozpuścili języki i do woli szyderstwy go okrywali.

— Co się to wam stało, mości sekretarzu? — rzekł jeden, przybliżając się do niego.—Wypchnęli waszéć za drzwi? No proszę, co to za brak uszanowania!

— Widzisz go! — mówił drugi. — Ledwo co barwę zrzucił, jużci się chciał panoszyć i tkać się między pany. Potrzebnyś tam był, he?

— A zapewne, że potrzebny — dodał trzeci.—On rozumiał, że się tam jego ucho na co przyda, i wcisnął się za państwem, aby podsłuchiwać, co téż tam będą mówili... Natura ciągnie wilka do lasu.

— Dajcie mu pokój — rzekł pierwszy — próżno gadacie. Te wasze słowa są jak groch na ścianę. On na to obojętny, on dopiéro wtenczas stanie się czułym, kiedy go marszałek w swoję opiekę dostanie.

Milczał na to wszystko Dodosiński, lecz szukał ściany, o którąby się mógł oprzéć, aby łatwiéj napaść i czynne obelgi mógł odeprzéć. Gdy się dostał do muru, oparłszy się, spojrzał na wszystkie strony, czy mu zkąd jakie niebezpieczeństwo nie grozi, i spostrzegł w oknie bliskiéj oficyny kilka kobiet, które się ciekawie i z szyderskim uśmiechem na całą scenę patrzały; a co gorsza, spostrzegł Anielę, z pewnym udziałem i politowaniem na niego spoglądającą. Ten widok wzbudził w nim uczucie poniżenia, w jakiém się znajdował, i dodał mu niezwykłéj odwagi. Dlatego ufając więcéj tępéj, niż ostréj broni, schylił się szybko po kij ogromny, do którego oddawna zmierzał, a pochwyciwszy go silną dłonią, zakręcił nim po nad głowami przeciwników swoich, tak iż się wszyscy rozstąpili; dodał do świstania kija mocne i dobitne zaklęcie, i zawołał: — Dać mi tu pokój, bo skaleczę! Siadaj na koń, który tam ma jechać ze mną i daléj do domu! ale tutaj wara odemnie!

Głośny śmiech kobiet w oficynie, wzbudzony przez szybkie odskoczenie dworzan i przekonywające argumenta Dodosińskiego, zwrócił oczy dworzan ku oknu, wzbudził w nich pewien wstyd, iż ich wysłuchano i z nich szydzono. Dlatego umilkli wszyscy, i oddalając się ode dworu, zawołali Dodosińskiego za sobą, rozkazując, aby siadał na konia.

— Ale! albo ja głupi? — zawołał tenże. I gdy się jego towarzysze nieco oddalili, zawinął poły kontusza, pędem ruszył naprzód furtką ogrodu i znikł wkrótce w przyległym gaju.

ROZDZIAŁ X.

Czarowanie.

Niedługo ucichło wszystko na dziedzińcu. Dworzanie rozbiegli się szukać zbiega, a panny dworskie chorążyny i podstoliny ze śmiechem od okna do swojéj komnaty wróciły.

Między niemi były dwie znakomite damy, to jest znajoma nam już Aniela, która skromnie i w milczeniu usiadła do roboty, i panna Agata, ulubiona służąca pani podstoliny, zwykła towarzyszka wszystkich jéj spacerów, powiernica wielu nawet skrytszych jéj życzeń i pomysłów, i pełnomocna agentka do zbierania wszelkich doniesień i plotek okolicznych i do zdawania o nich sprawy pani swojéj. Panna Agata zabrała przeto głos, skoro tylko cały frauencymer śmiech pohamował i zwykłe miejsca swoje w kobiecym pokoju zajął, i rzuciła ważną kwestyą: Któryby ze wszystkich dworzan pana starosty mógł się najwięcéj podobać i godzien był niejakiéj uwagi? Różne w téj mierze były zdania. Każda niemal z panien na innego baczniejsze rzuciła oko, a panna Agata stanowcze uwagi nad dawanemi pochwałami temu lub owemu czyniła. Ten jéj był za młody, ów za stary, tamten wysmukły jak piszczałka, ten nizki jak grzyb. Jedna Aniela tylko nie oświadczyła żadnego zdania, i jakby chciała ukryć pomięszanie, oka z roboty nie spuszczała.

— A panna Dulska jakiego jest zdania? — zapytała się panna Agata.—Wszakże to skromności nie obraża powiedzieć między nami, co się myśli.

— Ja nic nie myślę — odpowiedziała Aniela — i na nikogo szczególnéj uwagi nie zwracałam.

— No proszę! — odpowiedziała panna Agata — to tylko ona jedna, Dulska, która nie ma oczów dla mężczyzn i dla dworzan. Aleć my to znamy przecię: cicha woda brzegi rwie. Możeć przecie kiedyś no, no; moim oczom nic nie ujdzie! Widziałam ja w oczkach waćpanny ulitowanie się nad położeniem tego biedaka, na którego wszyscy nacierali.

— A pfe! — zawołały wszystkie panny — to najbrzydszy!

Aniela spiekła, jak mówią, ogromnego raka, i bardziéj jeszcze nachyliła się do krosien, aby jéj pomięszania nikt nie uważał; a panna Agata rzekła, odpowiadając na wykrzyknik innych panien: — Na to się nie zgodzę. Nie jest on wymuskany chłopiec, ale nie jest brzydki, a przytém, ilem mogła widzieć, jest wysoki, dobrze zbudowany i, jak się zdaje, silny, tak jak mężczyznie przystoi. Wy to wszystkie tylko

za gładką ubiegacie się twarzą, a nie wiecie tego, że to nic nie znaczy. Mężczyzna troszkę powinien być piękniejszy od djabła, więcéj mu nic nie potrzeba.

Powstał śmiech powszechny na te słowa panny Agaty. A gdy się zwolna wśród różnych uwag uciszył, rzuciła jedna z panien ważne pytanie: Coby ci dworzanie mogli miéć do tego nieboraka, który im uciekł? Różne w téj mierze czyniono domysły. Wszystkie łamały sobie głowy nad docieczeniem téj tajemnicy; jedna tylko Aniela milczała ciągle. Gdy się tedy na żaden domysł zgodzić nie mogły, zaczęły rozmyślać, jakby się to można dowiedzieć prawdy. Wysłano jednę pannę na zwiady, ale domownicy byli zajęci służbą i nie wiedzieli o niczém, a do obcych dworzan nie wypadało udawać się po prostu z zapytaniem. Przebiegła panna Agata sama potém poszła do dworu, rozumiejąc, że się spotka z panią swoją i od niéj się czego dowié; bo ogólne tylko dochodziły ją wieści, że się coś w pokojach stało, co tego rozruchu było przyczyną. Lecz i to usiłowanie nie przyniosło pożądanego skutku. Trzeba było przeto czekać wieczerzy, która obcych dworzan z domowemi pannami u marszałkowskiego stołu zgromadzić miała. Nastąpiła przecież pożądana chwila nie tylko zaspokojenia ciekawości, ale nadewszystko bliższego zaznajomienia się z obcymi dworzanami. Stół marszałkowski był nakryty w jednym końcu długiéj sali, a w drugim był stół pański, ozdobnie zastawiony, jako dla przyjęcia rzadkich gości. Już państwo byli zasiedli do swego stołu, gdy dworzanie, bez szmeru i z przyzwoitym respektem dla państwa, panny dworskie uprzejmemi ukłonami witali i nawzajem się długo w komplementach przesadzali, nim miejsca u stołu zajęli.

Z pomiędzy wszystkich najmniéj pragnęła téj wieczerzy Aniela, i teraz najbardziéj była pomięszana: gdyż z jednéj strony słuchać musiała trapiącéj ją powieści o przypadku Dodosińskiego, do którego znajomości przyznać się nie chciała; z drugiéj, spotykała od stołu pańskiego wejrzenie Wacława, który oka z niéj nie spuszczał i tak był roztargniony, iż częstokroć nie wiedział, co miał odpowiadać podstolinie, przy któréj siedział. Wkrótce zawiązała się bardzo żwawa rozmowa u marszałkowskiego stołu. Dworzanie sadzili się na koncepta i ucinki, panny, a zwłaszcza też wprawna do takich słownych potyczek Agata, zręcznie odpierała wszelkie żartobliwe napaści, i nieraz mówiącego przycinkiem zmięszała. Było to bowiem wówczas dowodem poloru dworskiego i powszechnie przyjętym zwyczajem, aby się dworzanie z pannami w dowcipach, w żartach i przekręcaniu lub naciąganiu wyrazów przesadzali. Panowie i panie przysłuchiwały się tym przekąsom, i często się zdarzało, iż dworzanin od swego pana, a panna od pani swojéj podarunki otrzymała za to, iż przeciwnik zawstydzić lub zmięszać zdołała.

Wieczerza kończyła się za prędko dla tych, którzy nie tak dalece potrawami, jak osobami obecnemi przy stole zajęci byli. Do tych należał Wacław; bo spostrzegłszy u stołu marszałkowskiego Anielę, której wdzięki dawniéj już na nim wielkie uczyniły były wrażenie, poglądał na nią z największém upodobaniem i cierpiał na tém, że się nie mógł do niéj zbliżyć, aby z nią dawną znajomość odnowić. Żałowały także ukończenia wieczerzy panny dworskie, które nie widziały innéj sposobności dłuższego bawienia się z dworzanami, dopiéro poznanymi przy stole, bo przystojność nie pozwalała zaprosić ich do oficyny, zwłaszcza, że pani chorążyna strzegła jak najmocniéj obyczajności w domu, a czas słotny nie dozwalał używać przechadzki po ogrodzie, przy którejby młodych towarzyszów cierpiéć można. Wróciły więc smutne do swego mieszkania, i na gadaniu czas, któryby lepiéj mógł był użyty, trawiły. Każdy się łatwo domyśli, co było przedmiotem żwawéj rozmowy panien dworskich. Zajęto się bowiem ważną bardzo dyskussyą nad zaletami i niedoskonałościami dopiéro poznanych gości. Panna Agata obstawała zawsze przy swojém zdaniu, i żałowała nieobecnego, który się był tak zręcznie innym wywinął. Długo trwała ta rozmowa, lecz gdy się państwo na spoczynek jeszcze nie zabierali, uprzykrzyło się naszym kobietom o jednym długo gadać. Zaczęły ubolewać nad tém, że tak same siedziéć muszą, i utyskiwały na deszcz ulewny, który mocno w szyby trzepał. Następnie zaczęto radzić o tém, czyby téż to jakim sposobem kogo do zabawy zaprosić nie można.

— Ha, ja wiem sposób — rzekła panna Agata — ale się to nie godzi. A potém, gdybym wam go powiedziała, tobyście mnie jeszcze czarownicą nazwały.

— Cóż takiego? cóż takiego? — zawołały wszystkie razem i obskoczyły z ciekawością pannę Agatę.

— Sposób pewny i niezawodny — rzekła ona. — Miałybyśmy tu zaraz, kogobyśmy tylko chciały, choćby się nie wiedziéć gdzie znajdował. Ale ja się boję, bo się to nie godzi.

— Ach! kochana panno Agato, powiedz nam, powiedz! Co to szkodzi?

— No, kiedy chcecie, to wiedzcież tedy: że kiedy pragniemy koniecznie widziéć kogoś, trzeba wziąść kota, obrócić się ku téj stronie, zkąd ma przybyć oczekiwany, zakręcić siedem razy ogonem kota, a pomyśléć przytém na osobę upragnioną.

— E, to być nie może — rzekła jedna z panien.

— Ale wierzajcie mi, z pewnością — odpowiedziała poważnie panna Agata.—Kot przez ogon ma coś z djabłem wspólnego; dlatego téż za pomocą złego ducha można przez ogon koci sprowadzić tego, na kogo sobie pomyślimy.

— No, niech panna Agata pomyśli, a ja będę kręciła — rzekła taż

sama, co wprzódy. Poskoczyła do kominka, porwała kota drzémiącego u ognia, przy którym kawiarka śmietankę na jutro gotowała, wróciła na środek pokoju, i biorąc go za ogon, zapytała: — No, w którą stronę mam się obrócić? ile razy zakręcić?

— Ku borowi — rzekła wskazując na ogród panna Agata — i — dodała nieco drżącym głosem: — Siedem razy zwolna zakręcić!

Przyklękła wesoła dziewczyna obracając się ku stronie wskazanéj, i kręcąc zwolna ogonem kota, liczyła każdy obrót. Za każdém zakręceniem zatrzymała się nieco, wszystkie jéj towarzyszki chórem ilość obrotów liczyły, a kot wtórował im swojém miauczeniem. Gdy tym sposobem razem *pięć* wymówiły, słabnieć zaczął ich głos i wszystkie się w kupkę zgromadziły. Za szóstym obrotem nieśmiało i zwolna oczy na drzwi zwróciły, a gdy drżące fatalne *siedem* wyrzekły, łysnęło się mocno, grom gdzieś blizko uderzył, drzwi się rozwarły z łoskotem, Dodosiński wpadł do izby zmokły, blady i trwogą przejęty, a wszystkie panny z przeraźliwym krzykiem mostem na podłodze legły.

Spodziewam się, że czytelnicy moi nie przypisują kociemu ogonowi téj siły czarodziejskiéj, jaką panna Agata w nim upatrywała. Dlatego muszę im wytłómaczyć, jak się to stało, że nasz bohater, prawdziwie jak zaklęty, w sam czas stanął przed tą, na któréj tak niespodziane i mimowolne wrażenie uczynił.

Gdy, jakeśmy widzieli, zręcznie z pomiędzy dybiących na niego kolegów Dodosiński wymknąć się zdołał, naturalną było rzeczą, że szukał schronienia w lesie, który się z ogrodem stykał. Łatwo więc było pannie Agacie przewidzieć, że się tam znajdować musi, i dlatego czarującéj ku lasowi obracać się kazała. Dobrze było póty mieszkać w lesie, póki się nie zmierzchło, a nadewszystko póki dészcz ulewny padać nie zaczął. Lecz ponieważ nasz bohater, jak wiadomo, nie był na rycerza stworzony, i gdy prócz tego nie wiedział, gdzie się ma w lesie obrócić, aby wyjść na znajomą sobie drogę; nie zdołał zatém dotrzymać placu między krzakami, w których się ukrył. Za nastałym mrokiem wymknął się ze swego ukrycia, jak zając z legowiska wypłoszony, gdy puhacz w lesie krzyczéć zaczął i gdy coś za nim zaszeleściało. Ruszył naprzód równie żwawym krokiem, jak wtenczas, kiedy rozumiał, że dworzanie za nim gonią, i podobnie jak wtenczas oglądał się z trwogą póty, aż stanął przy żerdzianym płocie ogrodu. Tutaj odetchnął dopiéro, bo miał kawał pola między sobą a lasem, a przed sobą widział światło w oficynie. Smutne było położenie jego. Co tu począć? gdzie się przespać, kiedy deszcz pada? a nadewszystko, jak się spać układać, nie jadłszy nic od południa? — Oh! gdybym ja mógł się widzieć z Anielą! — pomyślał sobie. — Ona tak litościwém okiem na mnie patrzała, kiedy te famulusy na mnie nacierały! Onaćby mi

może powiedziała, gdzie się mam skryć przed nimi; możeby mi i jeść dała nawet.

Tak myśląc sobie, przelazł przez płot, i na palcach, oglądając się na wszystkie strony, skradał się ku oficynie. Korzystając z ciemności i ze słoty, a szczękając zębami od przemoczenia, podsunął się aż pod okno. Spojrzawszy w nie, spostrzegł Anielę siedzącą z daleka, bez żadnego udziału w czynnościach koleżanek swoich: widział jasny ogień na kominku, przed którym się mógł był osuszyć, i kilka garnuszków śmietanki, któremiby się od biedy można posilić. Ale jak się tu można było dostać do Anieli, która między tyloma nieznajomemi pannami siedziała?—A gdybym też stanął w sieni i czekał, czy nie wyjdzie?—pomyślał sobie. — Tak, a jak mnie kto złapie? — Ta ostatnia myśl tak go przeraziła, że się odsunął od okna, a cofając się natrafił na jakąś sionkę i drzwi do ogrodu, o których nie wiedział. Wahał się, czy wejść do niéj, lecz deszcz ulewny zmusił go wkrótce do tego, a wtém łysło się mocno, piorun trzasł w ogrodzie, Dodosiński przeląkł się niezmiernie, i ze strachu, nie wiedząc co czyni, wpadł do izby drzwiami, które przy świetle błyskawicy był spostrzegł.

Trudnoby było rozstrzygnąć, kto z tych wszystkich osób najbardziéj był przestraszony. To pewna, że Dodosiński nie byłby dotrzymał placu, gdyby go nieznana opiekunka jego nie była zatrzymała. Panna Agata bowiem najpierwsza ochłonęła nieco z przestrachu, i lubo z razu wątpiła, czy duch tylko, czy téż cielesna postać wywołanego przed nią stanęła, wzniosłszy wszelako zwolna oczy do góry, przekonała się po niewątpliwéj barczystości naszego bohatera, że to był ten sam, który się zręcznie od napaści towarzyszów swoich obronić zdołał. Dlatego powstawszy ze stołka, na który była z przestrachu upadła, nie zbliżając się jeszcze ku niemu, zapytała wolnym głosem, zkądby przybywał?

— Z lasu — odpowiedział Dodosiński, zatrzymując się u drzwi, któremi już chciał wychodzić. Przytém ukłonił się niziuteńko czapką; a lubo z miną pokorną i głosem litość wzbudzającym ten wyraz wymówił, cucące się z wolna panny drugi raz mocno wrzasnęły i oczy rękami zakryły.

— A czegoż chcecie? — zapytała daléj Agata.

— Ja — odpowiedział Dodosiński, miętosząc czapkę w obudwóch rękach — ja sam niewiem, jak tu wpadłem. Tam coś trzasło i tu mnie wepchnęło.

Wtém uderzył ktoś mocno w okno i zawołał: — „Do pani!“ — Przerażone kobiety krzyknęły raz jeszcze przeraźliwiéj, lecz panna Agata, nie tracąc przytomności, zawołała na nie, ażeby się zabierały iść do dworu, bo państwo się już na spoczynek udają, a sama zbliżyła się do Dodosińskiego, kazała mu iść za sobą, wyszła do sionki, którą on przybył, wprowadziła go wązkiemi schodami na górę, otworzyła klu-

czem na poddaszu dużą izbę, w któréj rozmaite sprzęty domowe złożone były, kazała mu wejść do niéj i drzwi za nim na klucz zamknąwszy, szybko do pani swojéj pobiegła.

Wszystko się to działo tak prędko, tak niespodzianie, iż Dodosiński nie miał czasu zebrać swoich myśli i że bez żadnego namysłu dane sobie rozkazy wypełnił. Panna Agata przewidziała bowiem ze zwykłą sobie przenikliwością niebezpieczeństwo jego położenia, a chcąc przez szczególną ludzkość ocalić Dodosińskiego i uniknąć wszelkiego dalszego tłómaczenia się, postanowiła ukryć go na czas niejaki przed wszystkimi, a potém utrzymywać, iż ukazanie się jego było tylko omamieniem panien dworskich.

Lecz on nie byłby tak łatwo przystał na wypełnienie jéj rozkazów, gdyby mógł był przewidzieć, że go w ciemnéj i różnemi gratami zawalonéj izbie zamknie. Trzeba było zbiegu szczególnie nieszczęśliwych okoliczności na to, ażeby go nakłonić do cichego zachowania się w tém strasznem dla niego miejscu; byłby zapewne krzyczał i drzwi wybijał, gdyby nie to, że się znajdował w obcym domu, i że niebezpieczną było rzeczą dawać jakiekolwiek znaki swojéj bytności.

Nazajutrz rano, gdy słońce dwoma okrągłemi w szczycie osadzonemi okienkami zajrzało do garderoby, w któréj nasz bohater był zamknięty, nie widać było na jego twarzy śladu trwogi lub nieukontentowania, i owszem, rozlegał się smacznie na miękkiéj pościeli, a próżny gąsiorek i kości kapłona przy łóżku leżące dowodziły, że mu na niczém nie zbywało. Gdy się podniósł z posłania, osiadł uśmiech na jego twarzy wewnętrzną pociechę okazujący, i przeciągając się jeszcze, poszedł z niechcenia do okienka wyjrzéć, co się téż tam na dworze działo. Ledwo co wykazał twarz swoję, jak w ramki oprawną, w okrągłém okienku, aby daléj mógł sięgnąć wzrokiem, cofnął ją nazad i przy szybkiém wyciąganiu głowy uderzył się mocno, aż syknął i za głowę się schwycił. Wyjrzawszy bowiem na ogród, spostrzegł Wacława poglądającego pilnie na oficynę i ku niéj ostrożnym krokiem zmierzającego. Ten widok wzbudził strach w Dodosińskim: bo lubo miał większe zaufanie w łasce panicza, niż starosty, nie śmiał jeszcze wszelakoż tuszyć sobie, aby mu dwoista wina jego darowaną być miała. Mniemał, iż Wacław powziąwszy wiadomość o bytności jego w oficynie, szedł właśnie po niego. Dlatego upatrzył sobie ogromny kocioł od piwa, dnem do góry obrócony, pod który się w razie niebezpieczeństwa miał schować, i następnie z wszelką ostrożnością śledził oknem każdy krok Wacława. Lecz gdy spostrzegł, że tenże zbliżył się do saméj ściany oficyny i z kimciś przez okno otwarte rozmawiać zaczął, i gdy go widział mocno zajętego rozmową, tak że wcale w górę nie poglądał; wychylił się, ile mógł, okienkiem i dostrzegł, iż pan starościc żywo i nader uprzejmie z Anielą Dulską rozmawiał.

Dnia tego przed południem odjechał pan starosta z całym dworem. Wieczorem zaś pani podstolina, gdy się do swego sypialnego pokoju schroniła, usiadła w wielkiém krześle przed gotowalnią, wsparła rękę o poręcz krzeszła, a na niéj głowę, i głęboko zamyślona poglądała w zwierciadło. Ten zaufany powiernik najskrytszych jéj wzruszeń odbijał w obrazie twarzy to, co się w duszy działo. Czas niejaki okazał jéj wejrzenie zasępione, następnie osiadł uśmiech zwycięzki na twarzy, jakąś szczęśliwą myślą wzbudzony. Wówczas ręka mimowolnie układała włosy nad czołem, aby więcéj wdzięku twarzy nadać. W końcu myśl jakaś przykra spędziła z twarzy te powaby, brwi się ściągnęły, spojrzenie bystre wydało zagniewanie, lica zapłonęły rumieńcem; szybko zerwała rękę po dzwonek i wkrótce stanęła przed nią oczekująca na znak ten Agata.

— Gdzież tak siedzisz napróżno? — rzekła do niéj żywo.—Czyż się nie możesz domyśléć, że potrzebuję twojéj usługi, gdy się zabieram na spoczynek?

— Czekałam na przywołanie w przedsionku — odpowiedziała pokornie Agata, i przyklękając przy stołku, jakby się chciała wziąść do zdjęcia obuwia, pocałowała ją w rękę i dodała: — Pani się gniewa? czy na mnie?

— Nie, Agatko — odpowiedziała łagodniéj podstolina i spuściła z niechcenia rękę na jéj ramię. — Nie wiem co mi jest, alem nie swoja dzisiaj; potrzebuję rychłego spoczynku, ażebym zapomniała o tém wszystkiém.

— Jak-to? — zapytała zdziwiona Agata — czy pani już wiész o wszystkiém?

— O czémże takiém?

— O Anieli i o panu starościcu?

Na te słowa ruszyła się żywo podstolina i rzekła, spoglądając bystro na Agatę:

— A! o Anieli i starościcu? O! gadajże prędko!

— Ale ja nie śmiem pani gniewać.

— Nie, nic nie zważaj na to; mnie tego właśnie potrzeba. Cóż tedy starościc?

— Umizgał się z pół godziny do naszéj Anieli, którą zna od dawna, i w któréj wielkie znajduje upodobanie.

— Czyś ty go wysłuchała?

— Nie ja — odpowiedziała spuszczając oczy Agata—ale ktoś inny, którego to bardzo mocno obchodziło.

— Ktoś inny? Która z kobiet może zazdroszcząca Anieli? Ztąd mogą być plotki, a ty wiész, jak ja tego nie cierpię. Nie trzeba było się wypytywać i dowiadywać o rzeczy, która mnie obrażała... No, i któż to taki ci to powiedział?

— Ale kiedy się pani gniewa — rzekła z udaną nieśmiałością Agata.

— No nie, nie; tylko mów, kto taki?

— Oto narzeczony Anieli.

— Narzeczony? A on się tu zkąd wziął?

— Przyjechał z panem starostą.

— Więc i z nim odjechał. Pięknych rzeczy dowiaduję się teraz. Kawaler przyjeżdża z zamiarem starania się o moją rękę, tymczasem stara się o względy mojéj panny dworskiéj. Jego własny dworzanin wypatruje jego zaloty, a potém, gdy wrócą do domu, będą sobie śmiało rozprawiali, że starościc przekładał prostą szlachciankę nad podstolinę, służącą nad panią.

— Nie, niech się pani nie boi, nic takiego się nie stanie. Ten dworzanin, który wypatrzył pana starościca, jak się przez okno do Anieli zalecał, nie pojechał ze starostą.

— Jakże to być mogło?

— Ja go zamknęłam, ażebym pani mogła dostarczyć świadka lekkomyślności panienki i pana starościca.

— Nie rozumiem tego. Jakże ci się miał dać zamknąć?

— Musiał nieborak. Jest-to ten sam, który chybił przeciwko respektowi państwu winnemu, i który mając być z rozkazu starosty srodze za to karany, zdołał uciec innym dworzanom, a ja przez litość, wśród słoty, nie mogłam mu odmówić przytułku. Ten wtedy, będąc zamknięty na górze nad naszém mieszkaniem, widział nieborak, jak pan starościc jego zamiary niweczył.

— Dość tego — zawołała podstolina, zerwała się z miejsca i szybko postąpiła do otwartego okna, ażeby świeżém powietrzem oddychać, i dodała: — Nie chcę więcéj dowodów, i tych już aż nadto. Jutro Aniela do rodziców odesłana zostanie, i żeby mi się nikt nie ważył i słowa o tém wszystkiém wspominać!

— To być nie może — odpowiedziała z wyraźném uniesieniem Agata. — Ja panią kocham szczerze i dlatego powiem śmiało, co myślę, choćby się pani jak najbardziéj o to na mnie gniewała. Tegoćbyto właśnie potrzeba było panu starościcowi, aby mu wszystkie przeszkody do spełnienia jego zamiarów uprzątnąć. A jeżeli Aniela będzie u rodziców, któż mu zabroni widywać ją codziennie? i pani jéj ułatwisz tryumf, z którym się może kiedyś na większą zgryzotę naszę szczycić będzie. Trzeba się mścić na panu starościcu za zniewagę pani wyrządzoną: trzeba mu utrudnić widzenie Anieli i odebrać wszelką nadzieję spełnienia widoków, jakieby mógł mieć na nią; a jedynym na to sposobem jest zachować ją nadal jak dotąd w naszym domu, przyjąć do dworu jéj narzeczonego, i nic nie mówiąc nikomu, sprzyjać jego widokom, ażeby panu starościcowi dokuczyć. Wszakże pani właśnie

brak rękodajnego dworzanina: on się zda na to wybornie. Taka jest rada moja; czekam rozkazów pani.

Podstolina zamyśliła się nieco, zadała kilka pytań o powierzchowności Dodosińskiego, kazała go sobie nazajutrz rano przedstawić, i powierzyła mu ważną funkcyę, która w jéj służbie właśnie wakowała.

ROZDZIAŁ XI.

W e s e l e.

Niech sobie kto chce gani fortunę, ja i mój bohater bardzo ją kochamy. Bo lubo nam często figla wypłatała, hojnie wszelakoż nagrodzi potém strach, którym nas przyjęła. Zarzucają jéj, że ślepa; mnie się zdaje, że to największa jéj zaleta: bo działając na oślep, nieraz lepiéj zrobi, jak gdyby się dobrze rzeczom przypatrzyła. Nasz Faustynek był u niéj w wielkich łaskach; zawsze go jéj ramię dosięgało, i to z tym szczególnym wymysłem, że go za pierwszém uderzeniem obalała, a za drugiém jeszcze lepiéj na nogach stawiała. Właśnie jak ów pan, który widząc, że uderzony przez niego pijany służący ku ziemi się pochyla, poprawia z drugiéj strony, aby go na nogach utrzymać.

Jeszcze siedział nieborak Dodosiński pod strychem między faskami, beczkami i kotłami, gdy się już los jego dalszy w pokojach podstoliny rozstrzygał. Nawykły szukać pociechy w tém, w czém ją najłatwiéj znaléźć można, spał sobie smacznie, kiedy przybyła protektorka jego, aby go z pomiędzy gratów na świat w znaczeniu rękodajnego dworzanina wyprowadzić.

Nie będziemy się nad tém rozwodzili, jakie były obowiązki jego, i jak je wypełniał. Każdy domyśli się łatwo, że był właściwie służalcem panny Agaty, za jéj namową przez podstolinę na przekór starościcowi, jako narzeczony i stróż Anieli trzymany. Lecz tego panna Agata nie przewidziała przy zręcznem obmyśleniu sposobu zachowania przy dworze Dodosińskiego, iż podstolina wszelkie jéj widoki zniweczy, skoro rękodajnemu swemu inne przeznaczenie, odpowiadające jéj chęci dokuczenia Wacławowi, dać zechce. Gdy bowiem pomimo przeszkód wszelkiemi sposobami wymyślanych, starościc o Anieli nie zapominał, i gdy za każdą bytnością w domu podstoliny starał się z nią widzieć; zagniewana podstolina, chcąc temu raz na zawsze koniec położyć, postanowiła przyśpieszyć ożе-

nienie Dodosińskiego z Anielą. W tym celu potrafiła wyjednać piękne wiano od matki dla niéj, a sama hojnym darem skłoniła rodziców narzeczonego i narzeczonéj do przyśpieszenia zawarcia ślubów małżeńskich.

Już skromna i piękna Aniela porzuciła była dwór ukochanéj od siebie chorążyny, odebrawszy poprzednio ze łzami jéj błogosławieństwo. Z prawdziwie dziecinną pokorą słuchała rozkazów rodzicielskich, tyczących się dalszego jéj losu, bo nawykła do tego przekonania, iż wybór męża nie do niéj należał, i że żadne uczucie na wzgląd nie zasługuje, skoroby było przeciwne woli rodziców. Wspomnienie na Wacława było w jéj oczach tém ulubioném marzeniem, któréj się niekiedy jéj wyobraźnia bez żadnéj dalszéj nadziei pieściła. Małżeństwo zaś samo poczytywała za nieodzowne przeznaczenie swoje, które jéj posłuszność małżonki i skrzętność gospodyni za powołanie całego życia naznaczało. Niedziw przeto, że obojętnie ulegając konieczności, przygotowania do naznaczonego ślubu swego czyniła.

Mróz styczniowy zakuł, jak mówią, wszystkie szyby dwóch małych okien porządnéj Dulskiego chaty. Stara matka chuchała na nie, i tynfa na szybie trzymała, aby choć jedno miała miejsce do wyglądania za okno, rychło przyjadą spodziewani goście. Wszystko w całym domu niedzielną, a bardziéj jeszcze wielkanocną postać przybrało, to jest że było odświeżone, wymiecione i wymyte. Świeżo bielone ściany sieni i izb obudwóch, od trzech dni jak najstaranniéj strzeżone były od napaści brudnych palcy. Nawet wierny Obal skowyczał napróżno za dworkiem i do piaskiem wysypanéj sieni przystępu znaléźć nie mógł.

Przy drzwiach wchodowych izby, przybita kropielnica cynowa z krucyfiksem do święconéj wody, połyskiwała się jak srebro. Karabela opuściła zwykłe miejsce na ścianie i właściwsze przy boku pana swego zajmowała. Ogień się palił jasny na kominie, trzaskał, i węgle żarzące na ziemię wyrzucał, że nieraz gospodarz powstać musiał, aby je przydeptać. Aniela zajęta była w czeladnicy przyrządzaniem wieczerzy, a założywszy na rożen dwie tuczne gęsi, starannie obracać je kazała. Potém obtuliwszy się dobrze w lisią jupkę, pobiegła przez dziedziniec do lamusa po parę gąsiorków miodu, które ojciec przysposobić kazał, i prędzéj jeszcze wracała po skrzypiącéj pod lekkiém stąpaniem ścieżce; bo iskrzący się promień zachodzącego słońca, tęższy jeszcze mróz zapowiadał.

Stary Dulski chodził już niecierpliwie po izbie, żona jego patrzała przez odmrożoną szybkę, zégar wybił chrapliwie czwartą, a nikogo jeszcze widać nie było. Zawdział na uszy lisówkę, zarzucił bekieszę czarnym baranem podbitą na ramiona, i wyszedł przed sień gospodarz. Pogłaskał łaszczącego się do niego Obala, postąpił ku

lipie, a wlazłszy na kamień, w lecie za ławkę służący, wyglądał przed sobą, czy na zakręcie lśniącego się zdaleka toru sani jakich widać nie było. Kiwnął dwa razy głową, zlazł z kamienia, poszedł ku bramie, obaczył, czy ją założone kamienie dobrze otworem trzymają, a poprawiwszy ich, obejrzał wyprzątnioną dla gościnnych koni stajenkę, zajrzał do własnych koni, tymczasowo w obórce umieszczonych, a zaleciwszy przezorność i uwagę na wszystko parobkowi, w niedzielnéj czapce wystrojonemu, wrócił mrucząc do dworku i narzekał z żoną na długie oczekiwanie.

Już słońce było zaszło, lecz jeszcze zupełny mrok nie nastąpił. Gromada wron i kruków krążyła nad blizkim gajem i nocne obierała legowisko. Niejeden wróbel przeleciał cichaczem koło okna i szukał schronienia w poszyciu. Żuraw studni skrzypiał z daleka, a bydło, polizawszy nieco zamarzły tok dopiéro co wodą nalany, wracało ostrożnie po ślizkiéj drodze do obory; wszystko smutne i ciche. Jedno tylko źrebię wybrykami swemi ożywiało nieco tę martwą scenę. Obal ze spuszczonym ogonem pobiegł z przed dworku pod wystawkę śpichlerka i mrucząc słał sobie legowisko na barłogu. Ledwo że po długiém deptaniu i kręceniu się w miejscu zaległ nocne leże, aż go odgłos z daleka usłyszany mimowoli z obranego łożyska wypędził; podniósł głowę, zaostrzył uszy, szczeknął raz i drugi na pół głośno, słuchał znowu, a potém szybko się zerwał i z mocném szczekaniem przed bramę wybiegł. Bo się też właśnie krzyki śpiewających i potrzaski jadących głośno po podwórku rozlegać zaczynały. Zajechały najprzód tęgim kłusem ozdobne sanie kute, z murzynkiem w czerwonéj czapce na przodku. Dzielne konie były wilkami i dzwonkami przykryte, a łby ich jakby białym włosem porosłe; tak mocny szron na karéj maści osiadł. Woźnica był w niedźwiedzim kołpaku. Wszystko, słowem, po pańsku, nie tak jak się po siedzących w saniach gościach można było spodziewać.

Trzeba bowiem wiedzieć czytelnikowi, że za wstawieniem się podstoliny, Dodosiński nie tylko przebaczenie winy, lecz i zaszczytne uwolnienie ze służby od starosty otrzymał; a Wacław, dowiedziawszy się o zamierzoném małżeństwie jego, obsypywał go łaskami, jakby na przekorę podstolinie, która tém małżeństwem tak mocno Wacławowi dokuczyć chciała. Gdy się tedy zbliżał dzień ślubu, a Faustynek z ojcem na prędce sanie budowali i największy o to kłopot mieli, zkądby dobrego wasunga dostać, przybył do nich znany nam już dawniéj Srokosz i oświadczył im, że pan staroście, w dowód łaski dla dawnego sługi swego, pożyczy mu własnych sani i koni na wesele, i że przyśle prócz tego dwóch dworzan ojcowskich, którzyby w jego imieniu obrzędowi ślubnemu obecnymi byli i za świadków przy nim służyć mogli. W tych tedy porządnych saniach i w towarzystwie

Srokosza i pana porucznika, dziś już bez służby będącego, zajechał suto przed dwór nasz pan młody; za nim pędziły drugie sanie bez dyszla, z jednéj zatoki do drugiéj po drodze przebiegające, tak iż tylko przewaga siedzących od wywrotu je wstrzymywała, a drobne przed niemi koniki dobywały sił ostatnich, i pod ustawicznem ściganiem bata woźnicy cwałem do bramy wpadły, i raptownie w niéj stanęły z powodu zawadzenia, tak iż postronki pękły, a jeden z siedzących na ziemię wypadł.

Przygłaskał czuprynę stary Dulski, oba wyloty na ramiona zarzucił, poprawił pasa, i wyszedł do sieni naprzeciw oczekiwanym gościom i przyjął ich z narzekaniem, że się spóźnili, ale uprzejmie i serdecznie. Pan młody nie dotrwał w sieni, póki się wzajemne powitania rodziców nie skończyły, lecz wszedł przed wszystkimi do izby, nie tak dalece dla gorącego affektu ku narzeczonéj swojéj, jako raczéj dla zimna, którém był przejęty.

— Skościałem, dalibóg skościałem! — wołał wszedłszy, nie zdejmując czapki ani kożucha, kręcił się, tupał nogami i rękami bił się po ramionach. — Ręce mi zgrabiały, buty zmarzły jak kości! a bodajto licho porwało i mróz taki!—Sykał, chuchał i pukał, mrucząc tym sposobem daléj, a Aniela, stojąc blizko drzwi wchodowych, w milczeniu patrzała się na niego.

— Otóż to mi dopiéro pan młody! — zawołał Srokosz, wchodząc do izby. — Przypatrzcie-no mu się, moje państwo, co to wyrabia, zamiast powitać narzeczoną swoję. No! czy chcesz, ażebym ja za ciebie z affektem do panny Anieli się udał?

— Tak, łatwo wam gadać i kłaniać się, kiedyście nie zmarzli — odpowiedział Faustynek — ale ja, com siedział z tyłu za saniami na tym krzywym koziołku, to ledwo usta otworzyć mogę, a nóg wcale nie czuję.

Tę sprzeczkę przerwało wejście reszty gości, to jest ojca i matki Dodosińskich, pana porucznika, księdza proboszcza, po którego byli wstąpili po drodze, i który wszedłszy podał rękę do pocałowania pięknéj Anieli i domownikom, i pozdrowił wszystkich głośném *laudetur*.

Lubo niewiele było osób, ciasno się wszelakoż zrobiło w izbie tak dalece, iż Faustynek coraz mniéj miał miejsca do zagrzewania się, i ciągle do cofania się zniewolony, okrążył izbę, zasiadł przed kominem i ręce i nogi przy ogniu grzać począł. Nie zważał on na to bynajmniéj, że się rozmowa ciągle o nim toczyła, że się rodzice Dodosińscy nieustannie Dulskim kłaniali, prosząc ostatecznie o łaskę dla syna i oddanie mu córki. Srokosz odmawiał półrymową perorę, ile można dobitnym głosem, patrząc z boku ze złośliwym uśmiechem na porucznika, który w milczeniu wąsa pokręcał. Ksiądz proboszcz, założywszy ręce na brzuchu, kiwał poważnie głową, przekrę-

cał ją niekiedy na znak approbacyi, i uśmiechał się słodko w oczekiwaniu tego, co nastąpić miało, a co, jakkolwiek skromniejsze od pańskiéj stypy, zawsze miłém być miało rozerwaniem nudów i jednostajności wiejskiego pożycia.

Te długie perory i oświadczenia skończyły się nakoniec na tém, że nasz bohater musiał odstąpić od kominka i upaść do nóg rodzicom przyszłéj żony swojéj, co z przyzwoitą powagą i łaskawie przyjętém zostało. I na tém ukończono przedgodowe formalności. Aniela krzątała się tymczasem po izbie, i pomimo, że już od dawna przygotowaną była na blizką zmianę losu swego, mimo że z dziecinną uległością poddawała się woli rodziców, nie mogła wszelakoż oprzéć się wzruszeniu, gdy wymienienie nazwiska swego, jako przyszłéj małżonki Faustynka usłyszała, i niejednę łzę ukradkiem otarła. Za wezwaniem gospodarza domu zajęto miejsca na ławach za stołem, na którym Aniela zastawiła wieczerzę, gąsiorek z miodem i jedyny srebrny puhar po antenatach odziedziczony. Z wyrazem wewnętrznéj pociechy i tego rozweselenia, które zaufanie w przyszłości i wolność od trosk na twarzy malują, sięgnął Dulski po puhar, uniósł go w górę, aby się połyskał przy jasném świetle ognia na kominie trzaskającego, i rozpoczął historyą starożytnego naczynia, która dla niejednego zbyt długa była, i która się z wielką wszystkich pociechą na napełnieniu go starym miodem skończyła. Pierwsza koléj odbyła się nieledwie w milczeniu; lecz następne coraz głośniejszemi powieściami i konceptami ozdobione były. Rozochocony gospodarz zabrał wkrótce głos, i z zapałem dawne wyprawy *wojenne za króla Stanisława* opowiadać zaczął, tém bardziéj wzdychając do dawnych czasów, im większe klęski i cierpienia opisywał. Lecz słuchacze jego, przejęci bez wątpienia panującym w kraju duchem pokoju, nie dali obudzić w sobie rycerskiego ducha, i niedługo kiwaniem, jakby na znak potakiwania, ostrzegli gospodarza, iż dla nich spoczynek od wypraw wojennych był pożądańszym.

Od północy powstał wiatr mocny, świstaniem swojém wielkie zawieruchy zapowiadający, a rano, gdy wszyscy powstawali, i gdy przy pierwszém rozwidnieniu się można było wyjrzéć, co się na świecie działo, przykrą zmianę czasu postrzeżono. Sypały się tumany drobnego śniegu, wiatr zwiewał go na płaszczyznach, a przy każdym wzgórku, krzaku i kamieniu wysokie wznosił zamiecie, tak iż pole jak w bałwany wzbite morze wyglądało. W opłotkach zaległy wielkie zaspy i nigdzie prawie drogi widać nie było.

— O, to będzie piękna jazda — pomyślał sobie nasz Faustynek, wyglądając za okno.—Ciężko psa na dwór wypędzić, a ja mam do ślubu blizko milę jechać. Aż go dreszcz zimny przeszedł, gdy sobie na to wspomniał, i umyślił opatrzyć się dobrze na drogę i kożuch

wziąć na świąteczne suknie, aby się od zziębienia ochronić. Niedługo stawili się przed sienią zamówieni grajkowie, skrzypek i basetlista z Sochaczewa, biegli w sztuce swojéj mistrzowie, którzy po długiém biciu rąk i chuchaniu w palce, zaczęli rzempolić jaką taką melodyą, którą wycie psów podwórzowych wkrótce zagłuszyło. Wpuszczono ich do sieni, nie czekając końca ich grania, kieliszkiem wódki gorliwość nagrodzono, i drętwiejące pokrzepiono siły.

Po nich zaczęli się zjeżdżać sąsiedzi i krewni na wesele zaproszeni, a z daleka widać było sanki bez dyszla, to wykręcające się na ślizgawicy w przeciwną stronę, jak koń zmierzał, i zmuszające go do odwrotu, to przebywające po zaspach śniegu, jak łódki na wzdętych bałwanach, to zalegające w zatokach z całym pakunkiem ludzi i słomy. Niedługo pełno było gości w izbie i w czeladnicy, uwijały się czynnie swaty i swachy, druchny i drużby, wszystko panowie bracia szlachta i ichmość panny szlachcianki. Między przybyłymi zajmował bardzo gospodarzy jegomość pan subdelegat, a plenipotent pani podstoliny, i odbierał od wszystkich dowody uszanowania, wyjąwszy od dworzan starosty, w asystencyi Dodosińskiego przybyłych, z któremi zimne było powitanie i takie obejście się, jak posłanników politycznych dwóch państw przeciwnych sobie, którzy się nawzajem strzegą i obawiają.

Zeszło godzin parę na strojeniu panny młodéj do ślubu, zaszły w końcu sanie; wszystko gotowało się do uroczystego odjazdu z domu do kościoła. Marszałek wesela przemówił do rodziców i państwa młodych, a drużbowie żądali od Faustynka, aby siadł na konia i starym obyczajem przy saniach panny młodéj w ich gronie jechał.

— Albo ja głupi — zawołał, wydzierając się z pomiędzy nich — na taką zawieruchę miałbym konno jechać; a toćbym musiał zdjąć kożuch, a potémbym zmarzł albo skościał jak wczoraj.

— Dobrze mówi — rzekł Srokosz. — Kto słyszał, aby pan młody w taki czas konno jechał? Siadajcie z nami, panie bracie — dodał, biorąc go pod rękę—wszakże to dla was pan starosta te sanie paradne przysłał.

— A jużci — rzekł Faustynek i wsiadł do sani, a przy nim Srokosz. Subdelegat ruszył się naprzód, i chciał się także do tych sani zabrać, lecz porucznik zastąpił mu drogę, zatrzymał go za ramię, i powiedziawszy: *za pozwoleniem!* odepchnął go i sam do sani z drugiéj strony pana młodego zasiadł.

Za danym znakiem ruszył woźnica żywo z miejsca i wkrótce wszystkie sanie wyminął, co naszego Faustynka nader ucieszyło. Kilku drużbów, a między nimi i pan subdelegat, lubo nie piastujący takiego urzędu, usiłowało zdążyć za temi saniami, lecz jednych konie pozostały w tyle, pomimo mnogich plag, któremi je okładali, innych

ślizgały się lub upadały z jeźdzcami. Sam subdelegat dotrzymywał jeszcze rozpędzonym saniom i usiłował zdążać za niemi, dlatego właśnie, że z prostéj drogi do kościoła zupełnie zboczyły. Lecz gdy w pędzie natrafił na kupę śniegu pod płotem nagromadzoną, koń jego uwiązł w niéj i tak raptownie łbem w nią uderzył, iż jeźdzca przez płot w drugą zamieć przerzucił. Nim ztąd się wydobyć, zasypane oczy przetrzéć i po konia za płot przeléźć zdołał, nie było już widać sani z Faustynkiem, bo w przyległym znikły lesie.

— Wiemci ja, co się święci — rzekł po długiém milczeniu, ruszając głową nasz subdelegat; wydobył konia ze śniegu, otrząsnął jego i siebie z mokréj kurzawy, wsiadł na kulbakę, kiwnął jeszcze kilka razy głową i stępą prosto do domu pojechał. A gdy z daleka przejeżdżał koło kościoła, przed którym weselnicy w oczekiwaniu stali — rzekł do siebie: — Oj głupcy! nie marznijcie próżno na dworze, bo go się nie doczekacie.

ROZDZIAŁ XII.

K s i ą d z.

Nasz bohater znikł nam tedy w lesie, jak-to pan subdelegat przewidział i wcale nie przyjechał do kościoła. Zostawmy pannę młodą, rodziców, teścia, świekrę i całą gawiedź weselną, oczekujących długo na niego; a potém wystawmy ich sobie szukających go troskliwie po wszystkich zaspach i opłotkach, czyli gdzie w śniegu nie uwiązł. Dodajmy do tego, dla wiadomości naszych czytelników, iż wszelkie ich starania były próżne, że długo nikt o Faustynku nie usłyszał, że w okolicy rozmaite wieści o jego zniknieniu chodziły, które się wszystkie na tém kończyły zdaniu: że przepadł jakby kamień w wodę wrzucił.

Czytelnik nie dzieli tego zdania zapewne, bo wié dobrze o tém, iżby to w tym razie ostatnia karta téj wiernéj biografii jego być musiała. Jakkolwiekby autor chciał go ukryć przed nim i od końca resztę historyi jego zacząć, zawszeby ostatecznie wszystko wyjaśnić musiał. Bo luboby go w końcu zawodu trudno było poznać, każdyby się domyślił, że nieznajomy na scenę wyprowadzony nie kim innym, jak naszym Faustynkiem być musi. Dlatego puśćmy się w pogoń za nim, i zobaczmy, co się z nim działo w całym przeciągu czasu, przez który zupełnie dla swoich był straconym.

Przypuśćmy, iż po téj zimie, która w poprzednim rozdziale panowała, upłynęło kilka miesięcy. Z okolic Łowicza przenieśmy się o mil blizko dwadzieścia, i wystawmy sobie starożytny kościół na górze, wśród otwartego pola, a obok niego obszerny klasztor OO. Bernardynów. Przede drzwiami wchodowemi stoi ławka drewniana, dla odpoczynku dziadów kościelnych przeznaczona, zajęta właśnie przez starca poważnéj postaci, w ciemnym opiętym żupanie, z cyfrą kościelną na lewéj piersi, czerwoném suknem wyszytą, przepasanego czarnym rzemiennym pasem. Siedzi on schylony, ręce oparte na kolanach, rzadkim włosem bielącéj się głowy i długą siwą brodą powiewa niekiedy miły wietrzyk, przy popołudniowym upale starca krzepiący. Mówi on właśnie z młodym człowiekiem w klasztornym ubiorze, z włosami równo i krótko obciętemi, przepasanym ogórkami, bez tonsury jeszcze, snać godność braciszka dopiéro piastującym, który z powodu następującéj nazajutrz niedzieli zajęty jest poziomą posługą, to jest zamiataniem sieni i ugrabianiem dziedzińca, aby przystęp do klasztoru przyjemniejszym uczynić. Po opartéj na ławie miotle obok starca widać, że i on był tąż samą czynnością zajęty, i że dla znużenia spoczynku teraz używa. Od dawna toczyła się rozmowa, lecz starzec mówił właśnie do młodego braciszka:

— A cóż wam to za krzywda teraz? Macie jeść i pić podostatkiem, roboty niewiele, tę trochę posługi kościelnéj, toć ja już stary, a jeszcze niejedno zrobię i nie narzekam nigdy, chociaż mi nie rozkosz.

— Tak, ale kiedy człowiekowi lepiéj było dawniéj, kiedy i nic nie robił i opływał we wszystko, jak pączek w maśle?

— A cóż-to! czy myślicie, że ja zawsze byłem dziadem kościelnym? Oj nie, nie z jednegom ja pieca chléb jadał, niemało kraju zwiedził, niejednemu panu służył, a co lepsza, nie z jednym bisurmanem szablę swoję mierzył.

— Ji, szabli ja nie żałuję, bo mi-to wszystko jedno, czy ona wisi przy boku, czy nie, i w tym habicie tak mi dobrze, jak dawniéj w kontuszu, ale żałuję mojéj fortuny, mojéj żony....

Szybko zwrócił oczy na mówiącego starzec i zawołał: — Jak-to, żony? Albożeście to już żonaci? a czemuż nie mówicie o tém Ojcom? Toćby was na księdza nie kierowali, a oni chcą was pono wziąść do nowicyatu za parę miesięcy. Mówcież prawdę, czy macie żonę?

— Kiedy mówię, że żałuję mojéj żony, to znać, że jéj nie mam.

— Toście już wdowcem? Mój Boże! tak za młodu jeszcze.

— Ej zaś wdowcem, kiedym się jeszcze z moją żoną nie ożenił.

— Człowieku, co ty gadasz? Dobrze mówili, widzę, żeś niespełna rozumu.

— Oj! nie wspominajcie mi tych.... bo zaklnę, choć się to nie go-

dzi. *Niespełna rozumu!* Takci mi Ojciec gwardyan mówi, kiedy go proszę, żeby mnie odesłał do moich pod Sochaczew, gdzie mój ojciec ma fortunę, zkąd mnie, nie wiem, licho czy złe duchy aż tutaj przynieśli. Jak mu to mówię, to się tylko śmieje i patrzy mi w oczy, jakbym ja plótł nie do rzeczy. Jeżeli tego dłużéj będzie, to człowiek doprawdy oszaleje.

— No, ale cóżeście mi teraz właśnie mówili o waszéj żonie, z którąście się nie ożenili?

— Cóż w tém dziwnego? Czyż kiedy człowiekowi powiedzą, tak jak mnie od maleńkiego: „Aniela będzie twoją żoną“; kiedy sąsiady pojadą na swaty i potém człowiek się z nią zaręczy; kiedy, co lepiéj jeszcze, zjadą się wszyscy na wesele i goście i kapela, i kiedy człowiek wystroi się w suknie nowiuteńkie i wianek z białą wstążką przypnie mu druchna do boku, i kiedy usłyszy już sygnarek na *Veni creator* przed ślubem, i cóż? mówcież, czy człowiek nie może sobie wtedy powiedzieć, że ma żonę?

— A czemużeście tedy nie wzięli ślubu?

— A dlatego, żem tu musiał jechać.

— A to poco?

— Toćbym ja chciał wiedzieć i nad tém sobie próżno głowę suszę, poco?

— Ale mój bracie, toć przecież musicie wiedzieć, kto was tu przywiózł i jakeście tu przyjechali?

— A gdybym ci wiedział, tobym sobie głowy nie suszył.

— Jakżeż to być może?

— Zwyczajnie, czyście to nigdy nie słyszeli o oczarowaniu, o orzeczeniu? (tu się obejrzał na wszystkie strony mówiący i rzekł ciszéj) o djable?

— A przecięż eś, mój bracie, nie opętany — rzekł szybko starzec, bystro patrząc na niego i poruszając się, jakby się chciał oddalić.

— Ji zaś, miałbym być opętany! siedźcie spokojnie, nie bójcie się niczego. Mówię wam, że mi któraś zadała, i cała rzecz; a ja muszę albo spać teraz jak ten, co to sto lat przeżył a myślał, że tylko jednę noc przespał, i różne miał dziwne sny przez ten czas, albo téż jestem zaklęty na czas, albo.... sam już nie wiem, co mam mówić.

— Toć przecie gadacie, jécie, pijecie, tak jak ja i każdy drugi, więc nie śpicie, ani was nikt nie zaklął; ale wam mogli zadać jakąś, żebyście odstąpili od waszéj przyszłéj żony. Czekajcie-no: Nie był tam jaki zazdrosny, który chciał był się żenić z waszą?.... Jakżeście ją nazywali?

— Anielą.

— Tak, Anielą. No, to on może chcąc was się pozbyć....

— Ji gdzie tam! Nie było nikogo zazdrosnego. Aniela była dobra dziewczyna i nikogoby nie była słuchała. Chodził-ci-to koło niéj jeden młody panicz, syn starosty, ale to, jak-to wiécie, zwyczajnie jak panicz, a potém zupełnie o niéj zapomniał i na mnie był tak łaskaw, że mi przysłał własne sanie z tęgą parą koni — bom u niego był dawniéj za dworskiego — ażebym miał czém suto jechać do kościoła. Ale to też to własnie te konie szalone mnie uniosły.

— A widzicie, że to tego starościca sprawka być musi, kiedy jego konie was tu przywiozły.

— Ji gdzie tam, wcale nie tak. Jam przecie wsiadł do paradnych sanek z *murzynkiem z czerwoną czapką*, przed dworkiem ojca Anieli; do sanek, które para tęgich siwych ogierów ciągnęła, dzwoniąc mnogiemi dzwonkami na łbach i na całym zaprzęgu pozawieszanemi, że aż się rozlegało po całéj okolicy; a zajechałem tutaj w wasążku, na prostych saniach osadzonym, w jednego konia, którego żyd jakiś niemiłosiernie poganiał, aby mnie tutaj dowiózł.

— Toć musicie wiedzieć, zkąd ten żyd był?

— A wiem; z ostatniéj karczmy na trakcie, oto z téj, widzicie! tam na lewo! co tak sama daleko ode wsi stoi.

— A do téjże karczmy jakeście się dostali?

— Ale powiadam wam, że nie wiem; jednak co spamiętam, to powiem. Oto tak: Gdyśmy tedy zabrali się w drogę do kościoła na ślub, wsiadło ze mną do owych paradnych sani dwóch dworzan starościca. Zawierucha była okrutna, że światu widać nie było. Jechaliśmy z razu żwawo, tak, że wszystkie inne sanie w tyle zostały, ale bez żadnego przypadku. Aż tu ni z tego ni z owego prysły moje konie w bok, woźnica ciągnął lejce co siły na prawo, a te koniecznie na lewo, i to w takim pędzie, że ani wyskoczyć, ani można było myśléć o zatrzymaniu. Jam wołał co siły, że nie tędy droga do kościoła, potém na konie krzyczałem prr! prr! A gdzietam, nic nie pomogło! Na ostatek, po dobréj godzinie jazdy, Bóg wié gdzie i tak i siak, przecież zmęczyły się, aż piana z nich ciekła i dały się zatrzymać przed jakąś karczemką. Ha, trzeba było stanąć; bo raz, że koniom trzeba było dać wytchnąć, drugi raz, że nikt drogi napowrót nie wiedział. Wysiedliśmy tedy wypytawszy się żyda, którędyby do naszéj parafii nazad jechać trzeba było; zasiedliśmy sobie za stołem, tak właśnie, jakby nikt na nas u drzwi kościoła nie czekał. Ale cóż było robić, kiedy konie były okrutnie zmachane, a my poziębli? Jeden z dworzan starościca kazał zagrzać kwartę piwa, a czekając na nie, wypił do mnie wódki, a ja do drugiego i to razy kilka, bo zwyczajnie trzeba się było rozgrzać. Jakem potém wypił gorącego piwa, tak mię to trochę rozmarzyło; ale byłem zdrów i wesół, i nawet dotrzymałem im jeszcze kolei, póki konie siana nie zjadły. Raptem ni z tego ni z owego, za-

pomniałem o wszystkiém, zaćmiło mi się w oczach i zdaje mi się iż usnąłem. Musiałem spać mocno, kiedym się dopiéro z tęgim mrokiem obudził. — A gdzież my-to jesteśmy? — zapytałem moich towarzyszów. — W karczmie — odpowiedzieli. — Czyż nie widzisz? Zaspaliśmy, bracie; noc nastała, trudno będzie daléj jechać; trzeba tu będzie nocować, a jutro równo ze dniem ruszymy nazad. Czy tak, czy siak, toć już dziś twego ślubu nie będzie. — To była wielka prawda, bo go jeszcze do dziś dnia nie było. Cóż było robić? Zostaliśmy tedy, a mnie się tak w głowie od téj wódki przewróciło, żem ani karczmy, ani żyda nie poznał i że mi się koniecznie zdawało, jakobym był przez ten czas, kiedym spał na ławie, Bóg wié ile mil ujechał, i upierałem się do ostatniego, że ten żyd, który nam wprzód wódkę nalewał, miał czarną brodę, kiedy ten, co stał przedemną, miał czerwoną. Poszli moi towarzysze w zakład ze mną, pytali się żyda o nazwisko wsi, odległość naszéj parafii; wszystko się zgadzało. Więc przegrałem zakład i stawiłem przed nimi kwartę wódki. Jakże nie pić do nich, zwłaszcza, że mi się pić chciało. Ale to tak zawsze z tymi dworskimi; trudno z nimi utrzymać miary i spiłem się tedy, ale tak, żem o świecie nie wiedział. Po nie wiem jak długiéj chwili, przebudzam się trochę; widzę wielki dzień na dworze. Zrywam się z dobrego posłania ze słomy, wołam po imieniu na moich towarzyszów podróży; gdzie tam, nie ma żadnego. Wypadam przed sień do stajni, nie ma ani sani, ani koni. A niecnoty! pomyślałem sobie; figla mi wypłatali i odjechali mię. Wracam do karczmy, znowu inny żyd od poprzedzających. Pytam się o naszę parafią, o wsie po trakcie, daléj o Sochaczew, o Łowicz.... gdzie tam, nikt nic nie wié, wszyscy jak w rogu. Nakoniec brakło mi cierpliwości, zacząłem wymyślać i grozić kijem, jeżeli mi drogi przynajmniéj do Sochaczewa nie pokażą. Żyd wypadł z izby, przywołał ze stajni chłopów popasających na pomoc, ci mnie wzięli za opętanego, związali mnie, włożyli na wasung, i oto wraz z żydem odwieźli do tego klasztoru, gdzie karczmarz śmiał powtórzyć to, co się chłopom zdawało, i gdzie mnie przyjęli z miłosierdzia, potém do usług klasztornych użyli, i na ostatek braciszkiem zrobili. Ale nigdy nie chcą wierzyć temu wszystkiemu, com ja wam teraz powiedział, ani żebym miał być z tak dalekich stron, jak powiadam.

Uśmiechnął się starzec przy końcu téj powieści, kiwnął kilka razy głową i rzekł: — I ty nie wiész, nieboraku, jakeś się tu dostał i kto ciebie tu wyprawił?

— Albo co? — zapytał zadziwiony Dodosiński. Bo on był oczywiście tym braciszkiem.

Chciał mu odpowiedzieć staruszek, lecz wtém wyszedł z klasztoru

ksiądz gwardyan i przerwał ich rozmowę, która się już dnia tego i następnego dla różnych przeszkód skończyć nie mogła.

Miłosierdzie pobożnych mieszkańców okolicy, którzy się w niedzielę do kościoła zgromadzili, przysposobiło dziadom kościelnym dostateczny fundusz do poniedziałkowéj biesiady, tak iż po południu jedni w śnie utraconéj przytomności szukali, a drudzy, podobni do lunatyków, chodzili tu i ówdzie bez żadnego celu, wszędzie za mało miejsca dla siebie znajdując. Nasz braciszek Dodosiński dnia tego więcéj niż zazwyczaj miał do czynienia, bo poprzysiągłszy sobie, iż nigdy nie będzie pił wódki, od czasu, jak go nią oczarowano, nie należał do poniedziałkujących i za wszystkich roboty wykonywać musiał. Znudzony bardziéj niż kiedykolwiek nowym sposobem życia, powziął myśl śmiałą, i niezwłocznie do wykonania onéjże przystąpił. Gdy większa część mieszkańców klasztoru dla upału w celach zamkniętą, lub drzémce oddaną była, wyszedł Dodosiński z korytarza klasztornego na palcach, trzymając w ręku sandały, i oglądał się na wszystkie strony, czy go kto nie widzi i nie goni; przeszedł, włożywszy sandały ostrożnie, przez dziedziniec klasztorny, przemykając się chyłkiem pod oknami; wymknął się ze strachem za furtę, szybkim krokiem puścił się ścieżką, która do drogi ponad górą idącéj prowadziła, i tam dopiéro zatrzymał się i na wszystkie strony oglądać się zaczął.

Ta jego ostrożność była wcale niepotrzebna. Bo cóż w tém mogło być podejrzanego, że on wśród dnia, nie unosząc nawet nic wcale z sobą, za bramę klasztorną na drogę wychodził? Tyle razy to już był bez żadnéj obawy i przeszkody uczynił, a teraz postępował ostrożnie i z bijącém sercem, właśnie jak gdyby kto z jego twarzy mógł wyczytać, że ma zamiar dokonania ucieczki. Tak dalece to jest prawdą, że człowiek złym zamiarem zajęty, w sumieniu własném tysiące poniekąd świadków widzi, i że rozumié, że każdemu to musi być jawném, co się w głębi umysłu jego dzieje. Trzeba to długiego brojenia i wielkiéj wprawy w przewrotności, ażeby nie ulegać podobnéj słabości i z otwartém czołem śmiało między tymi postępować, przed którymi złe zamiary ukryć chcemy. Znać, że nasz bohater nie był złym człowiekiem, lubo go natura wielkiemi przymiotami duszy nie obdarzyła. Bo i teraz postanowił wykonać zamiar, nie obrachowawszy wprzód ani sposobów, któremiby go mógł dokonać, ani skutków z niego wypłynąć mających. Tęsknota wzbudziła chęć wrócenia do swoich, a że ucieczka była środkiem dokonania tego zamiaru, dlatego uciekł bez dalszego namysłu.

Lecz gdy stanął nad drogą i spojrzał z góry na rozległe doliny, które miał przed sobą, a najdaléj nawet, gdzie tylko mógł sięgnąć okiem, nic podobnego do ojczystéj zagrody nie widział; nastręczyło mu się dopiéro to tak proste postrzeżenie: że daleką ma podróż przed

sobą, a do niéj zdrowe wprawdzie nogi, ale ani szeląga na posiłek dla zdrowszego jeszcze żołądka. Spojrzał po sobie i wspomniał dopiéro na to, że ubiór jego nie bardzo dalekiéj wędrówce sprzyja, bo miał uchodzić za to, czém nie był wcale. Inny na jego miejscu byłby w tém znalazł pomoc w wykonaniu trudnego zamiaru, przybierając postać kwestarza, który wszędzie gościnne przyjęcie znaléźć może. Lecz do tego trzeba było umiéć kłamać i udawać, a nasz Faustynek równie do tego, jako i do wszystkiego innego, żadnéj nie miał zdatności. Dla niego trzeba było koniecznie zewnętrznéj siły, którąby mu pochop dała, aby go naprzód lub wstecz posunąć, teraz zaś był pierwszy raz w życiu sam sobie zostawiony, dlatego téż ani kroku naprzód uczynić nie mógł.

Zatopiony w rozmyślaniu, które mu żadnéj dobréj myśli nie podawało, patrzał niewzruszoném okiem daleko przed siebie, i równie nic nie spostrzegał, jak nic nie myślał. Wtém usłyszał za sobą szelest, obejrzał się i spostrzegł dwóch ludzi, po szlachecku ubranych, wysokich i silnych, lecz pokornie ze zdjętemi czapkami ku niemu zbliżających się, którzy po zwykłém pobożném pozdrowieniu przystąpili blizko do niego, pocałowali go każdy w inną rękę i przemówili do niego, mianując go *wielebnym ojcem*.

— Ja nie *ojciec* — zawołał Faustynek zdziwiony i wyrwawszy im ręce, dodał skazując na klasztor: — Tam są *ojcowie*, ja tylko jestem *braciszkiem*.

— To jeszcze lepiéj — odpowiedział jeden z nieznajomych, prostując się i porzucając przybraną pokorę — takiego nam téż właśnie potrzeba.

— Jakto, potrzeba? — zapytał Faustynek. — Ja tego nie rozumiem.

— My ci to zaraz wytłómaczymy — odpowiedziano — tylko ruszaj naprzód z nami.

— Ja i bez was chciałem iść naprzód — rzekł Dodosiński — jeżeli idziecie w tę samą drogę, co i ja, i jeżeliście poczciwi ludzie, to pójdę; czemu nie?

— Mniejsza o jedno i o drugie, tylko zabieraj się co prędzéj, bo nie ma czasu do stracenia; za chwilę dowiész się wszystkiego.

— Ale co zaś? Myślałby kto, żeście umyślnie po mnie przyszli.

— Czy po ciebie, czy nie po ciebie, to nam wszystko jedno; nam tylko trzeba księdza.

— Ale ja nie ksiądz, mówię wam. Po księdza idźcie sobie do klasztoru.

— Masz habit, to dosyć; nam więcéj nie potrzeba. Gdybyśmy ciebie nie byli tutaj napotkali, tobyśmy musieli byli uprosić którego prawdziwego księdza, aby poszedł z nami, ale co ciebie, to cię prosić

nie będziemy. — To mówiąc, wzięli go obaj nieznajomi pod rękę, i nie czekając dalszych uwag jego, a korzystając z pierwszéj chwili odurzenia, sprowadzili go szybko z góry, tak iż biegnąc na dół oprzéć im się nie mógł.

Lecz gdy stanął na równéj ziemi, zatrzymał się w miejscu, szarpnął się raz i drugi, i chciał rozpocząć bój krwawy, obroną własną usprawiedliwiony. Na ten zamach odpowiedziano mu dwoma równie silnemi argumentami, bo mu okazano razem pistolet i worek pieniędzy, mówiąc: — *Wybieraj.* — Opadły ręce naszemu braciszkowi, bo pistolet na piersi wymierzony silniejsze czynił wrażenie na umyśle, od usłyszanego brzęku pieniędzy.

— Przez Bóg żywy, czego chcecie odemnie? — zapytał z trwogą.

— Niczego złego dla ciebie; tylko uległości zupełnéj — odpowiedziano — a w tym razie nie będziesz żałował, że wypełnisz, czego od ciebie żądać będziemy.

Nie można było wątpić o zupełnéj uległości Dodosińskiego, bo spuszczone oczy i ręce i bierność całéj postaci jego, dowodziły jéj najoczywiściéj. Dla tego wzięto go powtórnie pod ręce, obrócono się w bok i szybko z nim postępowano. Na małéj drożynie, opodal od głównego traktu, stał pojazd zamknięty. Doszedłszy do niego, podano mu rękę do wsiadania, zawiązano mu oczy, i pojazd szybkim pędem naprzód ruszył. Po kilku godzinach jazdy, gdy już słońce było zaszło, zatrzymał się pojazd; zdjęto zasłonę z oczu Dodosińskiego i ujrzał się w lesie, przed małym kościołkiem, do którego dotykało mieszkanie pustelnika, jedno i drugie od dawnego czasu opuszczone. Skoro wysiadł z obudwoma towarzyszami swemi, natychmiast pojazd nawrócił i równie szybko jak przybył, tąż samą drogą odjechał.

Nasz bohater przecierał sobie długo oczy, jak gdyby chciał więcéj widziéć, niż się mógł domyśléć; patrzał to na kaplicę, to na towarzyszów swoich, to na pojazd odjeżdżający, tak iż się zdawało, że się wszystkiego pytał: — Co to się znaczy? Co to z tego będzie? — Ale strach, długiém milczeniem, nastałym mrokiem i samotnością miejsca wzbudzony, zamykał mu usta.

Po chwili rzekł jeden z towarzyszów: — To miejsce jest dalekie od wszelkich zamieszkań ludzkich; mila lasu na około, żadnéj wsi, żadnéj nawet karczmy nie masz w poblizkości, więc wszelkie usiłowanie, wołanie o pomoc, wszelki krzyk na nicby się nie przydały.

— A pocóżby kto miał krzyczéć? — odpowiedział Dodosiński drżącym głosem z pewnym uśmiechem, przez chęć ujęcia sobie mówiącego, pomimo nawet największego strachu na ustach osiadającym, i patrzał mu się nieśmiało w oczy.

— Tak zwyczajnie, z niepotrzebnego strachu — rzekł tenże.

— A któżby się zaś bał z takimi panami? — mówił jak wprzódy nasz bohater.

— To dobrze. Teraz słuchaj i uważaj, co ci powiem. Oto najprzód musisz mi przysiądz na ten pistolet, że nikomu, nigdy ani słowa nie powiész o tém wszystkiém, co tu obaczysz, i co się tu dziać będzie.

— Na pistolet? — zapytał drżącym głosem Dodosiński.

— A tak. Bo to broń zabójcza, a gdybyś miał złamać przysięgę, toby pierwsza jakakolwiek strzelba, którąbyś gdzie postrzegł, sama do ciebie wystrzeliła i trupem cię położyła.

— Rozumiem — odpowiedział równym jak zawsze tonem nasz bohater, który teraz mniéj niż kiedykolwiek na nazwisko bohatera zasługiwał, i wykonał, trzymając trzy palce prawéj ręki na lufie pistoletu, żądaną po nim przysięgę. Po dopełnieniu téj formalności poszedł między strzegącemi go towarzyszami do kaplicy, gdzie już zupełna ciemność panowała. Jeden z nich dobył dwóch kawałków świéc woskowych, skrzesał ognia, zapalił je, i nakapawszy wosku na mensę zrujnowanego ołtarza, ustawił je na nim,

— Tutaj będziesz dawał ślub — rzekł do Faustynka — osobom, które wkrótce przybędą.

— Ja ślub dawać? Jam go tylko miał brać raz w życiu, alem go jeszcze nigdy nie dawał; a więc nie umiem nawet....

— Mniejsza o to, my cię nauczymy.

— Ale się to nie godzi, bo ja nie jestem księdzem.

— Tu nie idzie o to, abyś dał ślub, jak się należy, bo nam go nie potrzeba. Wszelkie skrupuły twoje są niewczesne, bo musisz.

— Czy umiész przynajmniéj kilka słów po łacinie?

— Umiem tylko do mszy służyć — rzekł drżąco Dodosiński.

— To dosyć: a resztę ci podpowiemy.

Potém zaczęto czynić niektóre przygotowania, wśród których zajechał ten sam powóz, co wprzódy, przed kaplicę; wysiadła z niego zasłoniona i rzewnie płacząca niewiasta, a za nią mężczyzna średniego wieku, surowéj postawy. Oboje stanęli przed ołtarzem, mężczyzna dał znak rozpoczęcia udanego obrzędu, a niewiasta zemdlała i padła w ręce dwóch przy niéj stojących dworzan. To przeraziło Dodosińskiego, wzbudziło w nim wstręt do wypełnienia danych sobie zleceń, a nawykły wykonać z uporem, co raz postanowił, bez względu na skutki, jakie ztąd wynikną, nie tylko, że nie chciał postąpić za danym znakiem na stopnie ołtarza, ale się rozparł silnie u ściany, kiwał milczący głową, na znak, że nie postąpi kroku, i następnie z właściwą sobie siłą opierać się zaczął dwom towarzyszom swoim, którzy go gwałtem przed ołtarz wciągnąć chcieli. Widząc to, mniemany pan młody dawał oznaki zagniewania i niecierpliwości, oglądał się często

za siebie, i nie mogąc inaczéj sporu ułatwić, dobył ciężkiéj sakiewki z pieniędzmi i Dodosińskiemu ją porzucił, tak, że mu z pocieszającym brzękiem pod nogi padła. Lecz i ten miły odgłos nie przemógł nad jego stałością, i już miano przystąpić do groźby i gwałtowności, gdy krzyk mocny usłyszano przed kaplicą.

Pan młody i towarzysze jego obrócili się nagle, zgasili świéce, porzucili Dodosińskiego, porwali przywiezioną niewiastę i wybiegli szybko na dwór, chcąc dojść do pojazdu. Wkrótce padło kilka wystrzałów, a szczęk broni dowodził, iż się bój krwawy toczyć musiał. Łatwo się każdy domyśli, w jakim był strachu Dodosiński. Po danym dopiéro dowodzie męztwa, drżał cały jak listek jesienny, i jakby nie dowierzał sile nóg własnych, zsunął się ku ziemi po ścianie i siadł skulony w tém miejscu, w którém się dopiéro co napastnikom swoim opierał, a będąc niby w oczekiwaniu trafić go mającego ciosu lub wystrzału, głowę między ręce schował, aby przynajmniéj nic nie widział. Po krótkiéj chwili największéj trwogi, zaczął się słyszany hałas coraz bardziéj oddalać, aż nakoniec zupełna cichość nastała.

Dla tchórzów są dwa rodzaje bojaźni: jedna w obec ludzi, których się obawiają; druga, gdy nie masz ludzi, od którychby się jakiéjś pomocy spodziewać mogli. Pierwsza jest rzeczywistsza i da się więcéj usprawiedliwić, lecz zwykle nie tak silnie działa na słabym umyśle, jak druga, która częstokroć żadnego nie ma powodu. Tego właśnie doświadczał nasz bohater. Jeżeli bowiem drżał, słysząc wystrzały i zgiełk zagładą grożący, można powiedzieć, iż teraz nie śmiał nawet drżéć ze strachu, gdy sam na sam został, aby szczękania własnych zębów nie usłyszał. Jeżeli wprzódy zasłonił oczy, aby nie widział połysku wystrzałów, teraz nie śmié ich otworzyć dlatego, że nic nie miał widzieć w ciemności. Jeżeli wówczas mimowolnie poniekąd po ścianie aż do ziemi się spuścił, teraz nie śmiał się ruszyć z miejsca, ażeby się nie przeląkł szelestu, któryby przez to zrobił. W tym stanie prawdziwego zmartwienia siedział długo bezwładny na miejscu; tyle tylko; iż każde poruszenie potłuczonych szyb w oknach, każdy odgłos nocnego ptastwa, sprawiały w nim drganie.

Lecz szczęściem to dla ludzi, że żadne gwałtowne wzruszenie długo trwać nie może. Największa trwoga i bojaźń równie się zmniejsza i ustaje, jak zapał i uniesienie. Po przetrwaniu w zimnych potach, dreszczach i w zupełnym prawie braku przytomności, uniósł przecie Dodosiński nieco oczy do góry, i gdy nic wcale wkoło siebie nie spostrzegł, powstała w nim ta myśl pocieszająca, że i jego nikt i nic widzieć nie może. Zwróciwszy oczy trochę na bok, spostrzegł miejsce nieco jaśniejsze od saméj głębi kaplicy, i tém przerażony szybko twarz w ręce schował. Za drugiém wzniesieniem oczu rozeznał, że tém miejscem nieco jaśniejszém były otwarte drzwi kaplicy. To zno-

wu wzbudziło myśl pocieszającą, że można wyjść z tego miejsca trwogi. Przywrócona przytomność przywiodła mu na pamięć worek z pieniędzmi pod nogi rzucony; sięgnął ostrożnie ręką pod siebie; natrafił na niego, a unosząc go zwolna, żeby pieniądze nie zabrzękły, mocno ręką go ścisnął. Nakoniec, po długiém wahaniu się, co ma z sobą począć, porwał się, i pędem otwartemi drzwiami wybiegł, a natrafiwszy szczęśliwém zdarzeniem na drogę, szybko naprzód postępował, oglądając się ciągle, czy kto nie goni.

Cała ta scena porwania, trwogi i ucieczki trwała dłużéj niż się w opowiadaniu zdaje, tak dalece, iż dniéć zaczynało, gdy Dodosiński z lasu wychodził. Cóż było począć z sobą? jakim sposobem wykonać w klasztorze jeszcze powzięty zamiar wrócenia do swoich? gdy do dawnych przeszkód dwie nowe przybyły: obawa, ażeby nie szukano tego księdza, który miał ślub dawać porwanéj osobie, i większa jeszcze obawa, aby się nie wydało, że ma przy sobie pieniądze, które mogły służyć za dowód przekupienia i spólnictwa w występnym czynie.

Te dwie myśli opanowały słaby umysł naszego bohatera, skoro tylko wyszedł z lasu i na otwartém polu się ujrzał. Musi to być zabytek pierwszego stanu dzikości człowieka, że w lesie nieraz schronienia szuka, i że się w nim bezpieczniejszym być sądzi, zwłaszcza gdy ma przyczyny obawiania się prześladowania od ludzi. Póki jest między pniami i liściami, póty rozumié, że się ukrywa przed wzrokiem tych ludzi, których mu unikać wypada. Dlatego też nie pomyślał nawet Dodosiński o niebezpieczném położeniu swojém, póki w cieniu lasu postępował, a przeraził się niém za pierwszym krokiem w otwartém polu uczynionym. Dotąd trzymał worek z pieniędzmi zanadrzem schowany, a teraz spuścił szybko rękę i obejrzał się trwożliwie, czy kto nie widzi, że on ma coś ukrytego przy sobie. Nastąpiła trudna walka wewnętrzna względem tego tak niespodzianie i niewinnie nabytego skarbu. Przezorność i wrodzone uczciwości uczucie, kazały porzucić pieniądze bez pracy i zasługi nabyte, a chciwość i pomyślne nadal widoki, starannie zachować je radziły. Łatwo się każdy domyśli, które uczucie górę wzięło, i że poczytawszy posiadane pieniądze za prawnie nabytą własność, lepiéj je jeszcze ukrył Dodosiński i pośpieszył drogą do karczmy, do któréj go potrzeba spoczynku i posiłku wstąpić zniewalała. Szczęściem dla niego, był w niéj karczmarzem katolik, który go przyjął z poszanowanim sukni jego przynależném i śniadaniem poczęstował. Posiliwszy się, usnął Faustynek w tém samém miejscu, gdzie dopiéro zajadał, niemogąc się oprzéć przemocy snu i znużenia.

ROZDZIAŁ XIII.

Illustrissimus.

Smaczny i spokojny był z razu sen naszego bohatera, lubo tylko siedzący i oparłszy głowę na stole zasypiał. Po niejakim czasie zaczęły mu się różne straszne mary uwijać po głowie: to był między zbójcami, którzy mu pieniądze wydrzéć usiłowali, to go zamykano w wieży za dowiedzione spólnictwo występku, to dzwonił w dzwon żałobny w kościele i widział zbliżający się pogrzeb. Nakoniec zdawało mu się, iż słyszy szczęk broni i krzyki wojskowych, że mu jakieś niebezpieczeństwo grozi, że zbrojny wojownik wpada na niego i chcąc go zabić, chwyta go za włosy.... Przerażony zrywa się ze snu, budzi się, powstaje, otwiera oczy i widzi w saméj istocie przed sobą ogromne wąsy, groźne spojrzenie i hełm na głowie, a u karku czuje silną rękę żołnierza, który go przebudził i na powitanie te groźne do niego słowa przemówił: — A tuś ptaszku!

Biedny nasz bohater nie wiedział wcale co się z nim dzieje, czy śpi jeszcze, czy się już obudził; otworzył usta i oczy szeroko, ale nic rozeznać i nic wyrzec nie mógł. Całe jego życie poprzednie znikło mu z pamięci, czuł tylko duszącą go rękę napastnika, przez stół po niego sięgającego, który nie zważając na wrażenie, jakie na nim czynił, z za stołu go na środek pokoju wyprowadził, i przedstawiając go dwom swoim kolegom, rzekł: — To ten, którego szukamy. — Nastąpiły urągania i przykre szyderstwa trzech żołnierzy, którzy wszyscy razem zaczęli szamotać Dodosińskiego. Na ostatku dobyli postronków i zabierali się już do związania nieszczęśliwego Faustynka, gdy ten mniemając, że się ostatnia chwila jego zbliża, padł na kolana i złożywszy ręce rzekł drżącym głosem: — Panowie żołnierze! Bóg świadkiem, że ja niewinny człowiek. Anim ja wam, ani nikomu innemu żadnéj krzywdy nie zrządził; źli ludzie tylko, lub złe duchy pastwią się nademną nieborakiem, a nikt się téż za mną nie ujmie, ani ulituje nademną.

— Będzie taki, który ci powié, coś ty winien — rzekł jeden z żołnierzy, gotując postronek do właściwego użycia — przed nim się sprawisz z tego, zkądeś wziął ten habit bernardyński, pod którym łotra skórę ukrywasz.

— A Bóg ci mi świadkiem, żem go nikomu nie wziął, tylko, że mi go ojcowie Bernardyni dali, bo w ich klasztorze byłem braciszkiem i na to niejednego świadka postawić mogę.

— Daléj-no, daléj, panie braciszku, dawaj twoje ramię, co ci na

nie nasze ogórki zawdziejemy — zawołał z urąganiem żołnierz porywając go za rękę. — Może ciebie ojcowie Bernardyni wysłali ślub dawać w lesie i służyć za wspólnika tym łotrom, których wczorajszéj nocy powiązanych dostawili do naszego grodu, i którzy zeznali, że był między nimi jeden za księdza przebrany, a podług ich opisu kubek w kubek taki, jak ty.

To rzekłszy, zaczęli się wszyscy trzéj żołnierze coraz niemiłosierniéj z Dodosińskim obchodzić, tak dalece, iż w rozpaczy zawołał: — Kto w Boga wierzy, niech mnie niewinnego człowieka ratuje!

Na te słowa przystąpiło do żołnierzy kilku chłopów, którzy się od początku z wyrazem niechęci całéj téj scenie przypatrywali, a jeden z nich, sołtys miejscowy, biorąc za ramię jednego z żołnierzy, rzekł: — Zwolna, panie żołnierz, zwolna! My nie damy tu zrobić krzywdy nikomu. Jeżeli wam ten człowiek podejrzany, to pójdźcie z nim wprzódy do pana, albo się rozprawcie przedemną, wójtem gromady.

— Patrzcie waszéj wódki! — zawołał żołnierz, odpychając chłopa. — My tu od starosty grodowego przysłani; przed nim tylko sprawiać się będziemy z naszego postępku.

— Słyszysz ty! nie popychaj tego gospodarza! — krzyknął podpiły wysoki parobek, stawając między sołtysem a żołnierzem — bo my cię tu wnet nauczymy gwizdać po kościele.

— Co wy tu macie za sprawę? — rzekł sołtys żwawo, przyskakując z innymi bliżéj jeszcze do żołnierzy. — Albo to tu królewszczyzna, albo duchowne dobra jakie, żebyście tu sobie bonowali? to wieś dziedziczna! My tu mamy pana i dziedzica, a za pomocą najprzód Boga, a potém pana, nie damy sobie, ani nikomu krzywdy zrobić na jego gruncie.

— Co ja tam dbam o was i o waszego pana — odparł najśmielszy z żołnierzy, a pochwyciwszy mocno Dodosińskiego za kark, zawołał na swoich kolegów: — Daléj, bierzcie go! i fora ze dwora z nim.

Lecz tak się nie stało, jak mówił; bo Dodosiński miał więcéj siły niż odwagi, a gdy poczuł, iż ma w chłopach plecy za sobą, rozparł się i tak mocny opór stawił, że go trzech z miejsca ruszyć nie mogło.

— Nie dajmy go! — zawołał sołtys, a łącząc uczynek do namowy, rzucił się z innymi chłopami na żołnierzy, i po niedługéj walce zmusił ich do puszczenia zdobyczy swojéj; a gdy się więcéj chłopstwa zbiérać zaczęło przed karczmą, ustąpili z placu, dopadli koni i uciekli. Chłopi wybiegli za nimi z krzykiem i odkazywaniem, a gdy ich już widać nie było, wrócili do izby karczemnéj, gdzie zastali Dodosińskiego w spokojnéj rozmowie z dziadem, który go poznał jako braciszka w kościele ojców Bernardynów, i którego świadectwo zupełną ufność wszystkich obecnych naszemu bohaterowi zjednało. Po wygranéj

wypadało weselić się i obchodzić tryumfy wystawieniem kilku kwart wódki, które Dodosiński, pomny na posiadane pieniądze fundował. Długo trwała pijatyka, do której przez przezorność nie należał, lecz odbierając ciągle od wszystkich dowody przychylności, i nawet uszanowania, miał sposobność poznania przytém osoby, która na dalszy los jego wielki wpływ miała.

W ciągu całéj poprzedzającéj sceny napaści i wyparcia żołnierzy, siedział w alkierzu jako obojętny świadek wysmukły szlachcic, kilkudziesiąt szparażkami ozdobiony, w wytartym popielatym kontusiku, z pod którego wyglądał wypłowiały żupan; przy boku wisiała szablina w czarnéj pochwie, z żelazną rękojeścią. Figura ta zajęta była pisaniem z podróżnego blaszanego kałamarzyka, na papierze z zanadrza wydobytym. Właśnie był skończył pisać, wytrząsnął pióro starannie, do puzderka schował, przejrzał raz jeszcze z upodobaniem pismo swoje, zasypał piaskiem z podłogi zebranym, i schowawszy je wraz ze wszystkiemi utensyliami piśmiennemi, zwrócił wtedy dopiéro uwagę na to, co się w szynkowéj izbie działo, gdy już wódka zagładzała pamięć poprzedniego wypadku, a spojrzawszy dla słońca pod rękę na goszczących, postanowił wyruszyć ku nim, aby spróbować, czy nie będzie mógł miéć jakiego udziału w hojnie fundowanym posiłku.

Wszyscy niemal chłopi byli w tym stanie słodkiego podchmielenia, który przychylne, przyjacielskie i uniżone uczucia wzbudza, i który się głupowatym uśmiechem, częstém ściskaniem kolan i zdejmowaniem czapek odznacza. Dodosiński, ów powód ich walki i dowód zwycięztwa, a nadewszystko hojnie częstujący przyjaciel, był głównym przedmiotem tych przychylności i tego uszanowania; a dziadek, który go tak skutecznie świadectwem swojém podparł, ciągle gadał i niezliczone przytaczał dowody tożsamości osoby Dodosińskiego i dawnéj z nim zażyłości swojéj, ażeby przez to należéć do kolei półkwaterkowych szklanek, które gęsto między zgromadzonymi obchodziły. Do tego towarzystwa zbliżał się z daleka nasz wysmukły szlachcic, przymuskując przygrube włosy i poprawiając pasa, a przystąpiwszy do nich, pozdrowił ich głosem: *Niech będzie pochwalony.* Na co wszyscy chłopi, przy lekkiém uchyleniu czapek i kiwnieniu ciężkiemi głowami, zwyczajnym sposobem odpowiedzieli.

Łatwo zawiązała się rozmowa przez pytanie o niewiadome niby sobie powody do utarczki, na które wszyscy razem odpowiadali; a pochwalenie i usprawiedliwienie prawnemi przyczynami całego postępku, zjednało panu assessorowi skrzynkowemu (*) (bo taki był urząd szlach-

(*) Assessor skrzynkowy był to niski urząd sądowy, odpowiadający dzisiejszemu woźnemu, którego jedyném zatrudnieniem było ściągać po skończonym trybunale grzywny od tych, którzy na nie skazani byli.

cica) względy wszystkich, i nadewszystko przypuszczenie do przyjacielskiéj kolei.

Dodosiński, ucieszony widokiem człowieka równego sobie stanu, podał mu rękę i rzekł do niego: — Witam was, panie bracie.

— Co? czy waszmość *nobilis?* — zapytał pan assessor.

— Ij gdzie tam, nie pobiłem tylkom się bronił — odpowiedział Dodosiński, źle zrozumiawszy zapytanie.

— Czy waszmość nie umiész po łacinie?

— A tóż co znowu! — zawołał zdziwiony Dodosiński. — I ten mi się będzie o łacinę pytał. Już to drugi raz od dnia wczorajszego chcą łaciny odemnie. — Nic nie umiem, nawet do mszy służyć nie umiem.

— A jakżeż to być może, kiedy nosisz tę suknię, będąc lub mając być księdzem.

— Księdzem? znowu księdzem? Nie, ja się już drugi raz złapać nie dam. Bodaj przepadł ten, co mnie nim chciał zrobić! Nie byłem, nie jestem, nie będę księdzem!

Na te wykrzykniki odstąpił parę kroków w tył pan assessor, i spojrzał zadziwiony na naszego bohatera i pomyślał sobie, że żołnierze wypędzeni słuszną podobno sprawę przegrali. Dodosiński zaś, przestraszony samą miną assessora, a bardziéj jeszcze uczynionemi sobie zapytaniami, postanowił uniknąć bliższéj z nim znajomości, i widząc już chłopów napiłych zupełnie, wynieść się z karczmy; czego jednakże bez zapłacenia fundowanego trunku uskutecznić nie mógł. Dla tego upatrzywszy moment, gdzie mniéj na niego zważano, poszedł do kąta i oglądając się trwożliwie, sięgnął po worek z pieniędzmi. Lecz nie wiedział co się w nim znajduje. I gdy go drżącemi rękami rozwiązywał, tak to niezgrabnie uczynił, iż kilkanaście sztuk złota na ziemię upadło. Zdziwiony i przerażony razem niespodzianym widokiem skarbu, którego wielkość zupełnie go odurzała, w największéj obawie, ażeby go nie spostrzeżono, i potém mu go nie wydarto; rzucił się na ziemię za upadłemi dukatami i obejrzał się ze strachem na obecnych, czy też przypadek jego uszedł ich uwagi? Żaden z chłopów nie widział tego, bo żaden nie był zdolny zważania czegokolwiek bądź. Lecz pan assessor, który nie spuszczał z oka Dodosińskiego, widział dobrze, co się stało, i mile zajęty dźwiękiem upadających dukatów, zastanowił się nad tém, jakaby to osoba pod postacią braciszka bernardyńskiego ukrytą być mogła? i ułożył sobie w głowie odgadnienie téj tajemnicy, nader dalekie od rzeczywistości. Mając tylko wybór do uczynienia między złodziejem a wielkim panem, wolał w nadziei zysku ostatnie przypuścić, i dlatego z susem poszanowania skoczył do Dodosińskiego i rzekł: — Illustrissime! jeżeli mogę być pomocnym....

— Nie, nie! — zawołał Dodosiński — przyciskając sobą dukaty. Trzymaj się waść z daleka; ja sobie sam pozbieram.

— Ja tylko zasłonię przed ludzkiemi oczami, bo to niebezpieczno, ażeby ta hołota złoto zobaczyła. Mnie illustrissimus zaufać może, jakem szlachcic i sługa uniżony.

— No dobrze, dobrze, tylko z daleka! — rzekł Dodosiński, zebrawszy pieniądze i podnosząc się z ziemi.—To moje pieniądze. Cóżby w tém mogło być niebezpiecznego pokazywać je ludziom? Ja i tak muszę niemi zapłacić za wódkę, którą dać kazałem.

— A to nie można. Oni nawet nie znają takich pieniędzy. Toby to w nich podejrzenie, a może i złe zamiary wzbudzić mogło. Illustrissimus niech pozwoli, to ja ex propriis tę małą kwotę do dalszego porachunku zastąpię.—To rzekłszy, wyprostował się z czynionych ukłonów pan assessor, szybko przerzucił czapkę w prawéj ręce trzymaną pod lewą pachę, poszedł na palcach do alkierza, gdzie się gościnny znajdował, z miną otuchy i tajemnicy pełną zaspokoił dług Dodosińskiego, i szybko do niego powrócił, donosząc mu z nizkim ukłonem, iż uskutecznił co przyrzekł.

— Dobrze to jest — rzekł Dodosiński — ale za cóżbym ja nie miał tego temi oto pieniędzmi zapłacić?

— Illustrissime — odpowiedział szlachcic, przystępując bliżéj z uszanowaniem do Dodosińskiego — nie wiem, jakie mogą być powody jaśnie wielmożnego pana do ukrywania się pod tym ubiorem, lecz po tém, co się już działo, wypada we wszystkiém postępować z największą ostrożnością. Illustrissimo nie może być tajno, że quasi-braciszek bernardyński pieniędzy, a zwłaszcza takich, miéć nie może.

— Ja ich téż tylko mam trochę — odpowiedział z obawą Dodosiński.

— Mnie w to nie wchodzić, ile ich illustrissimus miéć może przy sobie, ale z obowiązku braterstwa i dla dogodzenia chęci, jaką mam poświęcenia się usłudze znamienitéj osoby, którą w trudném położeniu postrzegam....

— Tak, tak, w trudném położeniu — przerwał szybko Dodosiński — i gdybyście to szczerze ze mną wychodzić chcieli, tobym zażądał waszéj pomocy.

— A, illustrissime! — zawołał szlachcic z niziuteńkim ukłonem. — Bóg mi świadkiem, że ja w najczystszéj intencyi chcę poświęcić moje usługi jego dostojnéj osobie, i uskarbić sobie jego wysoką łaskę, która dla mnie chudego pachołka tak wielce pożądaną być powinna. A więc — dodał przybliżając się z misterną miną do Dodosińskiego — w czémże najpierwéj mogę być użytecznym?....

— Najpierwéj-by mi potrzeba było innego ubioru — odpowiedział Dodosiński.

— Bez wątpienia. Bo w tym habicie niebezpieczną byłoby rzeczą okazać się na trakcie, gdzieby nas owi żołnierze napastować mogli.

— A toć to, to. Ale zkądżeby sukni dostać? Mnieby trzeba szlacheckiego ubioru.

— Na to łatwy sposób, illustrissime. Mam ja z sobą świąteczny kontusz i żupan, i za szczęśliwego się poczytam, jeżeli się niemi przysłużyć potrafię. Raczcie się przeto udać ze mną do stajni, tam przebiorę jaśnie wielmożnego pana, potém wyprowadzę tylnemi wrotami na drożynę, która na prawo wiedzie do wiatraka, tą postąpcie, illustrissime, parę staj aż do rozstajnych dróg, gdzie stoi Boża męka i wielka przy niéj gruszka; tam poczekajcie, illustrissime, na mnie, bo razem ztąd wyjeżdżać nie możemy, i gościnny nie musi wiedzieć o przemianie ubioru waszego.

Podczas całéj téj szybko udzielanéj instrukcyi, stał Dodosiński z otwartemi ustami przed szlachcicem i wlepiał w niego oczy strachu i podziwienia pełne. A gdy skończył, nie wiedział jeszcze, co z sobą ma począć i czy ma iść za radą, która zbyt była długa, ażeby łatwą do wykonania być miała. Lecz szlachcic odwrócił się od niego dla niepoznaki, i zbliżając się do gościnnego, rzekł:

— Wszak prawda, panie gościnny, że dobrodziéj może śmiało peregrynować do miasta, a bliżéj mu będzie ścieżką przez łąki?

— A tak ci, tak — odpowiedział gościnny. — Któżby mu już teraz miał co mówić?

— A więc pokażę wam drogę. Pójdźcie ze mną — rzekł szlachcic, obracając się do Dodosińskiego i dając mu znak do oddalenia się. On zaś wtedy dopiéro wyszedł, gdy go wszyscy z kolei żegnać zaczęli. Assessor przebrał wkrótce Faustynka, wyprowadził go za bramę, i pokazawszy mu drogę, którą miał postępować, wrócił sam do izby dla niepoznaki. Z bijącém sercem ruszył naprzód nasz bohater, i oglądając się ustawicznie za siebie, zmierzał szybko wskazaną sobie drogą na oznaczone miejsce.

Pogodny wieczór sprowadził tę spokojną ciszę, przy któréj nieledwie każde oddychanie własne słyszéć można. Po upale dziennym nastał chłód przyjemny, wszystko tchnęło odświeżeniem i pewną lubością, któréj tak chyba obojętne serce, jakie nasz bohater posiadał, czuć nie umié. Wszelakoż gdy zasiadł pod krzyżem sobie wskazanym, i chwilę pewną na oczekiwaniu strawił, odebrał niejakie przyjemne wrażenie od otaczających go przedmiotów i westchnął sobie głęboko, bo mu rodzinna zagroda na myśli stanęła; zwłaszcza gdy skrzypienie żurawia od studni w poblizkiéj wiosce panującą cichość przerwało.

— Ach! czemuż-to ja nie jestem panem — pomyślał sobie—ażebym mógł dostać się do swoich! Bo gdybym był panem, tobym tylko rozkazał się zawieźć, a nie miałbym kłopotu myśléć o tém, co się ze mną stanie; tylko płaciłbym i rozkazywał.

— Płacił — powtórzył na pół głośno i przerwał swoje marzenia, bo myśl wielka zajaśniała w jego umyśle.... — O wszakże ja mam czém płacić! — rzekł daléj — sięgnął szybko po worek, starannie przy zmianie ubioru schowany, obejrzał się z trwogą na wszystkie strony i wysypał powoli na dłoń kilkadziesiąt dukatów, które się w nim znajdowały. Uśmiechnął się słodko do swego skarbu, którego wielkości dobrze nie oceniał — i zawołał w uniesieniu: — Zadosyć jestem panem!—Lecz drgnął ze strachu, gdy szmer jakiś usłyszał, wsunął nazad do sakiewki pieniądze i zadrżał z powodu czarnéj myśli, która tak szybko po pierwszém uradowaniu głowę jego zajęła.

— A czy mnie téż ten szlachcic nie chce zabić i z pieniędzy złupić? Czy mnie gdzie znowu do lasu nie zawiezie między zbójców?....—Tak myślał sobie, mocny dreszcz go przeszedł i nowa trwoga opanowała umysł. W zupełnéj niepewności, co ma przedsięwziąść, chciał już się zabierać do opuszczenia miejsca, na którém siedział z polecenia szlachcica, gdy mu turkot wózka przybycie jego zwiastował.

Nie zaraz zerwał się z miejsca Dodosiński, bo nie wiedział jeszcze, czy ma go przyjąć za towarzysza dalszéj podróży, czy się téż od niego odczepić. Lecz spojrzawszy na niego, zrobił prosty a dobry wniosek, że sam na sam z nim będąc, nie miał się czego obawiać, i że on raczéj nad nim, jako silniejszy, mógł miéć przewagę. Obejrzawszy się więc raz jeszcze na około, rzekł śmiało do szlachcica, gdy ten stanąwszy przed nim z wózka zsiadał, i do zajęcia miejsca zwyczajnemi oznakami go wezwał:

— Ale słuchajcie-no, panie bracie, gdzież wy to ze mną jechać myślicie?

— Gdzie tylko jaśnie wielmożny pan rozkaże — odpowiedział szlachcic.

— Gdzie ja rozkażę? to co innego; tak, to zgoda. No, to wieźcie mnie do Sochaczewa, a ja wam dobrze zapłacę, bo mam czém.

— A, illustrissime, niepodobna! Ja anim słyszał o tém mieście, to nie musi być w naszém województwie.

— A co mnie tam do tego, czy w waszém, czy nie w waszém, dość, że ja tam chcę być, a kiedy chcę i płacę, to musicie mnie zawieźć.

— Ja tego tym wózkiem i tym koniem dokazać nie potrafię.

Odwiozę was tylko, illustrissime, do najbliższego miasta, zkąd będziecie mogli innym sposobem podróż tę podjąć.

Tymczasem usłyszano jakiś hałas z daleka. Szlachcic przybrał minę trwogi, obejrzał się, i potém milczący dał znak Dodosińskiemu, ażeby wsiadł na wózek. Co téż tamten wykonał, wyrzekłszy tylko wprzódy: — Ha! i cóż robić? Wieźcie mnie gdzie chcecie, aby nie do lasu.

— Nie bójcie się niczego i zaufajcie memu szlacheckiemu słowu, illustrissime — rzekł szlachcic, siadając na przodek woza; zaciął konia i ruszył szybko po twardéj drodze, tak że się turkot kół po uciszonéj okolicy rozlegał.

ROZDZIAŁ XIV.

Podstolina chce zemsty.

Zostawiliśmy naszego bohatera na dobréj drodze. Niechże sobie nią jedzie, gdzie go nowy towarzysz i dalsze losy poprowadzą. My zaś wróćmy się do osób dobrze nam znanych, o których dawno nic już nie wspominaliśmy, i aby lepiéj całą osnowę zdarzeń pojąć, cofnijmy się nawet o kilka miesięcy nazad.

Północno-zachodni wiatr dął z całéj siły, że się w oknach szyby w ołów oprawne trzęsły; huczał niekiedy, jakby chciał grozić zawaleniem budowy; świstał rozbijając się o załamki starego zamku, i niósł ze sobą gęsty śnieg, który zaległ w zamieciach, na podwórzu i na wystawach przed oknami mieszkania. Chorążyna siedziała w dużém krześle, karmazynowym adamaszkiem wybitém, i trzymając w ręku koronkę, pocichu odmawiała pacierze. Podstolina siedziała bliżéj komina i w milczeniu patrzała na iskry, które ustawicznie przez nią drażniony ogień, jedne za drugiemi, do wyższych ciemnic komina wysełał. Cała jéj twarz oznaczała wewnętrzne wzruszenie; czasem spuszczała trzymane cęgi bez poruszenia, poglądała spokojnie na ogień, a łagodny uśmiech, który na ustach osiadł, słodkich marzeń był znamieniem. Lecz często zrywała się do cęgów, uderzała niemi silnie w rozżarzone głownie, tak iż trzeszczących iskier pęki szybko się w górę wzbijały. W twarzy jéj byłbyś wówczas wyczytał niechęć, którą przewidywanie jakiéjś przeszkody wzbudzało. Te jéj częste napaści na ogień przerywały pobożne szeptanie matki, która

za każdym niemal razem wynurzała obawę swoję, aby się sadze w kominie nie zapaliły.

Po skończonych modlitwach powstała chorążyna, schowała do szafki koronkę, a zbliżywszy się do okna, wyjrzała na zamroczoną już okolicę i rzekła: — No, kto też tam teraz jest w podróży, tego niech Pan Bóg od wszelkiego przypadku chroni!

— Ktoby się też na czas taki chciał ruszać z domu? — odpowiedziała z niechcenia podstolina.

— Moje dziecko — rzekła matka — niejeden choć nie chce, to musi. Dobrze jest dla takiego życzliwe nieść modły, bo kiedyżto bliźniemu prośba nasza o łaskę boską potrzebną nie jest?

Gdy tak mówiła chorążyna, usłyszano hałas przed domem. Podstolina zerwała się szybko, pobiegła do okna i rzekła: — Wywołałyśmy wilka z lasu, otóż i jakiś podróżny stanął przed domem i to jeszcze konny do tego. To mówiąc, stała przy oknie, przechylała się na obie strony, aby rozpoznać podróżnego, czego przy panującym już pomroku dokazać nie mogła. A gdy upłynęła długa chwila, nim się ktoś z doniesieniem o przybyciu podróżnego okazał, odwróciła się zniecierpliwiona od okna, poszła szybko do rogu ściany i mocno pociągnęła za sznur od dzwonka, aby który z dworskich przyszedł. Po nowém i żywém zadzwonieniu, poznali dworscy w przedpokoju niecierpliwy rozkaz podstoliny; dlatego dwóch się razem zerwało ze szlabanów, na których spali, i jeden przed drugim pośpieszył do pokoju, ale żaden nie był w stanie odpowiedzieć na natarczywe zapytanie pani, kto konno przyjechał? bo podróżny jeszcze się w sieni ze śniegu otrzepywał, gdy dzwonek dworskich w przedpokoju pobudził. Zgromiony służący miał właśnie wychodzić, aby ciekawość pani zaspokoić, gdy się we drzwiach spotkał z panem subdelegatem, który przymuskując czupryny wszedł na palcach do pokoju, aby z ważnéj missyi swojéj paniom zdać sprawę.

Żywo spojrzała na wchodzącego podstolina, rumieniec osiadł na jéj twarzy, na któréj się niecierpliwość ciekawości malowała, i chciałaby była jedném wejrzeniem wyczerpnąć z przybyłego wszystko to, co jéj miał donieść. Lecz on dopełniał tymczasem z flegmą wszystkich formalności uszanowania, jakie swym paniom był winien. Ukłonił się najprzód przy drzwiach, wyjął potém z pod lewéj pachy czapkę i schylając się nizko, do nóg chorążyny ją przyłożył, mrucząc przytém zwyczajne uniżoności formuły. Następnie podstolinie podobnyż pokłon oddał, na który ona znakiem niecierpliwości odpowiedziała, mówiąc: — No i cóż tam? jak-że się skończyło? — Lecz subdelegat wrócił z flegmą do drzwi, stanął w miejscu przez uszanowanie wskazaném, przełożył czapę zwolna pod pachę, i rzekł: — Ale też-to czas dzisiaj, co psa trudno na dwór wypędzić.

— Musiałeś aści przeziębnąć — mówiła z troskliwością chorążyna — idź do piwniczego, niech ci da lampkę miodu, cobyś się rozgrzał, a potém przyjdziesz powiedzieć, jak tam tyło.

Skłonił się subdelegat i skwapliwie wybierał się z pokoju dopełnić polecenia chorążyny; lecz podstolina zatrzymała go szybko mówiąc: — Ale co znowu? Kto to słyszał, żeby miał wprzódy o sobie, niż o nas pamiętać! No i cóż? jakże tam było? Gadajże aści prędko!

— Ha! i cóż mam powiedzieć? Nie mam się z czém śpieszyć. Dosyć będzie czasu dowiedzieć się i późniéj, że się nic nie udało.

— Jak-to nie udało? — rzekła z mocą podstolina, i wyraz gniewu zastąpił miejsce niecierpliwości, która się dawniéj na jéj twarzy malowała. — Czy jeszcze nie po ślubie?

— A nie, bo nie ma pana młodego.

— Co? Dodosiński nie przyjechał na wesele?

— Przyjechał, ale go pan starościc kazał porwać i wywieźć gdzieś, tak iż nikt nie wié, co się z nim stało.

Uśmiech złości osiadł na twarzy podstoliny, rzuciła się w krzesło i oparłszy niby od niechcenia głowę o rękę, patrzała jak osłupiona na ogień, i subdelegatowi szczegóły całego wypadku opowiadać kazała; a wysłuchawszy je bez szczególnéj uwagi, rzekła do niego, gdy skończył: — Idź waść się rozgrzać i posilić miodem.

— No proszę, ktoby się był spodział! — rzekła chorążyna, gdy wyszedł. — Ów młodzieniec skromny i cichy dopuścił się takiéj wiolencyi! Co się też tam z niebogą Anielą dzieje?

— Co się ma dziać? — odpowiedziała podstolina ze złośliwym uśmiechem—rada temu jak najmocniéj. — To rzekłszy, zamyśliła się nieco, przygryzając wargi, a potém mówiła dalej: — Spodziewam się, że zostanie przywołaną nazad do naszego dworu.... Trzeba nawet niebawnie po nią posłać, boby gotowa się naigrawać z nas, i z tego, że nam się sztuka nie udała; gotowa się chełpić z tego, że pierwszeństwo... Bo jak się dowié, że starościc go kazał porwać, będzie rozumiała, że to dla niéj.... a może potém.... bo któż to wié?... toby był nie pierwszy przykład takiego szaleństwa.

— Ale moja Krysiu — przerwała chorążyna z flegmą — gdyby kto obcy słyszał, coś ty dopiéro bez najmniejszego związku mówiła, toby mógł sądzić doprawdy, że tobą jeszcze zazdrość powoduje.

— Zazdrość! — powtórzyła zrywając się ze stołka podstolina—zazdrość! a o kogo? o tego niedowarzonego młokosa? Jabym miała go zazdrościć? a komu jeszcze? dwórce służącéj...

— Ja nie mówię tego — odpowiedziała spokojnie chorążyna — boby téż to było nadto; trzebaćby się chyba zaślepić w nim zupełnie, żeby o nim jeszcze nie zapomnieć. Toć on nigdy szczerze nie myślał

o tobie. Z początku szedł za wolą ojca i był obojętny, potém stronił od naszego domu, tu i owdzie myślał, a nigdy o tobie szczerze.

— Dawniéj często jednak bywał tutaj — przerwała podstolina, patrząc w zamyśleniu na ogień.

— Tak, bywał — odpowiedziała chorążyna — ale póki Aniela tu była. Dobra dziewczyna, onać temu niewinna, że mu się więcéj od ciebie, moja Krysiu, podobała.

— Więcéj odemnie! — powtórzyła na pół cicho podstolina i zaczęła szybko chodzić po pokoju; lecz za drugim obrotem, nic więcéj nie mówiąc, wyszła do swojéj sypialnéj komnaty, tam rzuciła się na łóżko i rzewnie płakać zaczęła.

Troskliwa matka, widząc jéj wzruszenie, zadzwoniła na służące i znajoméj nam już pannie Agacie ze światłem za nią iść kazała. Poufała powiernica, nie domyślając się niczego, jak najgorzéj przyjętą została, gdy ze świecą do sypialnego pokoju pani swojéj weszła. Rzewne wzruszenie kryje się czasem ze łzami swemi, ażeby większego uniknąć rozżalenia, lub innym własną boleścią nie dokuczyć; lecz łzy, które złość wyciska, nigdy nie cierpią świadków, tak jak postępki, które sumienie obciążają. Na widok wchodzącéj Agaty ze światłem, zerwała się podstolina z łóżka, otarła nieznacznie oczy i zawołała z gniewem: — Kto wołał? kto kazał? czego przychodzić, kiedym nie dzwoniła?... Iść precz!... Nie! zostać! — Te i tym podobne wyrazy zmięszały Agatę; chciała mówić, nakazano jéj milczenie, chciała błagać i przepraszać panią, lecz żadnéj nie odbierała odpowiedzi, prócz wskazania na migi, że ma łóżko posłać, rozebrać panią i odejść.

Łatwo się domyśléć, że noc cała nie była spokojniejszą od chwili dopiéro opisanéj. Obrażona miłość własna i chęć pomszczenia się urazy nie zasypiają, lecz dzielniéj czuwają od pobudek do czynów pobłażania i dobroci. Bezsenną noc strawiła podstolina na rozmyślaniu, jakimby sposobem pomścić się doznanéj krzywdy, a chęć rozpoczęcia jak najprędzéj najpierwszych kroków, nieznośną czyniła długość téj nocy, która powziętym zamiarom na przeszkodzie była.

Skoro tylko odgłos siekiery stróżów, z rana do rąbania drzewa przybyłych, na dziedzińcu rozlegać się zaczął, zerwała się niecierpliwa podstolina z łóżka, pobudziła służące i dworskich, a siadłszy wkrótce przed gotowalnią do trefienia włosów, rozkazała przywołać do siebie subdelegata. Nawykły ściśle wypełniać rozkazy pani, posilił on się był zeszłego wieczora tak sowicie miodem, iż go się nie zaraz dobudzić mogli. Po długiém szamotaniu i wołaniu, doprowadzono go przecież do tego, że oczy otworzył, i z przerażeniem spojrzał na tego, który ze świecą do niego przyszedł, tém bardziéj, że go nigdy tak rano podstolina do usług nie powoływała. Na pół jeszcze rozmarzony, po-

śpieszył jednakże do niéj, aby odebrać rozkaz, którego się nie domyślał, bo jeszcze wcale do myślenia nie był zdolnym.

Gdy wszedł do pokoju, obróciła się szybko podstolina z przed gotowalni i rzekła:

— Pojedziesz waść natychmiast do Grodu zrobić manifest w mojém imieniu.

— Dobrze, jaśnie wielmożna pani — odpowiedział, i zakręcił się chcąc wychodzić. Bo usłyszane wyrazy żadnego jeszcze wyobrażenia w odurzonym umyśle zostawić nie mogły.

— Gdzież waść idziesz? — zawołała z gniewem podstolina — a czy wiész, o co rzecz idzie? Czekać i uważać dobrze!

Subdelegat stanął, otrząsnął się i przetarł oczy, jakby się chciał dobrze obudzić, chrząknął dwa razy i przestępując z nogi na nogę, czekał na powtórzenie rozkazów.

— Pojedziesz waść, mówię, do Grodu, zapiszesz manifest przeciwko staroście i starościcowi, oskarżysz ich o gwałt i najazd, a mianowicie o porwanie dworzanina mego Dodosińskiego, i żądać będziesz, ażeby ex fundo jeden i drugi odpowiadał. Słyszałeś waść i zrozumiałeś waść?... Czegoż stoisz jeszcze?

— Ale bo — odpowiedział wahając się subdelegat — nie zdaje mi się, ażeby...

— Co to jest? *Nie zdaje mi się.* Ja chcę, i tak być musi.

— Nic łatwiejszego, jak zapisać manifest, ale prawa nasze...

— Co prawa? Ja się téż właśnie będę pytała o prawa, kiedy idzie o poszukiwanie obrazy mnie zrobionéj? Żeby mnie miało kosztować nie wiedzieć co, ja tak chcę i tak być musi.

— Ale, jaśnie wielmożna pani, na dawane czyny trzeba mieć dowody.

— A jakichże dowodów innych potrzeba nad te, że Dodosińskiego z przed kościoła porwano; że to, jak waść mówisz i ja nie wątpię bynajmniéj, starościca jest sprawka, i że nakoniec ludzie jego z nim pojechali?

— To wszystko nie jest jeszcze dowodem prawnym. Trzebaby się najprzód dowiedzieć, co się z Dodosińskim stało, i zapobiedz temu, aby nie powrócił; trzebaby potém mieć świadków, jako został porwany; trzebaby...

— A co za ciasna głowa, albo co za głupie prawo! — zawołała zrywając się z miejsca podstolina.—Ja jestem skrzywdzona i oszukana; najdotkliwszéj doznałam obrazy; chcę zemsty, pomszczoną być muszę, i abym osiągnęła ten cel, od którego spokojność moja zawisła, nie będę szczędzić ani trudu, ani pieniędzy...

Tu się skłonił nizko subdelegat, z wyrazem słodkiéj nadziei, którą w nim wspomnienie na zyskać się mogące pieniądze wzbudziło.

— Nie kłaniaj się waść napróżno — mówiła daléj podstolina — ale powiedz, czy czujesz się na siłach wykonać przedsięwzięcie moje? czy będziesz miał dowody na poparcie sprawy, jaką wytoczyć pragnę? Wszak świadków i dowody znaléźć można, jeżeli ich zabraknie. Mów, a prędko, bo inaczéj gdzie indziéj się obejrzę za zdatniejszym sługą.

— Jeszczem nigdy nie zawiódł oczekiwania jaśnie wielmożnéj pani — odpowiedział z pokorą subdelegat — i teraz wszelkiéj dołożę usilności, ażebym, jeżeli nie natychmiast, to z czasem rozkazom jaśnie wielmożnéj pani zadosyć uczynił. Przez skargi, manifesta i proste prawne poszukiwania niczego nie dokażę. Lecz inna jest droga dojścia do zamierzonéj mety. Trzeba działać skrycie, przekupić dworzan starosty i tak rzeczy przygotować, aby wtedy dopiéro cios zadać, kiedy będziemy pewni, że trafi tam, gdzie należy. Upraszam przeto jaśnie wielmożną panią o ufność, o czas i zupełne zatajenie naszych zamiarów, a ręczę za sukces pomyślny.

Na to oświadczenie wróciła się podstolina do gotowalni i sięgnęła po przygotowane pieniądze, które bez rachuby w sporym woreczku do rąk plenipotenta swego oddała. Brzęk i ciężar pieniędzy w dłoni usunął wszelkie trudności i zagrzał gorliwie subdelegata. Bo któż kiedy wątpił o przegranéj, gdy pewną stawkę na zgranie i przedajność ludzi stawiał?

ROZDZIAŁ XV.

Cyganka.

Znowu, bo pod zasłoną tajemnicy, knuły się spiski i gotowały zamachy przeciwko nieszczęśliwemu Wacławowi; tak iż kilka miesięcy upłynęło, a żadnych jeszcze skutków działań subdelegata nie widziano.

Nakoniec uzyskał on przecież ufność pana porucznika, który należał do porwania Dodosińskiego, a teraz dla redukcyi dworu starosty, z powodu zmniejszających się coraz dochodów z domu jego oddalony, gdzie indziéj fortuny tentować był gotów. Pieniądze podstoliny skłoniły go łatwo do podjęcia się roli świadka, któregoby zeznanie zarzut gwałtu publicznego na osobie Dodosińskiego dokonanego poprzéć mogło. Tymczasem zaś nie wydawała się podstolina bynajmniéj z zamiarami i z niechęcią swoją; owszem, nietylko że uprzejmą była dla Wacława i ojca jego, jeżeli ich gdzie w sąsiedztwie spotkała, lecz nawet z gościnną grzecznością przyjmowała ich w domu swoim. To zręczne ukrywanie zgubnych zamiarów, pod powabną nawet powierzchowno-

ścią, ten miało skutek, że się zagrożony Wacław niczego nie domyślał, i że podstolina sama, tak z powodu zwłoki w dokonaniu zamiaru doznanéj, jako i dla częstego widywania się z Wacławem, w swojéj chęci zemsty stygnąć zaczynała.

Nie zmienił był wprawdzie Wacław swoich uczuć względem niéj i w jednakowéj zawsze trwał obojętności, lecz częste widywanie się, dało powód do większéj zażyłości, która oddala wymuszenie z obcowania, i pozór nawet pewnéj życzliwości nadaje sposobowi obchodzenia się z obojętną osobą. Przytém pogorszał się coraz bardziéj stan interesów starosty, proces z rachunku opieki z podstoliną przegrany, ostateczne, słowem, okoliczności zaczynały go już skłaniać do rozpaczającego kroku. Do tego wszystkiego i to jeszcze dodać należy do powodów zmniejszonéj niechęci podstoliny ku Wacławowi, że pilnie unikał widywania się z ulubioną przez siebie Anielą, która po niedawno nastąpionéj śmierci matki, przy ojcu mieszkała: bądź to, aby ją samą od potwarzy zasłonić, bądź téż, aby oddalić od siebie podejrzenie, które już gniew ojca na niego było ściągnęło. Te dwie szlachetne pobudki tajenia uczuć, któremi dla Anieli był przejęty, truły spokojność jego, tém bardziéj że różnica urodzenia, majątku, obok potrzeby poprawienia swego losu przez ożenienie, żadnych mu pomyślnych widoków na przyszłość nie zostawiały. Lecz nadzwyczajne zdarzenie zmieniło od razu stosunki tych trzech osób, i wszystkie, każda w swoim zawodzie, zdjęły zasłonę, którą uczucia i zamiary swoje pokrywały.

Imieniny podstoliny zawsze uroczyście przez matkę jéj obchodzone były. Liczne sąsiedztwo zjeżdżało się wówczas na tak zwaną *galę*, którą z największą na owe czasy okazałością wyprawiano. W tym dniu nie było miejsca dosyć we dworze, zwłaszcza do pomieszczania gości przy obiedzie; dlatego zastawiano stoły pod wielkim namiotem w ogrodzie, niedaleko za dworem rozpiętym. Już wszyscy koleją starszeństwa i urzędów zajęli miejsca u stołów, a gęsto za niemi rozstawieni dworscy oganiali ich wielkiemi lipowemi gałęziami z rojących się much i groźnych os, które natarczywie na potrawy nacierały, a najbardziéj cyfry z lodowatego cukru obległy. Muzyka grzmiała w jednym rogu namiotu tak, że sąsiad mowy sąsiada rozumiéć nie mógł, póki za nastąpieniem wiwatowych kielichów za zdrowie solenizantki, życzliwie pijących okrzyki, lub dłuższe nieco perory zrazu przerwy pewnéj w muzyce nie uczyniły, a w końcu zupełnie jéj nie zagłuszyły. Przy samym końcu obiadu, gdy nastała krótka chwila uciszenia się z powodu, że starosta podchmielony, z długim wstępem po raz trzeci zdrowie podstoliny wnosił; usłyszano za namiotem odgłos gęśli i śpiewy, które powszechną zwróciły uwagę. — To cygany! — zawołał jeden z obecnych. — Gotowa dla dam rozrywka — rzekł drugi — będą im mogli

przyszłe szczęście wróżyć. — Na te słowa ruszyła się młodszych gości drużyna, a za nią damy i reszta goszczących, bo większa ich część już była znudzona długiém siedzeniem.

Chciwa zysku brudna rzesza przerwała piskliwe odgłosy i zbliżyła się pokornie do wyszłych z namiotu gości: wróżki naprzód, posuwając się do rąk dam, aby z krzyżowań linij ręcznych zwykłe wnioski o przyszłości czynić. Jedna z nich przypatrywała się pilnie młodym panom, każdego śledczém zmierzyła okiem, od jednego do drugiego przechodząc, jak gdyby między nimi znajomego szukała. Na ostatek, nie mogąc rozpoznać szukanéj osoby, zbliżyła się do jednego z dworskich, ciekawie im się przypatrujących, i zapytawszy go się o coś pocichu, poszła potém do Wacława, na którego on palcem wskazał, i rzekła:

— Paniczku, kochany paniczku, pozwólcie, ażebym wam przyszłość waszę przepowiedziała; dajcie mi rękę.

— Daj mi pokój, stara — odparł Wacław, odsuwając się od niéj. — Jam nie ciekaw mojéj przyszłości, a tém bardziéj twoich bredni.

— Nie żałuj, paniczku, grosza dla ubogiéj, nie skąp jéj na chwilę ręki twojéj, nie będziesz tego żałował; mam ci co ważnego powiedzieć.

— Ty mnie? — zapytał z uśmiechem szyderskim Wacław.—A zkądże mnie znasz? wszakżeś mojéj ręki jeszcze nie widziała.

— Znam i nie znam — odpowiedziała cyganka — i mówię ci, paniczku, nie pogardzaj mną, bo ci mam co ważnego powiedzieć.

Znudzony tém natręctwem Wacław dobył pieniędzy i dał jéj, oddalając się szybko. Lecz cyganka pobiegła za nim, mówiąc:

— Bóg ci zapłać! paniczku, ale się nie odwracajcie ode mnie, bo ja mam do was zlecenie.

— Zlecenie! — zawołał, zatrzymując się zdziwiony Wacław — a od kogo?

— Nie każdego my znać możemy, który z nami pomówi, lecz każdemu powinniśmy usłużyć, kto nas posili, a przytém o jaką drobną usługę poprosi. Z miejsca na miejsce przechodząc, niejedno słyszéć i widziéć możemy, niejedno powiedziéć, co nam mówić polecono.

— No gadajże, cóż takiego? — zawołał zniecierpliwiony Wacław.

— O milę ztąd nocowaliśmy dzisiaj, jak zwykle, w lesie pod gołém niebem. Tam zasłabło nam jedno z naszych dziatek; trzeba było dla niego miodu, a wieś była daleko, tylko jedna szlachecka zagroda w blizkości. — Pójdę tam — pomyślałam sobie — może mi litościwego nie odmówią wsparcia; wzięłam na ręce cierpiącą dziecinę i poszłam. Aż tu przed bramą ogromny pies wypadł do mnie, żem się o siebie i o robaczka mego przelękła. Ale zaraz wybiegła ze dworku śliczna dziewczyna, jak anioł dobra, bo mnie od niebezpieczeństwa zasłoniła i żebrany dała mi zasiłek. Niech jéj Pan Bóg za to odpłaci! A kiedym siedząc przed dworem płacz dzieciny tuliła, mile ze mną rozma-

wiać zaczęła i naraiła mi, ażebyśmy tutaj dziś poszli, bo wiele tam będzie gości, mówiła, iż nie jedną potraficie zebrać jałmużnę. Potém się zamyśliła głęboko i nie słyszała, com do niéj mówiła; zapłakała nawet, paniczku, aż mi się jéj żal zrobiło, a potém rzekła: — Matko, jak tam pójdziecie, uważajcie tam dobrze pana jednego. Tu was, paniczyku, opisała od stóp do głów i wasze nazwisko powiedziała, a potém dodała: — Powiedzcie mu, matko, że mu niebezpieczeństwo grozi; powiedzcie mu to, ale po cichu, i proście go, ażeby wtenczas, gdy będzie jechał do domu, zboczył do owéj wsi z kościołem, co ją przed sobą widzicie, przed wieczorem, gdy dzwonią na pacierze. Niech przybędzie na cmentarz, a tam gdzie świeży grób usypany, dowié się wszystkiego.— Zamilkła i znowu łzami się zalała. Ach, paniczku! posłuchajcie jéj napomnienia, bo to jak anioł ładna i dobra dziewczyna.

To rzekła i odwróciła się żywo ku damom w większéj liczbie zgromadzonym, aby téj i owéj fortunę i męża za lichy datek wywróżyć. Lecz Wacław stał jak wryty w miejscu, rzucając wzrok ponury przed siebie, i nie wiedząc tego, na co zdawał się poglądać. Byłbyś wyczytał na jego twarzy na przemian wyraz szlachetnéj pogardy zagrożonego niebezpieczeństwa i tęsknego wdzięczności uczucia ku téj, która mu ostrzeżenie tak niespodzianym sposobem przesłała. Po chwili namysłu zwrócił oko na chylące się ku zachodowi słońce, a nie zważając wcale na to, co go otaczało, szybkim krokiem naprzód postąpił i z ogrodu wyszedł.

Podstolina zaś, która wszelkie poruszenia Wacława okiem zazdrości śledziła, gubiła się w domysłach nad przedmiotem rozmowy jego z cyganką, zwłaszcza gdy spostrzegła jego wzruszenie i w końcu oddalenie się z pomiędzy goszczących. Ciekawość i niespokojność przemogły nad wszelkiemi innemi względami; opuściła nagle damy cygankami zajęte i pośpieszywszy do dworu, dała rozkaz śledzenia kroków Wacława. Potém wróciła mocno wzruszona do gości, przed któremi przez resztę dnia pomięszania i wewnętrznéj walki ukryć nie mogła.

Niedługo ujrzano wyjeżdżającego ze stajni jeźdźca, którego wysmukła długość, wyciągniona szyja i nachylenie naprzód całego ciała, jakby chciał własnego konia wyścignąć, znanego nam subdelegata wydawały. Napróżno oganiał się ogonem koń jego przed licznemi plagami, które na oba boki odbierał, milczący jeździec pędził, co siły starczyć mogło, za tumanem kurzu, w którym chciwém okiem szybciéj jeszcze przed sobą pędzącego jeźdźca chciał rozeznać. Długo tak gonił za nim, wstrzymując wszakże konia za każdym razem, gdy w rozproszonym kurzu choć zdala gonionego ujrzał. Nakoniec stanął, bo tamten wpadł już do wsi i drogą jechał ku kościołowi, na górze na boku wsi położonemu, a jemu nie wypadało śpieszyć za nim otwartą

drogą. Dlatego zsiadł z konia przed karczmą, wprowadził go do stajni, kazał mu zadać siana, a sam niebawem po za płotami wiejskich ogrodów, bliższą ścieżką, do tego samego miejsca pośpieszył.

Mur otaczał kościół i cmentarz; w jednym rogu stała kostnica, a nad nią pochylony stary krzew jałowcu, który od dołu całą jedną jéj ścianę zasłaniał. Poglądając ostrożnie przez mur, spostrzegł subdelegat coś bielącego się w zapadłym już mroku, niezbyt daleko od kostnicy; przelazł przez upadłą już część muru i stanął za chroniącym go jałowcem. Bieląca się postać klęczała na grobie świeżą murawą pokrytym, a na nim siedział starzec siwą głowę na rękach wspierający. Niedługo usłyszano tentent konia, szczęk szabli przy zsiadaniu, otrząśnienie się pod siodłem spienionego rumaka. Niewiasta powstała, a starzec podniósł głowy do góry. Oboje zwrócili oczy ku furtce cmentarza, od któréj się ku nim wkrótce Wacław zbliżył, i podawszy obojgu ręce, rzekł:

— Bóg z wami, kochani dobrzy ludzie. Przybywam ku wam więcéj, aby was powitać i zaspokoić, jak aby ostrzeżenia o grożącém mi niebezpieczeństwie usłyszéć. Dobrze się sprawiła stara cyganka, a jam niedługo myślał, od kogo przyjacielska przychodziła przestroga.

— Panie starościcu — odpowiedział starzec — dzięki wam za wasze pozdrowienie. Przez nas zapewne szczera ku wam przychylność przemawia; ale wy, panie, czyż możecie sobie powiedzieć, żeście się szczerością nam wypłacili?

— Ojcze!—przerwała dziewica — zapomnijmy urazy, a ostrzeżmy pana, aby rychło uszedł zagrożeniu.

— Urazy! — zawołał Wacław z żalem — Ja wasbym miał obrazić? Ach! mówcie, czémże przecie?

— Drogie są chwile twoje, panie — rzekła dziewica. — Śpieszysz widzę do domu, i daruj, jeżeliśmy się poważyli prosić cię, abyś panie, stanął na chwilę u tego grobu, który codziennie nawiedzamy, gdy na *Anioł Pański* dzwonią. Nie chcieliśmy, abyś zbaczał z drogi do naszego lichego domu; nie przystoi dla ciebie, panie, ta uboga chata.

— Bodajbyście, panie starościcu, nigdy do niéj nie byli wstąpili! — dodał z westchnieniem ojciec.

— Ojcze, kochany ojcze — przerwała córka—dajcie pokój temu, zapomnijcie o wszystkiém!

— Nie — rzekł z mocą Wacław — mówcie śmiało, wynurzcie wasze żale! powiedzcie, w czém wam przewiniłem?

— Co, panie starościcu? — odpowiedział patrząc surowo na Wacława starzec — czyż wam sumienie nie wyrzuca tego, żeście niepokój wnieśli do ubogiego domu naszego? żeście nie dozwolili, aby dziś w Bogu spoczywająca matka pobłogosławiła córce swojéj na nowém gospodarstwie, i ojcu podobnéj nie dacie się doczekać pociechy — że-

ście na złe języki niewinną dziewczynę wystawili?... Dni kilka temu dowiedziałem się dopiéro, kto narzeczonego mojéj Anieli uwieźć kazał, kto próżnemi tylko zalety młodą jéj głowę chciał zbałamucić, kto na nią ściągnął całą nienawiść tego państwa, które ją wychowało.

Chciał odpowiedzieć na te wyrzuty Wacław, i w pomięszaniu zaręczać o czystości zamiarów i uczuć swoich, lecz Aniela przerwała mu żywo:

— Nie o tém tu mowa, panie starościcu. Nie na to pragnęliśmy widzieć was, aby wam jakie czynić wyrzuty. Wszakże panom wszystko wolno; a ja uboga dziewczyna, mogę sobie w cichości zapłakać nad sobą samą i powiedzieć sobie: — Niech mu Bóg tego nie pamięta!... Ale dość. Ani słowa więcéj. Niech to pana starościca ani gniewa, ani smuci. Proszę tylko posłuchać cierpliwie tego, co mam powiedzieć, abyście wiedzieli, panie, co daléj począć. Zaonegdaj przechodziłam nad wieczorem przez tamten gaj nadedrogą. Wtém słyszę szelest jakiś za sobą. Strach mnie ogarnął, zeszłam z drogi i ukryłam się za gęstym krzakiem leszczyny, a patrząc z trwogą na zakręt drogi, widzę dwóch podróżnych; jednego znałam już kiedyś, ale mało, bardzo mało. Idą wolno i rozmawiają z sobą. Anibym była zważała na ich mowę, gdyby jeden nie był zapytał drugiego:

— No i cóż téż będzie za to starościcowi?

— A posiedzi z jaki miesiąc w wieży, jeżeli nie co gorzéj jeszcze, — odpowiedział drugi.

— Ale czy się téż uda dowieść mu tego, że on kazał stracić tamtego? — zapytał pierwszy.

— O! podstolina nie żałuje pieniędzy, a ona póty nie ochłonie z zawiści swojéj, póki go nie będzie widziała w więzieniu. — Tak mówił drugi, a ja drżałam jak listek. Dalszéj ich rozmowy nic wcale nie słyszałam, i wtedy dopiéro wyszłam z kryjówki mojéj, gdy już byli daleko, rzewnie płacząc, bom sobie myślała: — Szkoda panicza; co on zrobił tym ludziom i pani podstolinie? Wróciwszy do domu, opowiedziałam wszystko ojcu... Lecz on już więcéj wiedział odemnie, i lubo był na was zagniewany, zezwolił na to, abyśmy was ostrzegli, co was czeka.

— Korzystajcież, panie starościcu, z tego napomnienia — dodał ojciec — i nie traćcie czasu.

Uniesienie malowało się na twarzy Wacława, łza błyszczała w oku, podał przyjazne ręce, jednę ojcu, drugą córce, i rzekł z rozrzewnieniem:

— Będę korzystał z waszego napomnienia, ojcze; schronię się nie tak dalece przed zamachami zawiści, jako raczéj przed wyrzutami sumienia. Bóg niech mi będzie świadkiem, że nigdy innéj nie zaślubię żony, jak tę, którą tak nierozważnie na pociski złych ludzi wystawiłem.

Na te słowa szybko ruszył się z miejsca Dulski, i biorąc córkę za rękę, zawołał:

— Pójdź Anielo, oddalmy się z tego świętego przybytku, który bluźniercze śluby znieważyć mogą. Nie wierzaj tylu kłamliwym wyrazom, a wy, panie starościcu, jeżeliście je w uniesieniu wyrzekli, pamiętajcie na to, żeście Boga obrazili, wzywając Go na świadka tego, czego nigdy dopełnić nie możecie. — To mówiąc, oddalił się z pomięszaną Anielą szybkim krokiem z cmentarza, i zostawił niewzruszonego Wacława, którego ten niespodziewany obrót rzeczy tak mocno przeraził, iż długo myśli swoich zebrać nie mógł. Nakoniec wyszedł za nimi, wahał się czas niejaki, dokąd kroki swoje obrócić; nie śmiał pójść do téj spokojnéj zagrody, w któréj przed jego przybyciem tak prosta i mało wymagająca szczęśliwość panowała. W godzinę potém okazał się znowu między goszczącemi, lecz pomięszany i smutną zajęty myślą, błąkał się między nimi jak cudzoziemiec, który obcego sobie języka nie rozumié; jak niewidomy, który między patrzącymi po omacku chodzi. Odgłos muzyki, śpiewy podchmielonych, gwar mówiących, wszystko to odurzało jego umysł. Zdawało mu się, iż kilka chwil upłynionych, które tak mocne na nim uczyniły wrażenie, były snem, z którego się jeszcze nie mógł ocucić, po którym nic pojąć i rozeznać nie był w stanie. Jedno go tylko jakby przykre widmo uderzyło w oczy: prowadząc błędny wzrok na wszystkich, spostrzegł w gronie dam, między kilkudziesiąt obojętnemi twarzami, jeden uśmiech piekielny, jedne iskrzące się od złości oczy, które go jak nagłe uderzenie tak mocno przeraziły, iż stanął, drgnął mimowolnie i potém szybko oddalił się ze sali, aby drugi raz tego samego nie spotkał wejrzenia.

A ojciec jego klęczał właśnie w obywatelskiém kole, ogniwami ciągle trącających się głów połączoném, gdzie nieustannie i pod różnemi figurami retorycznemi toasty, in gratiam przyszłego połączenia się jego domu z domem podstoliny, spełniano. Gniewnie spojrzał Wacław na pijących, gdy wszedł do pokoju, i wzdrygnął się jakby zgrozą przejęty. Słysząc bełkotane powinszowania i życzenia pijących, ukrył się przed nimi, i wkrótce przy podanéj sposobności uprowadził z sobą ojca, będącego w takim stanie, że, jak trafnie mówią, o świecie nie wiedział.

ROZDZIAŁ XVI.

Nieboszczyk.

Jeszcze nie był zamrużył powiek Wacław, pomimo że pomrok nocny przed zorzą już ustępował; mocne wzruszenie trzymało go ciągle w gorączkowym stanie. Różne straszne i przykre obrazy snuły się przed umysłem i tęskne żywiły uczucia, gdy usłyszał przede dworem hałas mocny, który coraz bliżéj jego komnaty słyszéć się dawał, aż nakoniec drzwi się rozwarły, i kilku ludzi szamocących się z dworskimi starosty przemogło nad nimi i wpadło do izby, a na ich czele Dulski, z wyrazem rozpaczy i najgwałtowniejszego uniesienia na twarzy i z dobytą szablą w ręku.

— Gdzież jest, gdzieżeś ją podział? — zawołał napadając z wściekłością na Wacława, który na widok gwałtownéj napaści sięgnął już po szablę i stanął w obronie własnéj. — Powiedz, gdzie jest? oddaj mi ją, niecnoto — lub zginiesz z ręki mojéj! — dodał, dobywając sił ostatnich.

— Wolniéj, starcze — odpowiedział Wacław, odpierając niedołężną napaść rozpaczającego. — Wstrzymaj niewczesny zapęd, abym należycie twojéj nie poskromił zuchwałości! Czegoż chcesz odemnie? Mów, o kogo się pytasz?

— O kogo? Niecnoto! — zawołał Dulski do nowéj z wściekłością zabierając się napaści — o córkę moję, o Anielę! Bo któż mi ją mógł porwać téj nocy, jeżeli nie ty, lub twoi służalcy?

— Stój, ojcze! — zawołał żywo, odpierając napaść jego Wacław — na Boga cię zaklinam, stój! Porwali ci ją? Nie masz jéj więcéj? Ha, wiem teraz, co miał znaczyć ten uśmiech piekielny, co te oczy zemstą błyszczące, których pocisk tak mocno mnie ugodził! Pohamuj twój zapęd, nieszczęśliwy ojcze! Nie trafiłeś na winnego. Ja mogłem zbłądzić kiedyś, ale być podłym zdrajcą i rozpustnikiem, tego nie potrafię nigdy. Twoja Aniela porwana — a czyż się nie domyślasz! czyje to dzieło? Ona jedna tylko mogła go dokonać; w jéj oczach była zemsta, na wargach uśmiech tryumfu zawiści. Idźcie co prędzéj! zaprzęgać konie do powozów, dać dwa najlepsze siodłowce do dojechania! Dwóch dworskich niech siada zemną do jednego powozu; wy, ojcze, do drugiego z waszymi ludźmi; konie pod siodłem pójdą luzem! Śpieszyć się! W mgnieniu oka niech wszystko będzie gotowe: broń i naboje, postronki, nie zapomnieć o niczém! — A czém jechali? w którą obrócili się stronę? Pójdźcie wszyscy. Nie traćmy i jednéj chwili!... Poprzysięgam, opuszczając dom ojcowski, że bez niéj nie powrócę.

Sposób, w jaki stary Dulski wpadł do dworu starosty, napaść jego

na Wacława, a następnie nagły odjazd tegoż z ludźmi uzbrojonemi, wszystko to były nadzwyczajne zdarzenia, które obudziły wszystkich dworzan prędzéj, niż się zwykli byli budzić. Hałas zrobił się wielki na dziedzińcu przy odjeździe sprzymierzonych; zgromadzeni ludzie długo patrzyli za nimi i różne czynili domysły nad przyczynami napaści, zgody i przymierza. Dopiéro gdy wszystkie wyczerpano domysły, gdy się z dziedzińca rozchodzić zaczęto: wynurzył jeden z dworskich zadziwienie, że ten hałas nie obudził starosty; drugi rzucił kwestyą, czyby nie wypadało obudzić go i zawiadomić o tém, co się stało, aby mu dać sposobność rychłego zaradzenia niebezpieczeństwu, na które się syn jego oczywiście narażał. Po krótkiéj naradzie, poszedł marszałek do sypialnéj komnaty, uwiadomić pana swego o wszystkiém co zaszło, a reszta dworzan z wolna za nim ku dworowi postąpiła i przedpokój zaległa. Ledwo że się zgromadzili, aby w cichości na powrót marszałka oczekiwać, gdy się obił o ich uszy przeraźliwy krzyk z pokoju pochodzący. Najśpieszniéj pobiegli za tym odgłosem i potrącili się z marszałkiem, który blady i przelękniony z izby sypialnéj uciekał. — Cóż się stało? — zapytano go. — Nie żyje! — była ledwo wybełkotana odpowiedź, na którą wszyscy do pokoju wpadli i apopleksyą tkniętego starostę w łóżku bez duszy spostrzegli.

Zamięszanie było wielkie. Wszyscy się wzięli do ratunku; każdy co innego doradzał i próbował, lecz wszelkie usiłowania były daremne; bo starosta, marząc po pijanemu o przyszłém szczęściu syna, zasnął snem wiecznym, gdy głowa jego, tak długo obojętna na częste zajęcia winem, uderzenia krwi wytrzymać nie zdołała. Skoro tylko po długich próbach i usiłowaniach miano zupełne przekonanie o zgonie pana, zmieniła się raptownie scena. Wszyscy odstąpili od martwego ciała i spojrzeli po sobię, co daléj czynić. Wszyscy szukali okiem marszałka, jako zastępcy nieobecnego nowego pana. Lecz ten wymknął się najpierwszy z izby, nie ukazał się więcéj we dworze, a w parę godzin potém nie było go nawet w granicach starostwa, którém w imieniu pana od wielu lat zawiadywał. Bezpiecznie jechał dwoma ładownemi wozami do własnéj wioski, opodal ztamtąd oddawna pod obcém nazwiskiem kupionéj.

Ten przykład przez naczelnika całego dworu dany, znalazł natychmiast licznych naśladowców, i każdy w swoim zawodzie starał się zapewnić sobie udział w puściznie, bez pana i opiekuna pozostałéj. Koniuszy pobiegł do stajni, i przebierając między końmi, żałował tych, które starościc z sobą był zabrał; dwa jednakże odstawić i lepiéj karmić zalecił. Szatny pośpieszył z żoną do garderoby i kilka pasów tymczasowo jéj starannéj opiece poruczył. Piwniczy ustawił sobie rząd butelek pod oknem, które wieczorem miał w bezpieczniejsze miejsce przenieść, i antałek pode drzwi podłożył; lecz próbując z kilku zapleśnia-

łych butelek i z kilku sądków wina, skończył na tém, iż przy swojéj zdobyczy, jakby dla lepszego jéj upilnowania, pozostał. Widząc drzwi otwarte, zakradło się za nim do piwnicy kilku pachołków, którzy uprzedzając jego zamiary, to wypili, to wynieśli wino na bok odstawione. Przez cały dzień uwijało się wielu ludzi na drodze od gumien do wsi, a każdy dźwigał ciężki worek na plecach. Kuchty, forysie i psiarkowie opuścili właściwe sobie zatrudnienia, bądźto w kuchni, bądź nakoniec w ogrodzie, łupu dla siebie szukali, mało o to dbając, że się pieczenie na rożnach paliły, że konie żłoby gryzły i psy nieznośnie w psiarniach wyły.

Minął dzień jeden i drugi w tém bezkrólewiu, w którém się starostwo całe i dwór zmarłego pastwą wyuzdanych dworzan stały. Rozeszła się tymczasem po okolicy wieść o zgonie starosty i niebytności syna, i o rozprzężeniu wszystkich ogniw uległości domowéj między dworskimi, tak dalece, iż najbliżsi sąsiedzi, w prawdziwie obywatelskim duchu, postanowili wziąść w opiekę dom osierociały i zająć się oddaniem ostatniéj przysługi zmarłemu współobywatelowi. Zdano tę czynność na pana podkomorzego, który, jakkolwiek mniéj przychylny dla starosty, jeszcze od czasu szkolnego pojedynku Wacława z jego synem, nie wymówił się przecież od tego, i nie szczędząc ani pracy, ani nakładów, sprosił okoliczne sąsiedztwo na pogrzeb, sam udał się na miejsce, uśmierzył wyuzdanych dworzan, surowością wszystko w karby wprowadził; zebrał co mógł ocalić pozostałości po zmarłym, i urządził wszystko tak, aby obrzęd żałobny odbył się z okazałością, stopniowi zmarłego odpowiadającą.

W owéj sali, w któréj niedawno rozlegały się wesołe krzyki goszczących i odgłos przygrywającéj kapeli, gdzie uczestnikom zabaw starosty zdawało się poniekąd, że głos jego co chwila da się słyszéć, było teraz cicho i ponuro. Kiedy niekiedy przerywał tylko milczenie kapłan, żałobne pienia przy zmarłym odśpiewujący. Lud wieśniaczy cisnął się do wzniosłego katafalka, na którym poczwórny rząd gromnic oświecał rażącym blaskiem znikome szczątki, które za chwilę ciemność grobu pokryć miała. Liczni obywatele z okolicy, liczniejsza jeszcze szlachta zagrodowa, która w staroście popularnego i gościnnego pana czciła, gromadziła się przede dworem, i kolejno wystawione ciało odwiedzała, a każdy oddalając się, po cichu Pozdrowienie anielskie odmawiał.

Nadeszło późniéj duchowieństwo z plebanii; po zwykłych obrządkach wzięli dworzanie trumnę na barki, a panowie znakomitsi całun, którym była przykryta, na rogach trzymali. Gdy tak orszak ruszył ze dworu, poprzedzony śpiewającém duchowieństwem, i gdy przy bramie dziedzińca dworzanie trumnę na ośmiokonny karawan wstawili;

wystąpił najstarszy wiekiem z pomiędzy obecnych obywateli, zatrzymał wóz żałobny i w ten sposób przemówił:

— Pohamujcie *fervidas rotas*, któremi w nagłym impecie te znikome relikwie powieźć chcecie ad *tumbam*. *Nieuhamowane* w imprezie swojéj *fatum*, *królowi* wielkiego konsyliarza, nam wszystkim poufałego zabrało przyjaciela. Godzien bowiem wielkich i wszystkich cnót *in Repub.* mądry i życzliwy *in Curia* krajowi, aby każdy śmierć jego in fato Reipubli. licząc, powinnym onę przyjął żalem. Dobrze hartowna natarłszy śmierci kosa siekła i piekła, cięła i wzięła, porwała łupem, położyła trupem *illustrissimum nec non dilectissimum* starostę naszego. Jakież-to nas uderzyły *fati rerumque vices?* Oto posępne alternaty po pogodnéj chwili, fortuna przy nieszczęściu, przy splendorze umbry! przed chwilą uciechy *et nunc dolores!* Tak ciężkie zadała nam ciosy *acerba fati necessitas*, na karku natury ludzkiéj krwawą śmiertelności prawie ręką zapisana, iż jakoby *coloniam funerum* z narodu ludzkiego założywszy, nigdy mu ciężkich a codziennych wyprzągać nie dopuszcza żalów, i nie respektując na żadne osoby, żywot i samym dobrodziejom naszym w oczach naszych wydziera, nas w pośrodku płaczów i lamentów zostawiwszy, a pociechy w żółć nader gorzką zamieniwszy. Na co narzekać trudno i daremno. Raczéj tedy przy tém *flagellum domini*, *manum*, która nas *tetigit*, całując, do należytych zacnemu ciału *supremis officiis* udać nam się należy. Bo któż niewiadomy nieuchronnych dekretów boskich? Któż niewiadom omylnych świata nadziei? Kto nie widzi codziennych śmiertelności wizerunków? Któż się nie przypatrzył niemiłościwéj nad naturą ludzką egzekucyi? Ta, że padła na godnéj pamięci *prostrati hic starostae* osobę, trudno nie sarkać, trudno *non dolere* na roztargnione przyjaźni naszéj *vincula* i rozdwojone affektów ogniwa! Takie są świata tego a życia naszego delicye, te wszystkie coś obiecujące sperancye, te najpewniejsze prac naszych pożytki, że nam się zda, jakobyśmy świtać poczynali, a my *ad Oceanum tendimus*. Ciężkie tylko pamiętnych pociech wydają się *suspiria*, ozdoby wszystkie nasze czarnym powłócząc cieniem, a obfitemi miasto konsolacyi karmiąc się łzami, w boleści serca takowéj czekając godziny, która *ad eam nos* prowadzi *metam*. Częstokroć *fata*, lubo ich *decreta infallibilia decernunt*, do nas *inverso* idą *rerum ordine*. Oto i ze mną postąpiły opak, ordynans taki uczyniwszy, abym przemawiał nad grobem tego, którego *mortis* miałem być słusznie *antecessor*. Dlatego też serdecznie *dolens tanti viri fato*, przed tą Berecyntią żałości drożdże rozlewam uprzejmości.—

Te wówczas tak wymówione peryody, które *Swada* polska (*) na

(*) Swada polska, dzieło z XVII wieku, zawierające przykłady wymowy.

wieczną rzeczy pamiątkę zachowała, jakkolwiek przez zawołanego w okolicy mówcę wyrzeczone i za wzorowe przez wszystkich poczytane, nie wzruszyły jednakże nikogo, ani w kim rzetelnego żalu nie zbudziły. W całém zgromadzeniu nikt istotnie osoby nieboszczyka nie żałował, nikt go z tkliwém uczuciem do grobu nie odprowadzał. Jeżeli kiedy niekiedy słyszano utyskiwania nad poniesioną stratą, było to żałowaniem gospodarza gościnnego domu, i chwil swobodnych w jego towarzystwie spędzonych. Cały obrząd żałobny odbył się z przyzwoitą okazałością, ale nikt łzy nie uronił. Każdy dopełniał obowiązku sąsiedztwa i przyjętego zwyczaju, a wszyscy radzi byli téj chwili, w któréj po skończonych obrzędach na stypę pójść mogli.

Zgodziłbym się na to, aby dzieci, podawszy sobie bratnie ręce, lekkiemi skokami świéżo usypaną mogiłę okrążały; bobym w tém widział obraz nieustannéj kolei, końca i poczęcia. Lecz biesiada dogadzająca chciwości jadła i napoju, to zwierzęce używanie życia w chwili, gdzie wszystko znikomość jego przypomina, jest obrażającą sprzecznością, poniżającym obrazem słabości istoty ludzkiéj, przewagi zwierzęcia nad istotą myślącą. Pomijam przeto szczegóły téj uczty, i opodal od długiéj sali, w któréj zdrowie pogrzebanego i grzebiących spełniano, w wąwozie dzikiemi zaroślami pokrytym widzę Wacława, który z wolna do rodzinnéj strzechy zmierza. Ciężkie obłoki pokrywały całe niebo, a ponury odgłos grzmotu zdala, lecz ciągle warczał w najciemniejszym chmur kłębie. Powstający wiatr, rozpędzając je po całym przestworze, wąwóz pokrył pomroką i Wacława z głębokiego wyprowadził zamyślenią. Zatrzymał konia, rzucił okiem na całą okolicę, mocne łyśnienie i silny łoskot grzmotu przeraziły go niesłychanie; zadrżał cały, a niezwykłym strachem przejęty, wraził w bok ostrogę koniowi i cwałem ku domowi pośpieszył. Ulewny deszcz i pomrok wszystko ukryły przed okiem jego. Dla przerażenia, dla ulewy rychłego szukał schronienia, wpadł na dziedziniec, zsiadł z konia, milczący oddał go w sieni stojącemu człowiekowi i sam pośpieszył do sali, z któréj dochodziły do niego znane mu krzyki goszczących.

Wrażenie mocnego połysku i huku gromu, które przed chwilą tak mocno przeraziły Wacława, niczém nie było w porównaniu z tém, które różnobarwne szeregi złowróżbnych gości na nim uczyniły. W pierwszém przerażeniu zadrżał, zimny pot okrył czoło, cofnął się, drzwi zatrzasnął, aby usunąć z przed oczu przykry obraz, który widmem być sądził. Po chwili odetchnienia sięgnął gwałtownie za klamkę, otworzył drzwi szeroko, wpadł pomiędzy goszczących, a rozpychając tych, co mu przeszkadzali, stanął u samego stołu i silnym głosem krzyknął: — Kto tu umarł? — Czyja to stypa? — Runęły

ławy; przerażeni goszczący zaczęli się pchać, tłoczyć i przewracać, a on rzucił dzikiém okiem na koniec stołu, tam, gdzie ojciec jego zwykł siadać, i rozpychając wszystkich do tego miejsca się pomykał, póki się nie przekonał, że dobrze widzi; potém wstrzymał się nagle:— Nie masz go! — zawołał, i padł bez zmysłów między rozpierzchających się na wszystkie strony gości.

ROZDZIAŁ XVII.

Koło chorągwi pancernéj.

Co się daléj stało z Wacławem? tego teraz powiedzieć nie mogę, boby to było przeciwko wszelkim prawidłom sztuki pisania powieści, a raczéj nęcenia czytelników. Cóżby mi zostało na potém, gdybym teraz los jego przyszły objawił? Wolę tak zrobić, jak to dziecko, którego się pytają, gdzie się schował braciszek pod stołem siedzący, i powiedzieć: — Ja wiem, ale nie powiem. Chciałbym sobie nawet tak postąpić i z drugim, a głównym téj powieści bohaterem, chciałbym także o nim nic nie mówić i tak go pod rozmaitemi kształtami ukryć, aby się dopiéro w końcu wykryło, że ta i owa nieznajoma figura jest naszym Faustynkiem Dodosińskim. Ale ta maskarada na nic się nie przyda. Pomimo pożyczanych twarzy, nazwisk i stroju, każdy się domyśli, kogo ma przed sobą: są ludzie, którym zwykle uszy wyglądają przez czapkę. Ale do rzeczy; bo powiedzą, że mi tylko o grubość dziełka mego idzie.

Więc tedy nasz pan Dodosiński siedział, jakeśmy go opuścili, na lichym wózku szlachcica, który go wysoko tytułował, i jako przebranego pana tam wiózł, gdzie mu się najstosowniéj dla niego być zdawało i gdzie mu własne jego interesa kazały.

— Wieźćie mnie, gdzie chcecie, aby nie do lasu — rzekł najprzód Dodosiński, jakeśmy to już słyszeli; a po długiéj chwili milczenia, gdy istotnie las na boku pozostał, gdy pomimo największego wysilenia, nie mógł żadnym sposobem domyśléć się, co się z nim stanie i dokąd jedzie, przerwał milczenie temi słowy:

— Słuchajcie-no, panie bracie, dokądże mnie przecie wieziecie?

— Zajedziemy na noc do miasteczka, w którém mam grzywny z ostatniego trybunału do pobrania — odpowiedział assesor skrzynkowy. — To już niedaleko ztąd.

— A ja co tam będę robił?

— Będzie to zależéć od woli illustrissimi, albo daléj jechać zemną, albo coś innego postanowić. Tobym jednakże zawsze radził, aby illustrissimus zmienił nazwisko swoje, bo pod tém niedawno

przybraném szukają go ludzie w pogoń posłani. Bezpieczniéjby przeto było albo wrócić się do właściwego, albo też inne przyjąć.

— Ja was nie rozumiem. Co wy gadacie o przybraném i o właściwém nazwisku mojém?

— A jużcić illustrissimus nie nazywa się zapewne Dodosińskim — odparł — obracając się ku niemu z głośnym śmiechem szlachcic. — O takiéj familii w żadnym herbarzu szlachty polskiéj ani litewskiéj wzmianki nie znajdzie.

— Jak to? Co wy to gadacie? Cóż to, nie macie mnie za szlachcica?

— Bynajmniéj, illustrissime, któżby o tém wątpił. Ale ja niby mówię, że to nazwisko *Dodosiński* nie przystoi dla pana, i jest podejrzane w téj okolicy.

— Słuchajcie-no, panie bracie, to źle będzie z nami, jeżeli moję rodowitość obrażać będziecie. Bo trzeba wam wiedzieć, że mój tatynek ma swoję fortunę, która od niego, czy on od niéj się nazywa, i jak świat światem Dodosińscy byli szlachtą.

— E, co też to illustrissimus za żarty sobie ze mnie stroi! Jak mówią, zwyczajnie wolne żarty pańskie. A jeżeli to jest ostrożnością, to upraszam o pokładanie we mnie ufności; ja pewnie nikomu rzeczywistego nazwiska illustrissimi nie wyjawię.

— No, to dobrze! To wiedzcie tedy, że ja mam jeszcze dwa imiona, Faustyn, Feliks.

— A nazwisko?

— No, Faustyn Feliks Dodosiński.

— Kiedyć illustrissimus nie chce mi prawdy wyjawić.... — odpowiedział szlachcic, ruszył ramionami — zawołał: *wio!* — na konia i uderzył go batem.

— No i cóż? czy chcecie, żebym wam się zaprzysięgał?

— Wolno panu jako panu szydzić sobie z chudego pachołka — odpowiedział szlachcic. — Aleć to ja tylko dla dobra pańskiego mówię, bo jeżeli nazwiska nie zmienimy, to nas w pierwszém miasteczku zatrzymają dlatego, że już wiedzą o Dodosińskim i właśnie Dodosińskiego szukają.

— No, a jak go znajdą, co to z nim będzie? — zapytał się z trwogą nasz bohater.

— A cóż? nie zważając na osobę illustrissimi, zabiorą ją pod nazwiskiem Dodosińskiego, i do jakiéj turmy lub baszty żołnierze zawloką, póki się rzecz nie wyjaśni.

— Oto znowu ja tego nie chcę. Co ja im winien? Czego mnie mają brać? Ja tego nie chcę!

— A to niech illustrissimus dla wszelkiego bezpieczeństwa nazwisko odmieni.

— Jakże to zaś odmienić? To mnie znowu potém ludzie nie poznają.

— Kiedy się będzie podobało, to będzie można wrócić do prawdziwego nazwiska, ale teraz, póki się ta bieda nie skończy, póki illustrissimus będzie się musiał ukrywać, to koniecznie tak się trzeba nazwać, by się nikt nie domyślił?

— No, a jak to długo trwać może?

— Albo ja wiem? Jaki rok, albo więcéj może?

— Rok — może dwa — może trzy?... a cóż to będzie przez ten czas ze mną? Kiedy mego nazwiska nie będzie, toć i mnie nie będzie na świecie, toć ja będę żył mniéj ten rok, albo te dwa lata; a wszystko co mi się stanie, to się nie mnie stanie, tylko komu innemu; a co mnie kto da, to nie moje będzie. A jeźli sukcessya na mnie spadnie, to któż ją weźmie? Nie, to głupstwo jest; ja nie odmienię nazwiska, bobym przepadł zupełnie, a ci coby mnie szukali, toby mnie nie znaleźli.

Nic nie odpowiedział na to wszystko szlachcic, i tylko kiwał głową, bo nie wiedział, jak miał sobie tłómaczyć wyrazy Dodosińskiego, i przypisywał przebiegłości jego to, co najrzetelniejszego głupstwa było skutkiem.

Twardy zmrok zapadł, nim dojechali do miasta na nocleg. Szlachcic zajął się swoim koniem i wózkiem w stajni, a gdy za naszym bohaterem po chwili przyszedł do izby karczemnéj, zastał go zatrwożonego i skradającego się ze strachem ku drzwiom.

— Cóż to znowu, illustrissime? — zapytał.

— Na miłość boską — odpowiedział drżącym głosem Faustynek — nie mówcież do mnie po nazwisku, bo tu już o mnie była mowa.

— A nie mówił ja, że trzeba zmienić nazwisko? Niech się pan niczego nie boi; siądźmy sobie za ławą, ja wszystkiemu zaradzę.

— Ale illustrissimus nazywa się odtąd Sińskim, a niech djabeł porwie *Dodo*, które przed nim stało.

Gdy to już poniekąd powołaniem naszego bohatera było, że wszystko tylko za natchnieniem chwili obecnéj czynił, i w niczém woli swojéj nie miał, uległ przeto i teraz przemocy okoliczności i słuchał przez cały wieczór, jak gawiedź w karczmie zebrana o jego przypadkach zaprzeszłéj nocy rozprawiała; zrywał się niechcący z ławy, gdy nazwisko jego wymieniano, i ledwie dotrzymał placu, gdy usłyszał mówiących, iż go wszędzie szukają.

Nie powinno to dziwić czytelnika, że wiadomość o tém zdarzeniu była już doszła do miasta, w którém nasz bohater miał nocować; bo w dniu tym z różnych okolic zjechało się wielu szlachty, a z nią razem więcéj jeszcze różnego rodzaju służalców i hałastry.

Była to bowiem nader dla miasta tego pożądana uroczystość odprawienia *koła chorągwi pancernéj*, na którą towarzysze, jak który mógł, paradnie z ludźmi swemi przybywali.

Niezwykły hałas panował przez noc całą na rynku i przyległych ulicach. Towarzysze zgromadzeni u chorążego sposobili głowy do rady nazajutrz nastąpić mającéj, hartując się licznemi kuflami węgrzyna. Trębacze pod oknami mieszkania porucznika trąbili póty, póki dech ich nie uległ przemocy licznie między nimi krążących kwaterek; a hajduki, pajuki, dworscy i służący majętniejszych towarzyszów, krzyczeli po wszystkich stronach miasta, bądź-to ubiegając się z panami swymi o prym w hulance, bądź też wszczynając między sobą kłótnie i bijatyki.

Wśród tego zgiełku przerwał raptem ciemność nocy blask światła od jednéj przyległéj ulicy przechodzący, tak iż myślano, że tam gore, i pospólstwo z ulicy z pośpiechem biedz tam zaczynało. Lecz wkrótce poznało omyłkę, gdy się okazał w blasku licznych pochodni przed okiem zdumionego gminu paradny orszak nowo przybyłego towarzysza, który wystawniéj od innych do miasta wjeżdżał.

Piętnastu hajduków sadziło na dzielnych koniach z pochodniami w ręku po dwóch bokach rzędu pojazdów. W pierwszym karabanie siedziało dwunastu kapeli, za nim jechał pan wojewodzic, a przyszły towarzysz, poszóstno; następowały trzy pojazdy z dworzanami, zamykał pochód wóz beczkami wina, puzderkami gdańskiéj wódki i rożnemi żywnościami z górą wypakowany.

Gdy stanął przed dawno zamówioném mieszkaniem, uciszyły się na chwilę hałasy, przerwała się u porucznika hulanka, wszyscy pośpieszyli przywitać upragnionego gościa i w tryumfie do pana porucznika go odprowadzili, aby na próżnych tylko słowach i oświadczeniach czasu nie tracić.

Po téj tak hucznéj nocy nastąpił cichy bardzo poranek, w którym pobudka trębacza, nikogo do wstania nie pobudzająca, samą tylko cichość przerywała. Koło południa dopiéro, orzeźwiwszy się każdy u siebie lub u zamożniejszego kolegi kieliszkiem wódki i jakiém takiém śniadaniem, zebrali się towarzysze do chorążego na właściwe koło. Tam zasiedli ławy około stołu rozstawione: najprzód namiestnik przy chorążym, a daléj inni koleją starszeństwa, i wysłuchali długiéj mowy powitalnéj, w któréj się wszystkim w ogólności i każdemu w szczególności komplement od przemawiającego dostał. Po skończonéj mowie wysłano dwóch młodszych towarzyszów do pana wojewodzica, który jako nowy towarzysz, pierwszy raz miał pod chorągiew podjeżdżać, zapraszając go imieniem całéj kompanii do koła rycerskiego.

Szeregowi już stali w paradzie na rynku przy odgłosie trąb. Wyniesiono chorągiew z izby, całe towarzystwo wyszło za nią i stanęło

naprzeciw uszykowanych szeregowców, oczekując na przybycie nowego kolegi. Niedługo ukazał się na dzielnym rumaku, którego maść kara połyskiwała pod słońcem, a kita ze szklannego włosa z naczelnikami, dyamentami sadzonemi, zdawała się ogień rozrzucać na patrzących. Na długim aż do nóg spadającym dywdyku jedwabnym tureckim, suto złotem haftowanym, upięta była kulbaka turkusami wykładana, ze złotolitemi strzemionami; a na piersiach konia odbijały się na tle czarném perły, któremi był obsadzony buńczuk, za poruszeniem rumaka na wszystkie powiewający strony. Sam wojewodzic, pancerzem okryty, miał na głowie misiurkę, nad którą unosiła się kita z piór farbowanych, w tulejce kameryzowanéj osadzona; na lewém ręku miał tarczę perłami i drogiemi kamieniami sadzoną, u boku również ozdobny sajdak, farbowanemi strzałami napełniony, a w prawém ręku trzymał proporzec. Za nim szło trzech pocztowych, którzy za niego służbę odbywać mieli. On zaś, sadząc dzielnie na koniu, stanął pod chorągwią, obrócił się na koniu, i machnął proporcem w jedną i drugą stronę, poczém zsiadłszy z konia, zbliżył się do nowych towarzyszów broni, którzy powinszowawszy mu, wprowadzili go do izby. Tu nowy towarzysz oddał pokłon dowódzcy swemu i przemówił do niego w wyrazach dawno dla niego przez jednego z dworzan ułożonych; a zarekomendowawszy się tym sposobem braterskiéj przyjaźni wszystkich, wyszedł do przyległéj izby, aby się rozebrać ze zbroi, po czém wrócił do kompanii i zasiadł miejsce swoje po ostatnim towarzyszu.

Nie długo trwała ta rada; krótko odbyły się wojskowe sprawy, bo wszyscy tęsknili za ważniejszemi dla nich czynnościami, jedni nadzieją posiłku, a drudzy przejęci otuchą otrzymania jakiegoś udziału w stawkach, któremi pan wojewodzic hojnie obsadzać będzie karty. Łatwo się domyśléć, że jednych i drugich niepłonne były nadzieje, bo to był ów wiek nieszczęśliwéj wesołości, który Polska na biesiadach trawiła, niepomna na to, jak długo jéj sił i możności do wytrwania na tych ucztach starczyć będzie.

Nasz Faustynek zapomniał o swojéj biedzie, patrząc na tyle świetnych ubiorów, i cieszył się wspomnieniem na szczęśliwe chwile, które niegdy na dworze starosty przepędzał, gdy słyszał odgłos wiwatowéj muzyki i gdy widział oknem goszczących towarzyszów i kolejny kielich między nimi krążący. Nieraz patrząc na to, uczuł chęć wejścia do izby i pełnienia tamże obowiązków, w których, jako dworzanin starosty, pewnéj nabył wprawy: wstrzymywała go tylko od tego najprzód ta myśl nowa, która właśnie co umysł jego zajęła, że został panem, i powtóre obecność szlachcica, który go do téj godności wyniósł i który go teraz do tego koniecznie chciał nakłonić, aby się dał poznać innym panom i stał się uczestnikiem ich uciechy.

Lecz Faustynek, jak wiemy, nie szedł nigdy za własném natchnieniem, ani nawet za obcą namową, i dla niego trzeba było jakiegoś nadzwyczajnego zdarzenia, któreby mu dało popęd i wprowadziło go na taką scenę, na jakąby się sam przez się nigdy wystąpić nie odważył. Widząc nasz szlachcic, *assessor skrzynkowy*, że z nim nic nie poradzi, a nie mogąc znieść dłużéj widoku mijających go potraw i kielichów, zostawił upartego przy oknie, a sam się wcisnął między podochoconych gości, aby przez przypomnienie się łasce jednych i przez zarekomendowanie się innym, dojść przecie do pożądanéj kolei kuflowéj.

Faustynek pozostał na swojém miejscu, a ponieważ stał jednym z pierwszych u okna, otoczony przeto został niedługo liczném pospólstwem i żydostwem, które przynęcone ciekawością, tłoczyło się silnie i biednego bohatera naszego coraz mocniéj do okna przypierało. Ocierał pot z czoła, rozpierał się ile mógł nieborak, niekiedy łokciami odpierał tłoczących się na niego, lecz pomimo trudności położenia swego, nie chciał ustąpić z miejsca: tak go mocno zajmowało to, co się w izbie działo.

Gdy biesiadujący wstali od stołu i do drugiéj izby przeszli, rzuciła się zgraja dworskich i niższych służalców na niedojadki i na niewypróżnione gąsiory wina. Tu dopiéro wzięła Faustynka pokusa wmięszania się jako aktor do właściwéj sobie czynności. Miał bowiem przed sobą pole okazania nabytéj dawniéj kwalifikacyi na prawdziwego dworskiego, widział łatwość zaspokojenia głodu, który mu tém bardziéj dokuczał, im więcéj go do okna przyciskano. Dlatego ośmielony wrzawą, która w izbie panowała, zaczynał po kilka razy rozmowę z bliższymi okna dworzanami, przymawiał im się o posiłek i na ostatku widząc, że prośbą niczego nie dokaże, a spostrzegłszy napiłego dworzanina, który się z pełnym kuflem ku niemu zbliżył, powziął myśl wyrwania mu go z ręki, aby pragnienie ugasić. W tym celu przechylił się oknem do izby, a gdy sięgał z daleka ręką po zdobycz swoję, wyrzucił właśnie jeden z dworzan jakieś ogryzki między pospólstwo, które cisnąc się za niemi do okna, wysadziło przechylonego Faustynka tak, iż wtedy gdy już dosięgał kufla, znalazł się, sam nie wiedząc jak, głową w izbie blizki podłogi, gdy nogi jeszcze za oknem uwięzione były. To tak pocieszne położenie jego, nie uszło baczności jakkolwiek podchmielonéj tłuszczy; łatwo się domyśléć, na jaką myśl sążnista okrągłość odwrotnéj strony naszego bohatera wszystkich naprowadziła.

— A daléjże po nim! — zawołało dwóch hajduków. — A patrzcież, jak to uwiązł w oknie! — To mówiąc, schwycił go silnie za ręce, w mgnieniu oka zawinięto kontusz, a szeroki rzemień przez jednego z nich odpasany, zaczął niemiłosiernie trzepać tę część stroju Fau-

stynka, która mogła była znieść cierpliwie trzepanie, gdyby jego samego w niéj nie było. Lecz on nie był przygotowanym na takie przyjęcie i z całéj siły na gwałt krzyczéć zaczął, tak iż przemógł przecież nad głośnym chórem śmiechu, w izbie i za izbą wznieconym.

Czy traf szczęśliwy, czy też to, że krzyk jego do drugiéj dostał się izby, otworzyły się drzwi do niéj i wyszedł ów szlachcic, który tak teraz niewinnie cierpiącego Faustynka niechcący na pana był wyniósł. Już go mijał, mało zważając na to, co się działo, wiedząc jak podobne swawole między dworskimi pospolite były, gdy szczęściem poznał przecież głos uciśnionego; przyskoczywszy do niego zawołał:

— Ach, illustrissime, cóż się to znaczy! A wy hołysze, puśćcie tego pana!—A widząc, że mało jeszcze skutkuje pierwsza jego odezwa, przywołał z drugiéj izby panów na pomoc, którzy na wezwanie szlachcica dali ratunek Dodosińskiemu. Na odgłos panów rozbiegli się służalcy, a biedny nasz bohater, już całkiem na izbę wyciągnięty, padł jak nieżywy na podłogę i krzyczał jeszcze co siły: — Gwałtu reta! — lubo już trzymanie ustało.

Cierpiał on wprawdzie; bolało go jeszcze, a strach większym był od bólu. Ale tego wszystkiego potrzeba było do dalszego powodzenia, a nawet do szczęścia jego. Bo czyż mógł innym sposobem zwrócić na siebie uwagę wszystkich goszczących, do których wejść nie śmiał? z któremi się bratać nie mógł? O trzy kroć szczęśliwe plagi! które go podobnie jak niejednego na świecie, do znaczenia i fortuny doprowadziły.... Lecz nie antycypujmy.

Gdy szlachcic, towarzysz Dodosińskiego, zaręczył wszystkim, że to był pan znamienity i każdemu, kto go chciał słuchać, pod sekretem do ucha powiedział: że się po obcém ukrywa nazwaniem, że jakiéjś nadzwyczajnéj doznał przygody; cisnęli się wszyscy do niego i ubiegali się o to, aby mu dać ratunek i zapewnić mu zadośćuczynienie za doznaną krzywdę. Ochłonął wkrótce, usiadł nie bez syknienia na podanym stołku, oddychał ciężko, jak po wielkiém utrudzeniu, ocierał pot z czoła i spoglądał na wszystkich po kolei, lecz do nikogo słowa wyrzec nie śmiał. Przyjął jednak milcząc puhar wina, który mu na posilenie podano.

Za tym pierwszym posiłkiem nastąpiły kondolencye, braterskie powitania, przeproszenia, zgody i t. d.; wszystko z towarzyszeniem kielicha, a to póty, aż się oczy obżałowanego i przepraszanego nie zaszkliły, i głowa pewnéj przewagi nad resztą ciała nie wzięła. W tym szczęśliwym stanie pół snu i pół obudzenia, przechodził się Dodosiński po izbie, a raczéj przepychano go z jednego do drugiego jéj końca, słyszał odgłos muzyki i gwar mówiących, nie mogąc ani jednego rozeznać wyrazu, i patrzał na goszczących, nie rozpoznając nikogo i widząc tylko ruszającą się gromadę ludzi, podobnie jak się przy pogo-

dném słońcu nieprzeliczone gromady rybek drobnych kręcących się pod słońce widzi, z których żadnéj rozpoznać i jednéj od drugiéj rozróżnić nie można. W tym stanie przytknął się do ścieśnionego koła goszczących, gdzie mu dla tego samego lepiéj było, że się miał o kogo oprzéć, i że nie potrzebował stać o własnéj sile.

Ale i tutaj niedługo stał spokojnie. Zdarzyło się bowiem, że niejeden występując raptownie z koła, popchnął go lub całkiem wykręcił, zwłaszcza że z większą niechęcią od innych odstępował. Tym sposobem stało się, iż będąc z początku za wszystkimi, znalazł się po pewnym czasie przy samym stole. Tu dopiéro wyszedł z osłupienia na widok nagromadzonych kup złota, które połyskiem swoim oczy jego przeraziły. Otworzyły się mimowolnie szerokie usta, a tłumne myśli, które bez żadnego ładu po głowie krążyły, zatrzymały się teraz przy jedném wyobrażeniu państwa i bogactwa, którego nagromadzone pieniądze znamieniem były. To wrażenie tak było dla Faustynka przyjemném, że się już nie dał odepchnąć od stołu, a znosząc cierpliwie kułaki i popychania, z miejsca nie ustąpił. Po długiém przypatrywaniu się i marzeniu, uczuł nakoniec, że go ktoś schwycił za rękę i usłyszał, że mu coś do ucha szepce; lecz nie mógł z razu zrozumiéć, czego chciano od niego, a raczéj nie chciał przerwać snu złotego, który jego upojony umysł bawił.

— Ale słuchajcie mnie, illustrissime, bo tu można dziś poprzéć fortunę — rzekł do niego szlachcic, jego assystent, który stał długo za stołkiem nieszczęśliwie dziś grającego wojewodzica, i nie bez zazdrości poglądał na przechodzące do innych złoto, z początku przed nim nagromadzone — słuchajcie mnie, panie, i dopomóżcie bratu waszemu, a to wam wyjdzie na dobre.

— Jak-to? co? fortuna? komu dopomódz? — przebełkotał przecież Faustynek.

— Pożyczcie panu wojewodzicowi pieniędzy, ręczę wam, że tego nie pożałujecie.

— Co? pieniędzy! — zawołał Dodosiński i sięgnął z obawą do zanadrza, patrząc, czy je téż ma jeszcze.

— A tak, pożyczcie pieniędzy panu wojewodzicowi, bo przegrał własne, a chce jeszcze fortuny na obce szczęście tentować: a jak wygra, to się z wami podzieli.

— Ej zaś — odpowiedział Dodosiński mocno ręką ściskając woreczek.

— Tak jest, illustrissime — odparł szlachcic — jak wygra, przejdą do niego te stosy złota, a od niego do was.

— Nie gadaj! — odpowiedział Faustynek z uśmiechem, coraz więcéj wysuwając woreczek z zanadrza.

— To złoto w ręku naszém—mówił daléj szlachcic—przezwycięży

wszystkie przeciwieństwa. Ono was wróci do rodzinnéj strzechy, do waszéj ziemi.

— Do mojéj ziemi! — krzyknął Faustynek, i dobył całkiem woreczka.

— Tak, tam jako pan żyć sobie będziecie.

— Jako pan! — zawołał jeszcze głośniéj i tupnął nogą; puścił z ręki woreczek i wtedy dopiéro za swemi pieniędzmi z żalem ręce wyciągnął, gdy już na karcie przed wojewodzicem wysypane leżały. Stój! zawołali grający na niego, gdy nie pomnąc co czyni przez stół po nie ręką sięgał. — Nie lękaj się — dodał wojewodzic, czy wygram czy przegram, z lichwą ci je powrócę!

— Ani się waż ich ruszać! — powtórzyli drugi raz, i gdy słowami natarczywości wstrzymać nie mogli, w mgnieniu oka odsunęli go od stołu i oburzonego na wszystkich grających wypchnęli.

Była to jedna z tych chwil stanowczych, w których Faustynek zwykł się już chwytać ostatecznego sposobu, to jest, że pięścią począł zagrażać, i assesor skrzynkowy wraz z kilkoma goszczącemi ledwo zdołali pohamować jego zapęd. Wtém usłyszano okrzyk: — Wygrana! — wojewodzic krzyknął: — Odpłacę to mu sowicie, dajcie kielicha! Wiwat mój wierzyciel! Do waćpana, panie bracie! — Spełnił pełny puhar, który Dodosiński chcący niechcący od niego odebrać i spełnić musiał. Ten puhar dokazał tego, czego kilku goszczących dokazać nie mogło, i tak go dobił, że o pieniądzach i o wszystkiém w świecie do jutra rana zapomnieć musiał.

ROZDZIAŁ XVIII.

Gość niespodziany.

— No, jeszcze jednę szklanicę, dobrodzieju! — rzekł Dodosiński do kwestarza reformata, nalewając mu kufel piwa z dużego polewanego dzbanka.

— Komu w drogę, temu czas — odpowiedział kwestarz i sięgnął z pokorą po kufel.

— W drogę? Ja was krokiem daléj nie puszczę, bo rad jestem, że mam przecie z kim pomówić.

— Ale — rzekł kwestarz, obcierając usta po wypróżnionym kuflu — słońce jeszcze dalekie zachodu; mógłbym zagnać moje owieczki o jakie pół mili daléj, dziś jeszcze jaką nową ukwestować. Nie chciałbym tedy, by mój konwent cierpiał na mojéj opieszałości.

— A cóżto sobie myślicie — rzekł Faustynek, ujmując się pod boki — czy-to ja wam nie mogę dać drugiego jeszcze jagniaka? Czy mnie to nie stać na to?

— Nie wątpię bynajmniéj — odpowiedział z ukłonem kwestarz — jeżeli łaska pańska nastąpi....

— To zostaniecie tedy, każę owczarzowi dać wam jagniaka i wszystkie wasze ukwestowane owieczki gdzie na nocleg przytulić.

Nie mógł się opierać dłużéj takim powabnym propozycyom kwestarz. Dodosiński zawołał chłopaka, którego miał do posługi i wydał mu stosowny rozkaz do owczarza, któremu po ułatwieniu danych zleceń do siebie przyjść kazał. — Bo to widzicie — dodał po wydaniu tego rozkazu — mój owczarz to człowiek nie lada, mądry i pocieszny; on i leczyć umié i pięknie grać na fujarce. Wstawi nogę bydlakowi, kiedy się wypleczy, naciągnie ją człeku, kiedy zwichnie, i nawet w łupki wstawi, gdy złamie; a do tego umié różne sztuki: odżegna ociemnienie, zdejmie urok i żadnéj się czarownicy nie zlęknie.—Długo jeszcze prawił podobnym sposobem o przemądrym owczarzu, i w oczekiwaniu na niego, zaproponował kwestarzowi partyę maryasza.

— My nie grywamy, panie, o pieniądze, bo ich nie mamy.

— To szkoda, bo mnie się bardzo upodobało granie w karty, od czasu jak mnie zbogaciły. Boście-to przecie, dobrodzieju, musieli słyszéć o tém, jakem ja to raz, już temu rok blizko, nie wiedząc jak, grał na spółkę z panem wojewodzicem. Bo trzeba wam wiedzieć, że najprzód wzięli mi moje pieniądze pożyczonym sposobem, stawili na kartę, a gdy ta wygrała, spoili mnie tak, żem ani ręką, ani nogą ruszyć nie mógł; a pan wojewodzic wygrywał za mnie i za siebie, i dał mi potém tę wioskę w zastawę za to, co mi się od niego należało. Bo lubo mi nazajutrz powiedział poczciwie, ilem wygrał, nie było jednak pieniędzy, aby mnie zapłacić; dlatego musiałem wléźć w tę zastawę i oto siedzę i dobrze mi z tém. Byłoby mi jeszcze lepiéj, gdybym się nie musiał był opłacić temu szlachcicowi, co mi pożyczył kontusza i na swym wózku woził. Oj drogo wziął za tę furmankę, poganin! Ale wy będziecie grać, dobrodzieju, w maryasza, wszak prawda?

— Chyba o Zdrowaśki — odparł kwestarz, chowając ręce w rękawy habita — albo o jaką jeszcze owieczkę dla konwentu, jeśli mi szczęście posłuży.

— A jeśli ja wygram, to co?

— To ja Zdrowaśki za pańskie zbawienie odmawiać będę.

Gdy się tak umawiali o przedmiot gry, nadszedł zamówiony owczarz i rozstrzygnął wszczętą kwestyę tym sposobem, iż wygrywający za symplę jeden, za dublę dwa kufle piwa wypije.

— Otóż-to widzicie, nie mówił ja wam, jaki to mądry człowiek — rzekł Dodosiński — jak on to dobrze umyślił. Zapewne, że będziem

grać o piwo. — To rzekłszy przywołał chłopaka, kazał mu być pod ręką do nalewania kufli i zasiadłszy z nimi przed sienią pod wystawką grał, śmiał się ciągle na znak radości, jaką mu ta zabawa sprawiała, lecz tymczasem wysychało mu w gardle, bo przeciwnicy jego ani za symplę, ani za dublę przełknąć mu nie dali.

Zadziwi niejednego to wielkie poważanie pana dla owczarza, jakkolwiek można je było przypisać wyższości naturalnego rozumu tego ostatniego; inna przecież jeszcze była téj zażyłości i przyjaźni przyczyna. Pan Walenty był w saméj istocie bardzo mądrym człowiekiem. Bo wkrótce po objęciu przez Faustynka wsi, w któréj on od lat kilku z swoją beczącą gromadą się żywił, poznał słabość głowy pana swego, postanowił wziąść go w kuratelę i przydać mu za opiekuna piękną córkę swoją, Salusię. W tym celu przykazał jéj, aby się tak czysto ubierała, jakby codzień święto było, aby odłączone owce, które jéj do pasania poruczone będą, na górce pod gaikiem niedaleko ode dworu pasała, aby za spotkaniem się z panem, nie przepomniała nigdy ukłonić mu się do nóg, i *Niech będzie pochwalony* z przymileniem wymówić.

Ale nie trzeba było téj nauki, bo zalotność, jako dar wrodzony, właściwą jest każdéj kobiecie, która choć w wiadrze wody przekonać się mogła o tém, że ma żywe oczy i twarz, co się podobać może. A nasza panna Salusia nie należała do rzędu pospolitych, zbyt trwale zbudowanych wieśniaczek, i przyznać jéj można było, iż nie zawiodła sławy rodu owczarzy, który zwykle w Polsce z pięknych kobiet słynie. Nadewszystko trzeba ją było widzieć wtedy, gdy stojąc na owéj górce przy swych owieczkach, idącego ku sobie jegomości, to jest, naszego Faustynka, spostrzegła. Wtenczas udając, że go nie widzi, obracała się tyłem w stronę, zkąd przychodził, i wyśpiewywała donośnym głosem piosnkę jaką, poruszając się w miejscu, jakby do tańca iść miała, i kiedy niekiedy tylko okiem na bok rzucając, czy téż jegomość ku niéj nie zmierza. On zaś, skoro tylko usłyszał znane sobie śpiewki, wychodził niby z niechcenia za wrota, oglądał się na wszystkie strony i gdy rozumiał, że go nikt nie widzi, przyśpieszał kroku, poprawiał pasa, uśmiechał się ciągle i nawet myślał o tém, jak z nią rozpocząć rozmowę.

Dnia pewnego, gdy podobną zajęty był wyprawą, umyślił, dla nadania nowego obrotu rzeczy, przestraszyć śpiewającą Salusię, i rozumiejąc, że ona go nie widzi, gdy się o kilka kroków do niéj zbliżył — zawołał: — Oha! oha! wilk! wilk! Salusiu, wilk!....

— Hu! — krzyknęła dziewczyna, zbliżyła się ku niemu i kłaniając mu się do nóg, rzekła: — Co téż to jegomość robi! Owce mi się przestraszyły i oto się rozbiegły; gotowe w dworski wpaść owies.

— To ja je zajmę, Salusiu, i będziesz je musiała wykupić.

— A czémżebym wykupić mogła? proszę jegomości — odpowiedziała odwracając się niby pomięszana.

— Czém? — To rzekłszy rozśmiał się, przyszła mu pocieszna myśl do głowy, ale milczał, bo jéj nie śmiał wyrazić.... Nakoniec po chwili milczenia dodał: — Bo gdybyś ty chciała, Salusiu — i jednym krokiem daléj postąpił. Lecz wtém wpadły owce w szkodę. Zwinna dziewczyna pobiegła za niemi, a Dodosiński stał z wyciągnionemi rękoma w niepewności, co mu przedsięwziąść wypada, i czy powaga jego pozwalała na to, aby z nią razem za owcami gonił. Wracający za pługiem parobek wstrzymał jego popęd i powaga nad zalotnością górę wzięła. — Że też to zawsze.... rzekł do siebie pocichu, ruszył ramionami i wrócił z niechęcią do dworu.

Te i tym podobne sceny drażniły tylko naszego bohatera i wzbudzały w nim uczucia, które mu żałować kazały, że między nim jako panem, a Salusią jako owczarką, tak wielki był przedział.

Pragnąc koniecznie zbliżyć się więcéj z tą, która coraz większe na nim czyniła wrażenie, przypuścił ojca do swego towarzystwa i wysokie o jego mądrości powziąwszy mienie, wychwalał go zwykle przed każdym, jakto dopiéro przed kwestarzem był uczynił. Dlatego także mało dbał o swoję przegraną, a cieszył się z tego wszystkiego, co pan Walenty mądrego rozpowiadał, i śledził w oczach kwestarza, czy on równie wysoko jego mądrość ceni.

Tę tak wesołą zabawę przerwało nagłe psów szczekanie; obrócili się goszczący i spostrzegli przed wrotami podróżnego, który z przechodzącym wieśniakiem rozmawiał. Zwieszona głowa wychudłego konia, na którym siedział, i kurz, którym był pokryty, sakwy z obrokiem i niewielki tłómoczek do siodła przypięty, okazywały, iż z dalekich stron przybywał. Rozmówiwszy się z wieśniakiem, zsiadł z konia, uwiązał go u płota, zbliżył się ku dworowi i pozdrowiwszy grających, rzekł do nich, kłaniając się nizko i zwracając śledcze oko na Dodosińskiego: — A czy zastałem pana w domu?

— Albo co? — odpowiedział tenże z niechęcią. — Czegóż-to chcesz, mój bracie?

— Z dalekich stron przybywam — dodał podróżny z ukłonem — i daleką mam jeszcze podróż przed sobą, a koń już zemdlał i u mnie sił niewiele. Chciałbym was prosić, panie, o nocleg i posiłek.

— Tego się poczciwemu człowiekowi nie odmawia; a jeżeliście takim, to wam na niczém zbywać nie będzie.

— Jestem nim — odparł podróżny — ale na to żadnego wam innego dowodu dać nie mogę, jak moje słowo szlacheckie.

— Toście szlachcicem, panie bracie — rzekł żywo Faustynek zrywając się z miejsca — a siadajcież przy nas na ławie; a ty chłopaku— dodał — odprowadź żywo człapaka do stajni, załóż mu siana za dra-

binę, odepnij kulbakę i przynieś juki do dworu. — To rzekłszy, podał nalaną szklanicę nowemu gościowi, zasiadł przy nim i zapytał, zkądby przybywał, i dokąd jedzie?

— O! to długo o tém opowiadać — rzekł tenże — nie wiem, czyby to was zabawiło. Dosyć wam wiedzieć, że mnie bieda pędzi po świecie, i nie swoja do tego — dodał ściskając mu rękę — ale niedaleki już kres méj podróży. Bo jeśli ten, co z nim mam sprawę, poczciwym jest człowiekiem, to łatwo biedę i wędrówkę moją ukończę.

— A do kogóż wy to zmierzacie? — zapytał Dodosiński.

— Do człeka, który niechcący wiele nam biedy narobił, który nie wiedzieć jak z pomiędzy nas zginął, co go już dawno szukam, ale niezadługo, da Pan Bóg, znajdę.

— Co! co! — rzekł Dodosiński, patrząc się nań ciekawie — co wy mówicie o człowieku, który przepadł, zginął i którego szukacie?

— Cóż was to może obchodzić? Wyście go wszyscy nie znali; bo tak daleko ztąd.

— Nie mówcie tego — rzekł kwestarz. — Ja za kwestą daleko wędruję, a kiedy przyjdzie podróż do innego konwentu odprawić, to się czasem najodleglejsze strony odwiedzi.

— Ba! — dodał owczarz — i człek także nie zawsze na jedném pastwisku owce pasał i u niejednego bywał pana; a dawniéj, póki się człek jednego nie chwycił, próbent był niejednego i wojaczki się zakosztowało, Bóg wié jak daleko.

— Alboż wy-to myślicie — rzekł nakoniec Faustynek — że ja tutaj wzrósł na nogi? Oj, nie, ja także z daleka pochodzę. Mówcie tedy, panie bracie, zkądże przybywacie?

— No, wiécież wy, kędy Łowicz leży? słyszeliście kiedy o tém mieście? — zapytał podróżny.

— Ba, alboż to się tam skopów nie ganiało na Święty Mateusz! — odparł owczarz.

— A czyż-to nasz konwent w Miedniewicach daleko ztamtąd! — dodał kwestarz.

— Co wy gadacie o Łowiczu? — zawołał zrywając się z miejsca Faustynek — toć ja tam przecie byłem....

Tu się zatrzymał trochę i zająknąwszy się, zamiast powiedzenia tego, co miał na myśli, dodał: — *Nieraz.* — A wspomnienie o godności kalafaktorskiéj, które już było na wargach, zniknęło po krótkim namyśle.

— Więc tedy trzeba wiedzieć wam — mówił daléj podróżny, wlepiając złośliwie oko w twarz gospodarza — że ja o mil parę od tego Łowicza dotąd na dworze jednego pana przebywałem.

— Co! co! — zawołał Faustynek — u jednego pana na dworze? A czy nie u pana starosty?

— A tak, u starosty. Aleć-to przecie nie jeden na świecie starosta. Wyście tego pewno nie znali, bo on już umarł.

— A to nie ten — zawołał Dodosiński — bo tamten żył i pił dobrze, kiedym ja....

— Tak, to zapewne był inny — mówił daléj podróżny. — Otóż trzeba wam wiedzieć, że u tego starosty, co ja o nim mówię, służył dawniéj za dworzanina niejaki Faustynek Dodosiński.

Na te słowa zerwał się drugi raz z miejsca nasz gospodarz domu. Zadumienie i największe pomięszanie malowało się na jego twarzy, drżał i wlepiał oczy w podróżnego, chcąc go poznać, a kwestarz zawołał z głośnym śmiechem:

— A cóż za głupie nazwisko *Dodosiński!*

— Czy głupie, czy nie głupie, wszystko jedno — rzekł podróżny. — Dość, że ten Dodosiński przeszedł przez różne koleje, zginął i przepadł zupełnie.

— Nie, nie zginął — zawołał Faustynek, posuwając się ku podróżnemu — ale wy....

— Co wy mnie zaś gadacie, *nie zginął* — rzekł podróżny. — Toć go przecie wszędzie szukali, a gdyby go byli znaleźli, to byliby pewnie powiesili.

Na te słowa zadrżały nogi pod Dodosińskim i usiadł mimowolnie na ławce. Zbladł i drżał cały z przestrachu.

— Ba! — rzekł owczarz — a cóż on takiego przeskrobał? — a spojrzawszy na Dodosińskiego dodał: — Ale cóż się to jegomości stało? Tak jegomość blady, kieby chusta.

— Cóż się miało stać — dodał podróżny — zwyczajnie może kolka jegomości sparła; to zaraz minie. Ale wracając się do tego dworzanina starosty, powiem wam, że teraz nie ma się czego obawiać, bo ja go mogę od wszelkiéj niedoli zasłonić. Wszakże jegomości już kolka nie kole?

— Nie! nie! — rzekł z ciężkiém odetchnieniem Faustynek.

— Ale — rzekł przerywając mu kwestarz — wy coś prawicie wiele, a niceście jeszcze nie powiedzieli.

— I cóż wam mam powiedzieć? to chyba, że ja właśnie tego Dodosińskiego szukam i już blizki jestem znalezienia go, bom się dowiedział w klasztorze, gdzie on był braciszkiem, jak go jacyś nieznajomi porwali i przymusili do tego, aby ślub dawał wykradzionéj pannie; że go za to ścigali; że przez obawę zmienił nazwisko, i że gdzieś osiadł w téj okolicy. Dlatego mam nadzieję, że go znajdę i że mi się da poznać, kiedy to będzie mógł uczynić; bo na to — dodał mrugając na Dodosińskiego — koniecznie sam na sam zemną być musi.

Łatwo pojąć, jakie było położenie Faustynka. Nie mógł żadnym sposobem przypomnieć sobie osoby, która tak dobrze wszystkie szczegóły jego życia wiedziała; przejęty był największą ciekawością i życzeniem dowiedzenia się, co się z jego rodzicami i znajomymi działo, a nie śmiał czynić żadnego zapytania nieznajomemu, bo mu nie dowierzał. Radby był się pozbyć obudwóch gości swoich, z którémi się dopiéro tak dobrze bawił, a lękał się jednakże sam na sam pozostać z nowo przybyłym, i nie wiedząc co począć, siedział jak na szpilkach, mało mówił i nieustannie na wszystkich poglądał, szukając lub oczekując od nich téj dobréj rady, któréj w sobie samym znaléźć nie mógł. Lecz gdy się kwestarz z owczarzem na spoczynek udali, zaczęło się największe utrapienie jego. Poglądając z obawą za odchodzącemi, milczał długo, a gdy ich już widać nie było, nie śmiał jeszcze oka na nieznajomego zwrócić.

— A cóżto? nie poznajesz mnie, Faustynku? — rzekł podróżny, skoro sami zostali. — Przedemną się przecie utaić nie potrafisz. Dobrze ci się widzę, powodzi, i jeśli chcesz, by ci się dłużéj tak działo, to się nie kryj przedemną i zrób, czego po tobie żądać będę: bo inaczéj powiem przed całym światem, kim jesteś, czém byłeś i przez jakie przeszedłeś przypadki; a wtenczas skończy się państwo twoje, i kto wié jeszcze, co się z tobą stanie. I cóż, nie przypominasz mnie sobie?

— Nie, dalibóg nie! — odparł ze strachem Dodosiński, nie wiedząc jeszcze, czy ma ufać mówiącemu, czy się go obawiać.

— Ja jestem Srokosz — rzekł podróżny — dawny dworzanin starosty, ten sam, który tobie na weselu assystował, który ciebie....

— Co, pan Srokosz! — przerwał Dodosiński, pobiegł do niego i uwiesił mu się u szyi. — A to wasan tak gadaj przecie! To wasan doprawdy jesteś ten sam pan Srokosz! A toć mi wasan powiedz przecie: co się tam u nas dzieje? jak się ma tatynek i matynka moja? co pan starościc porabia?

— Co się z twoim ojcem i twoją matką dzieje, tego nie wiem, ale co pan starościc, to przez ciebie w ciężką wpadł biedę.

— Przezemnie? A cóżem ja mógł przewinić? Czyżbym ja chciał kiedy zdradzić dawnego pana mego?

— To się bez twojéj zrobiło wiedzy; słuchaj tylko. Najprzód trzeba ci wiedzieć, czegoś się może i domyślił, że ciebie pan starościc przezemnie właśnie odesłać kazał do owego klasztoru, z któregoś dziwnym zbiegł sposobem.

— Nie gadaj wasan. To-to on mnie kazał wywieźć! Cóżem ja mu nieborak przewinił?

— Nie narzekaj! Czy ci to krzywda? Wszakże ci to na dobre wyszło. Ale słuchaj, co się daléj stało. Podstolina, która miała nie-

pohamowaną złość na starościca, pozwała go o to, że jéj zabił dworzanina.

— Jak-to zabił? — zawołał Dodosiński zrywając się z miejsca. — Toć ja żyję przecie!

— Tak, ale tam o tém nie wiedzieli. Zmieniłeś nazwisko, i chociśmy ciebie szukać kazali, trudno było powziąść jaką wiadomość o tobie. Jabym się nawet o wszystkiém nie był dowiedział, gdybym się nie był spotkał przypadkiem ze szlachcicem, który cię znał pod dawném nazwiskiem. Tak się tedy stało, że biedny mój pan, straciwszy ojca swego i z nim cały majątek, nie mógł się podstolinie obronić i dziś w wieży siedzi, cierpi nędzę, kiedy ty, jak widzę, we wszystkiém opływasz.

— Co, kochany mój pan starościc w takiéj biédzie i w takiém utrapieniu! — rzekł smutno Faustynek.

— Tak jest, i ty jeden tylko z tego nieszczęścia wydźwignąć go możesz, wracając do nas, abyś przekonał ludzi, że żyjesz.

— Ja dawno już chciałem wrócić, ale nie miałem jak; a teraz, co Pan Bóg dał człowiekowi kawałek chleba, to znowu żal odjeżdżać od gospodarstwa, od wsi, w któréj tkwią moje pieniądze; od mego zboża, od moich świń, od moich krów i od Salusi.

— Od jakiéj Salusi?

— E, to nic, to ja się tylko wygadałem niechcący.

— Kiedyś się wygadał, toć musi być prawda. Pewnie się zalecasz jakiéj szlachciance z okolicy?

— E, gdzie tam, to nie szlachcianka.

— Tylko co?

— Córka tego owczarza.

— Córka owczarza? A ty niegodny szlacheckiego rodu, ty głupcze jakiś! dla owczarki miałbyś tutaj pozostać? Nie, z tego nic nie będzie.

— No nie, nic. Aleć mi wasan doradź, coby-to zrobić, żeby się i wrócić do swoich i nie stracić moich pieniędzy, mego zboża, moich krów i S.....

— Prawda, szkodaby było tego wszystkiego; ale biedny pan starościc, tego trzeba uwolnić.

— Toć przecież wasan masz rozum, to wymyślisz sposób na to.

— Jużcić jest ten sposób. Napiszesz własnoręczne zeznanie: iż jesteś żyw i cały, i że ci pan starościc żadnéj krzywdy nie zrobił. Poślemy to starościcowi, a ty się udasz do twego wojewodzica i będziesz go prosił, aby ci wrócił twoje pieniądze.

— Otóż-to tak dobrze! — zawołał Faustynek i zaczął ściskać Srokosza, dziękując mu za myśl szczęśliwą. On zaś nie tracąc czasu, usadził Faustynka do pisania, i z wielkim mozołem wymęczył na nim

napisanie żądanego zeznania, i tego samego dnia jeszcze wysłał umyślnego posłańca z tém pismem i listem od siebie do starościca. Dopełniwszy tym sposobem obowiązku względem niego, postanowił pozostać przy Faustynku, aby mu dopomódz w odebraniu pieniędzy od wojewodzica i znaléźć przy nim sustentacyą, póki lepszego pana dla siebie nie wyszuka.

W wieczór dnia tego, gdy się znużony podróżą Srokosz rozciągnął na kilku pękach słomy, obok łożą pana domu dla niego posłanych, i gdy już marzyć zaczynał, obrócił się nagle ku niemu Faustynek i zawołał: — Ale, ale, słuchajcie-no! a jak-to będzie teraz zemną?

— Co takiego? — mruknął Srokosz na pół śpiący,

— Jak-że ja się mam nazywać? czy jak teraz, czy jak dawniéj w domu? czy Sińskim, czy Dodosińskim?

— Sińskim, mruknął Srokosz, bo to nazwisko krótsze było, i łatwiejsze do wymówienia dla usypiającego. A posłuszny nasz bohater pozostał do dalszego czasu przy ostatniéj połowie swego istotnego nazwiska.

ROZDZIAŁ XIX.

S e j m i k.

Już słońce było wysoko na niebie, a bohater nasz zasypiał jeszcze smaczno, pomimo much, które łechtaniem swojém nos jego w mimowolny ruch wprowadzały, pomimo chrapania Srokosza, który na barłogu długie niewczasy swoje niczém przerwać się niedającym snem nagradzał. Lecz do tego jednostajnego mruczenia, które na umyśle Faustynka wrażenie odległego grzmotu czyniło, przyłączył się niespodzianie nadzwyczajny łoskot do nadciągającéj burzy podobny, i huk jakiś tak silnie o jego obił się uszy, iż się zerwał nagle z posłania i z postrachu tak dalece siłę w nogach utracił, że się położył i Srokosza całą massą swego ciała przykrył.

— A to co! — zawołał tenże chwytając go silnie za gardło, tak, że Faustynek odpowiedzieć mu nie zdołał i całéj swéj siły użyć musiał, aby duszącego ręce oderwać. Wtém otworzyły się drzwi szeroko, trzech ludzi zbrojnych weszło do izby, i widząc pasujących się z sobą na ziemi dwóch ludzi, najprzód się ich rozbrojeniem zajęli.

Gdy obaj mimowolni przeciwnicy, klęczący jeszcze na posłaniu, na siebie i na przybyłych gości spojrzeli, osłupienie pewne malowało się na ich twarzach, gdyż nie wiedzieli, czemu się bardziéj dziwić wypa-

dało, czy temu, że się obadwaj dopiéro co za bary wodzili! czy też, że ich jacyś nieznajomi i zbrojni ludzie rozbrajają?

— Któryż z was jest gospodarzem? — zapytał przerywając milczenie jeden z nieznajomych.

— On! — odpowiedzieli obaj, wskazując na siebie palcami: Faustynek z tego natchnienia strachu, które umié rzucać na innego niebezpieczeństwo, Srokosz z wewnętrznego przekonania i zgodnie z prawdą, ale nie bez pociechy, że prawdę miał za sobą.

— Któryż tedy z was dwóch? — zapytał głośniéj nieznajomy — który z was jest panem Sińskim? bo mi tego potrzeba.

— A on! — odpowiedział powstawszy Srokosz, wskazując na istotnego gospodarza domu, którego trwożliwe, a tylekroć już na ciężkie doświadczenia wystawione serce, jakieś nowe nieszczęście przeczuwało, i który, dla drżenia całego ciała, klęczącéj postawy swojéj jeszcze nie mógł porzucić.

— Daléj, śpieszcie się, panie bracie! — rzekł obracając się do niego nieznajomy i podając mu rękę. — Powstańcie i ogarnijcie się co prędzéj, bo nie mamy czasu do stracenia, a wy macie z nami jechać.

Te wyrazy głośno i surowo wyrzeczone, nie przywróciły przytomności Faustynkowi. Lecz pomimo to idąc za nakazem groźnego gościa, brał od niego podawany sobie ubiór, i nie mówiąc i nie wiedząc, co i po co, gotował się do podróży. Srokosz tymczasem widząc, iż się o niego bynajmniéj nie turbowano, a nie przewidując żadnych pomyślnych wypadków z zamierzonéj podróży swego gospodarza, wymykał się powoli z izby, lecz gdy już stał przy drzwiach i odwód dostatecznie miał zapewniony, zatrzymał się trochę, chcąc zaspokoić ciekawość swoję.

— O, weźcie-no lepszy żupan — rzekł nieznajomy — przypnijcie szablę do boku! boć to nie do karczmy, ale na sejmik macie jechać z nami.

— To tedy na sejmik panowie bracia śpieszą? — rzekł Srokosz, który posłyszawszy ostatnie wyrazy, żywo ode drzwi ku nim przyskoczył.

— A cóż-to z was za szlachta! — zawołał nieznajomy — kiedy nie wiécie o sejmiku. My przyjeżdżamy po was od pana wojewodzica, który zbiera silną partyę, aby kazać obrać tego posłem, którego nim miéć pragnie. Jeździmy już od trzech dni po szlachcie, i mamy już trzy drabiniaste wozy pełne braci naszych i kilkudziesiąt tego na koniach. Wszystko tęgie chłopy, rębacze zawołani. O, słyszycie ich jak to krzyczą, hukają i trzaskają. Daléj, śpieszcie się! bo droga daleka, a dziś jeszcze trzeba być na miejscu, aby poprzéć sprawę naszego pana, który ma silnych przeciwników.

— A śpieszcież się co tchu, panie Faustynie — dodał Srokosz

przypinając mu szablinę do boku. — Ja z wami pojadę także, i nie opuszczę was na krok jeden. A gdybym ci był wiedział, że to o sejmik idzie, nie byłbym wam dał spać tak długo.

Tę usłużność i wymowę Srokosza wznieciła nadzieja dawnego już nieznanego posiłku, którą się serce jego na samo wspomnienie sejmiku cieszyło. Dodosiński zaś ochłonął wprawdzie z pierwszego strachu, ale ulegając rozkazom przybyłéj szlachty i pana wojewodzica, gotował się na sejmik, nie wiedząc, po co tam miał jechać, tém przynajmniéj ucieszony, że Srokosza miał miéć przy swoim boku.

Gdy wszyscy z izby przed sień wyszli, przedstawił im się miły dla szlacheckiego oka widok, który przyczynę hałasu, co Faustynka przebudził, dobitnie tłómaczył. Trzy wozy ogromne po cztery konie zaprzężone, napełnione były różnobarwną gawiedzią, u któréj wąsy, karabele i dziurawe buty jedynemi znamionami jednostajności były. W wysoko wysłanéj słomie siedzieli i leżeli w różnym kierunku wyborcy narodowi, którzy śpieszyli do Grodu, aby stanowczym głosem swoim powołać ziomka na prawodawcę swego, nie domyślając się nawet tego, że ich los własny od tego wyboru zależéć może. Wielu z pomiędzy nich zwieszało głowy na piersi i mrukiem tylko na okrzyki towarzyszów odpowiedziało. Patrząc na nich myślałbyś, że o przygodach krajowych rozmyślali, gdyby cię częste ich kiwanie na wszystkie boki nie przekonywało, że zasypiają dzisiaj po wczorajszéj hulance, aby się do jutrzejszéj pijatyki usposobić. Sen ich zapowiadał ten pomyślny skutek, bo się nie dali przebudzić krzykiem sąsiadów swoich, którzy całą siłę płuc i gardła na wykrzykiwanie karczemnych piosenek wywierali.

Byli na wozach i tacy, którzy przypomniawszy sobie dawne urazy o wypaszoną łąkę lub zabranego ze szkody konia, korzystali z pierwszéj chwili bliższego spotkania się z sobą, aby wyczerpać na siebie cały zapas dobitnych wyrazów, wzajemną niechęć wydających. Szczęściem, jeżeli się każdy z nich na innym wozie, albo przynajmniéj na przeciwnych końcach jednego wozu znajdował, bo wtenczas kończyło się na wyrazach, które krzyki innych nakoniec zagłuszyły. Lecz gdy przypadek zdarzył, że się obaj przeciwnicy blizko siebie na jednym wozie znajdowali, natenczas nie można było spodziewać się, aby na ulatających z wiatrem wyrazach poprzestali. Dlatego téż widziéć mogłeś jednę parę z palcami nawzajem pomiędzy włosami uwikłanemi, któréj głowy bliżéj siebie były, niżby na to stosunki nieprzyjaźni pozwalać powinni; inną widziałeś przeciskającą się pomiędzy szczeblami i ściągającą się pod wóz; inną jeszcze, która korzystając z chwili zatrzymania się wozów, zesiadłszy z nich, zacięty krzyżową sztuką odbywała pojedynek, któremu reszta szlachty z dobytemi szablami towarzyszyła, aby w razie potrzeby słabszemu dać pomoc. Konni próbowali siły

swoich koni, któréj pomimo silnych razów batoga doświadczyć nie mogli, i która się zwykle na wierzganiu uporczywego konia, a czasem nawet na zrzuceniu nielitościwego jeźdźca kończyła.

Faustynek kazał sobie do karabanu zaprządz, i przodkował wozom zajętym przez szlachtę.

Gdy cała ta swarliwa czereda przybyła do miasta, w którém miał się odbyć uroczysty wybór posła na przyszły sejm, nie zatrzymała się przed kościołem, gdzie się ten sejmik odbywał, ale przejechała z krzykiem przez całe miasto i zatrzymała się przed małym domkiem, z którego otwartych okien rozlegał się po rynku odgłos hucznéj muzyki, z przestankami odzywającéj się. Dowódzca oddziału ten sam, który naszego bohatera tak przeraźliwie ze snu wybił, zsiadł z konia, kazał się wszystkim przed domem zatrzymać, a sam wszedłszy do niego, stanął przed obliczem pana swego, który wzniesiony na barkach skupionych przyjaciół swoich, sięgał głową do nizkiego pułapu, i obydwiema rękami wspierał się na głowach dźwigających go gości, aby środek ciężkości utrzymać. — Niech żyje nasz pan wojewodzic! — rozlegało się w różnych tonach po izbie, i chórem i pojedyńczo, w miarę że mniéj już posłuszny język którego z obecnych wraz z innymi z wykrzyknikiem zdążyć nie mógł. Ci, którzy jeszcze mieli nieco siły, byli skupieni we środku izby i kształcili jakby podstawę piramidy, któréj wojewodzic był wierzchołkiem; a ci zaś, których głowy przewagę nad resztą ciała brały, chylili się w różnych kierunkach około téj gruppy jak esy i floresy, któremi ta podstawa ozdobioną być miała.

Z wysokości tego stanowiska poznał wojewodzic marszałka swego, lubo już tylko zamgloném okiem poglądał, i usiłując zwrócić uwagę swoich gości na niego, syknął mocno na znak uciszenia się, i jeszcze mocniéj schwycił za włosy niosących go braci, aby ich uwagę ocucić. Powtórzone przez wszystkich sykanie, na znak uciszenia, rozległo się po izbie w podobnym odgłosie, jak gdy woda ze stawidła wypuszczona raptem na koło młyńskie spada. Ciągnieni przez wojewodzica za włosy schylili się za tym tak wyraźnym znakiem zniżenia głowy, i spuścili go na podłogę tak wolno i łagodnie, aż się potoczył i na stojącém przy ścianie krześle mimowolnie usiadł, zrobiwszy sobie miejsce przez rozpychanie otaczających go osób. A gdy marszałek z drugiéj strony całéj siły pięści i łokci dobył, aby się do pana swego dostać, zrobiło się wkrótce koło, w którém przybyły marszałek przed siedzącym wojewodzicem mógł stanąć, aby mu zdać sprawę z wykonania danych sobie poleceń. Co jednak bez obalania ostatnich ogniw kiwających się esów, floresów, czyli najmocniéj pijanych gości, nastąpić nie mogło, gdyż nogi ich, ledwo parciu głowy oprzéć się mogące, musiały odmówić im pomocy, gdy niespodziane mocne parcie ze środka koła z równowagi ich wyprowadziło.

— Jaśnie wielmożny panie! — rzekł marszałek do wojewodzica, który ani chciał, ani mógł opuścić krzesła mimowolnie zajętego. — Spełniłem jak najdokładniéj rozkazy pańskie i sprowadziłem przed progi jaśnie wielmożnego pana cztery wozy i dwadzieścia koni szlachty, gotowéj spełnić rozkazy jaśnie wielmożnego pana, iść w piekło za nim lub na jego skinienie.

— Toś chwat! — zawołał wojewodzic.

— Wiwat! — krzyknęli goście. — Hej, kielicha! — dodał wojewodzic.—Wypijemy zdrowie mego marszałka, bo za jego pomocą stanie się po woli naszéj. Partyzanci kasztelańscy w łeb wezmą, a my obierzem kogo będziemy chcieli... pereant kasztelańscy!

— Pereant! — krzyknęli wszyscy, i kielich poważnéj objętości okazał się natychmiast w kole wraz z dwoma pachołkami, kolejném nalewaniem i podawaniem onegoż zająć się mającymi.

— Najuniżeńsze składam dziękczynienia jaśnie wielmożnemu panu i waszmość państwu, mnie wielce miłościwym braciom i dobrodziejom — rzekł marszałek. — Ale *ante omnia* wypada braciom szlachcie dać jaki posiłek, aby się nie nudzili na czekaniu i aby nie ostygli w ferworze.

— A wiele ich tam masz? — zapytał wojewodzic przechylając się mimowolnie na krześle.

— Circa czterdziestu kilku, nie licząc w to jeszcze Sińskiego, zastawnika jaśnie wielmożnego pana, który także nolens volens przybył z nami, wraz z jakimciś nieznajomym mi, ale wesołymto warzyszem.

— Dobrze — odpowiedział wojewodzic.—Wystawić szlachcie beczkę piwa i antał miodu, a zastawnika wraz z kompanem zaprosić tutaj. Tego trzeba uczcić trochę; kto wié, na co się może przydać jeszcze.

— Niech się spełniają te rozkazy! — zawołał jeden z obecnych; a my możemy tymczasem puścić w kurs kieliszek za zdrowie marszałka, bo szkoda czasu.

— Zapewne — odpowiedziano, i wykonanie szybko nastąpiło po przyjęciu wniosku.

Kolej jeszcze nie była obeszła, kiedy nasz bohater wszedł do izby wraz z nieodstępnym Srokoszem, którego w téj trudnéj i niepojętéj dla siebie przygodzie, za kotwicę nadziei i ocalenia poczytywał.

— A witaj, panie bracie! — zawołał wojewodzic.—Pijemy tu zdrowie mojego marszałka, proszę do kolei. A któż jest ten brat szlachcic, którego waść z sobą przywiozłeś?

Faustynek zajął się tylko odpowiedzią na pierwszą część téj przemowy, i sięgnął po pełny kielich, który mu podawano, a ostatnie zapytanie zostawił do załatwienia samemu Srokoszowi, odwróciwszy na niego niechętne oko od wina, którego widok go zachwycał, jakby go chciał wezwać do zabrania głosu. Nie trzeba było tego napomnienia

Srokoszowi: wysunął się bowiem naprzód prędzéj, jakby Dodosiński mógł był się zdobyć na odpowiedź, skłonił się nizko, wysunąwszy czapkę z pod lewéj pachy, i machnąwszy nią zręcznie, podniósł się, chrząknął lekko, zarzucił wylotów, namyślił się nieco i rzekł:

Jestem jak szeroki i długi
Na wszystkich panów usługi.
Teraz tylko szlachcic prosty,
Niegdy poeta pana starosty,
Który o łaski panów się stara:
Bo zdatny do wierszy i puhara.

— Dobrze, dobrze! — zawołał wojewodzic. — Dajcie kielich wierszoklecie! Niech nam daléj duby plecie ..

— Wiwat! — krzyknęli wszyscy obecni — jaśnie wielmożny wojewodzic pokonał poetę! wiwat nasz pan wojewodzic!

Nie tracąc miny czekał spokojnie Srokosz uciszenia się gości, i gdy odgłos aplauzu wojewodzicowi wzniesionego słabnąć zaczął, skłonił się i chrząknąwszy rzekł:

Póty się w pokonanych rzędzie nie umieszczę,
Póki miéć będę w ustach język zdrowy jeszcze.
Bo za jego pomocą *carmina pendenda*,
I dobrego *sunt* wina *pocula bibenda*.

Głośny poklask pokrył tę improwizacyę naszego poety. — Dobryś! — zawołał wojewodzic.—Jeżeli waść chcesz, to pozostaniesz przy mnie i będziesz mnie rozweselał. Potrzeba mi takiego, zwłaszcza te raz, kiedy się wybieram na sejm do Grodna. Pojedziesz waść ze mną.

Te słowa przeraziły Faustynka. Zadziwiony i trwogą przejęty na samą myśl, że mu chcą odebrać towarzysza i opiekuna, otworzył usta, jakby chciał co powiedzieć, a oczy to na wojewodzica, to na Srokosza zwracał, jakby się chciał przekonać, czy pierwszy nie żartuje, i czy drugi przyjmie czynioną sobie propozycyę, i na większe utrapienie swoje spostrzegł, iż Srokosz głębokim ukłonem za łaskę pańską dziękował. Nie miał dość śmiałości, aby się odezwać, a gdy się pasował z sobą, czy ma protestować przeciwko zabraniu sobie Srokosza, czy też, będąc pozbawiony jego opieki, wynieść się cichaczem z towarzystwa i niebawem do domu, do owczarza i do Salusi powrócić, ozwał się wojewodzic donośnym głosem, mówiąc:

— Panowie bracia! dłużéj czasu tracić nam nie wypada; bo kasztelańscy mogliby bez nas sejmik ukończyć. Daléj tedy, idźmy śmiało i rozpędźmy ich; a gdy przy nas plac i miejsce szlacheckich obrad

pozostanie, polegam na waszéj życzliwości, że mnie waszym posłem okrzykniecie. Daléj panowie bracia, za mną! — To mówiąc, zerwał się z krzesła, i dobywszy szabli ruszył niepewnym krokiem do drzwi, do których się cała czereda za nim cisnęła, zabierając z sobą odurzonego Faustynka, który *nolens volens* szabli dobyć i w tłumie naprzód postępować musiał. Ten oddział honoratiorum, wzmocniony przybyłą szlachtą zagrodową, ruszył z groźnym krzykiem prosto do kościoła, w którym się sejmik odbywał, a tam wybiwszy drzwi zaparte, wpadł tłumnie, grożąc rozsiekaniem tym wszystkim, coby mu odpór stawić chcieli.

Lecz nie tak łatwe było zwycięztwo, jak się im z razu zdawało. Koło obradujących zasłonione było niezbyt licznym, lecz za to trzeźwym oddziałem szlachty, który w oka mgnieniu dobył szabli i tak dzielnie odparł natarczywość pijanych stronników wojewodzica, iż pierwsi nacierający pierzchnęli po dwóch bokach kościoła, i każdy jak mógł do drzwi kościelnych się chronił. Tym sposobem stało się, iż ci, którzy tył trzymali przy wejściu do kościoła, znaleźli się niespodzianie na samém czele nacierających, i to w położeniu tém niebezpieczniejszém, iż uciekający ich przewódzcy odcięli im rejteradę, zatkawszy sobą drzwi, któremi wyjść usiłowali.

W tém niebezpieczném położeniu znajdował się i nasz Faustynek. Nie mając ani chęci, ani żadnéj pobudki do stoczenia krwawéj walki, chroniąc się od niéj przez to, że się krył za drugimi, niepomału się przeląkł, gdy z nienacka ujrzał naprzeciw siebie przeciwnika z gołą szablą na siebie nacierającego, przed którym się ani na prawo, ani na lewo, ani w tył schronić nie można było. Znając naszego bohatera, wiemy już, iż w gorącém niebezpieczeństwie nabywał rozpaczającéj odwagi i postępował zwykle tak, jak tonący, który się brzytwy chwyta Otrzymawszy lekkie cięcie w głowę, gdy uczuł krew spływającą po czole i nowy groźniejszy zamach spostrzegł, rzucił się silnie na bok ku ławce kościelnéj, a przycisnąwszy całym ciężarem ważnego ciała swego chwiejących się dwóch sąsiadów swoich, sięgnął po proporzec od chorągwi kościelnéj, złamał go, nie mogąc wyciągnąć z kołka, w którym był osadzony, i pozostałą w ręku połową silnie przed sobą machać zaczął. Rozwinięta chorągiew stała się dla niego zasłoną, która go przed nacierającymi zakryła, i plątając się między nimi, zamachy ich próżnemi czyniła. Silne uderzenie na oślep kilku w głowę odurzyło ich jeszcze bardziéj, tak dalece, iż odurzeni cofać się zaczynali. To ośmieliło stronników wojewodzica przy Faustynku stojących; posunęli się żywo za ustępującymi i za przewodem chorągwi ich szyki mięszającéj, razili ich szablami tak dalece, iż się po bokach kościoła rozpierzchnęli i ku drzwiom głównym bocznym korytarzem zmierzali.

Faustynek postępował naprzód w miarę, jak machając chorągwią czuł próżne miejsce przed sobą, a za nim cisnęła się cała czereda,

bądź to ośmielona jego tryumfem, bądź też przerażona tém, iż uciekający bokami ku drzwiom tył jéj wzięli, i naprzód iść przymusili. Gdy tym sposobem trzeźwi sejmikujący pijanym miejsce obrad ustąpić musieli, zaparto drzwi kościoła, i nowe koło obradujących na prędce przed głównym ołtarzem utworzono, które bez dalszego namysłu wojewodzica posłem okrzyknęło.

Nie pojmując wcale wielkości bohaterstwa swego, stał Faustynek pod rozwiniętą chorągwią i ocierał sobie krew, która mu na twarz spływała. Lecz otaczająca go szlachta, po pierwszym okrzyku za wojewodzicem, wydała drugi za nim, mianując go walecznym wodzem swoim i zwycięzcą, i byłaby go hetmanem okrzyknęła, gdyby od jéj wyboru ta dostojność zależała.

Ale ponieważ to nastąpić nie mogło, a przecież się szlachta koniecznie czegoś domagała dla naszego bohatera, zabrał głos wojewodzic, i podziękowawszy panom braciom za życzliwe ich serca i dane dowody niezachwianéj wierności i poświęcenia, dał im uroczyste słowo, iż panu bratu Sińskiemu da niezawodne dowody wdzięczności swojéj; że go zaprasza, aby mu w podróży do Grodna towarzyszył, i że tam wszelkiemi sposobami ku promocyi lub ustaleniu fortuny pomocnym mu będzie.

— Co, co? jak to było? co on o mnie mówił? — zapytał Faustynek Srokosza, który, gdy niebezpieczeństwo minęło, nie omieszkał stanąć przy boku swego przyjaciela, aby choć *in gratiam* téj przyjaźni, część jego sławy na niego spłynęła. Chciał on mu odpowiedzieć i przedewszystkiém doradzić, aby jaśnie wielmożnemu wojewodzicowi za obiecaną łaskę podziękował, lecz głośny okrzyk wiwat! i tłumne ruszenie się wszystkich do odwrotu, a nadewszystko porwanie w górę Faustynka, aby go za niesionym w porządku wojewodzicem w tryumfie z kościoła wynieść, nie dozwoliły mu tego.

Jak okręt na wzruszonych wałach, unosił się Faustynek nad głowami szlachty, i podobny do skoczka na linie, przeginał się z wyciągnionemi rękami na obie strony, w miarę, że z któréj bardziéj upuszczeniem był zagrożony, i za każdém mocniejszém kiwnieniem, które wzbudzało w nim wątpliwość, czy się utrzyma w powietrzu lub legnie na ziemi, wykrzykiwał co siły: — O dla Boga! upuszczą mnie!

Nakoniec uprzykrzyło się przecie szlachcie dźwigać go; a gdy w przodku idący wojewodzica przed mieszkaniem jego z ramion spuścili, Faustynek, choć z daleka jeszcze od niego będący, niespodzianie dostał się na ziemię, i to nietylko nogami, ale następnie i tą częścią ciała, którą się siada, chcący lub niechcący.

— A bodajże was jeszcze! — krzyknął, nie ruszając się z miejsca. — Te poganiny jakże mię oto rozbili, i odbiegli wszyscy odemnie. Panie Srokoszu, a pójdźcież-no na ratunek, dajcież mi rękę! Jakżem się po-

tłukł! — Tak mówił i stękał Faustynek, podnosząc się za pomocą Srokosza.

— E, co tam! To nic nie szkodzi — rzekł tenże.—Idźmy z nimi! bo oni tam muszą miéć jaką gratkę, kiedy tak wszyscy naprzód śpieszą. Pójdźmy!

— Ale czekajcie-no — odpowiedział Faustynek.—Toć powoli, bo mnie boli. A potém powiedzcie-no, co to pan wojewodzic o mnie powiedział? czego on chce odemnie?

— To długo o tém gadać, a tam nas tymczasem odjeść i odpić mogą — rzekł Srokosz, i podpierając Faustynka, pośpieszył za drugimi, a przybywszy na miejsce biesiady, tak się nią zajął i przyjaciela swego dobrze zatrudnił, że się nasz bohater dopiéro nazajutrz po wytrzeźwieniu dowiedział, iż z wojewodzicem na sejm pójedzie. Ale tego dowiedzieć się nie mógł, dlaczego, i po co tam ma jechać.

— Kiedyć tego chcą koniecznie! — rzekł sobie po długiém dumaniu, przy którém nic nie myślał, i poszedł za nowym popędem ślepego losu, który nim zawsze miotał.

ROZDZIAŁ XX.

Góra pod Grodnem.

— Pocom ja tu przyjechał?—mówił sobie Faustynek, przechodząc się z nudów nad wyniosłym brzegiem Niemna, obok zwalisk starożytnego zamku dawnych książąt litewskich, który się wznosił na wzgórzu między parowem a bystrą rzeką, jak czatownia znakomitéj twierdzy.— Co tu z sobą począć tymczasem, kiedy oni tam wszyscy swarzą się nie wiedzieć czego na sejmie? Miasto jakby wymiecione, wszyscy się przysłuchują gadającym lub sami gadają. A niech was tam! — Tak sobie mruczał daléj Faustynek i plunął głośno przy ostatnim wyrazie, bo go nudota opanowała podczas sessyi sejmowéj, która była celem ciekawości całéj publiczności grodzieńskiéj, z powodu że miano przedstawić na niéj często za panowania Augusta III powtarzaną scenę zerwania sejmu.—Mieli coś zerwać i rozpędzić wszystko, a tu się swarzą a swarzą, i nigdy temu końca nie ma— dodał jeszcze Faustynek otwierając usta tak szeroko, jak ów wieloryb, co Jonasza połknął; bo ziewał głośno, wyciągał ramiona nad głowę w lewo i w prawo, podobnie jak dzisiaj telegrafy poruszenia znudzonych ludzi podrzéźniają. Następnie obrócił się i zwolna w półkolu poprowadził oko po odległéj okolicy, która przed nim malownicze swe widoki rozwijała.

Ktoby był patrzał na niego z daleka, mógł był rozumieć, że to człowiek zdolny przejąć się pięknością przyrodzenia, który pogląda na ziemię i niebo, aby po jednéj wspomnienia, a w drugiém szukać nadziei. Gdy zwrócił oko ku południowéj stronie, zdawało się, że gubił wejrzenie w zakręcie bystréj rzeki, która z pod stóp wzgórza, ciemnemi sosnami pokrytego, pędzi jasne nurty swoje i przyjmuje po drodze odbijające się w nich obrazy, to lasów, to kościołów i nizkich chat przedmieścia; to gmachów i ogrodów książęcych, to żywych kolorów, któremi przyrodzenie drzewa i doliny pokrywa, i białych lub okopconych murów ręką ludzką nad brzegiem rzeki wystawionych. Jeżeli posunął daléj wejrzenie i spojrzał wprost przed siebie, miał widok odległych pagórków, gajami pokrytych, a między zielonemi błoniami żółte kłosów niwy i bielące się piasków pasma, które się rozciągały aż do nizkich z tamtéj strony brzegów Niemna. Lecz wzrok jego najdłużéj zabawił u samych stóp góry, na któréj stał właśnie, gdzie płytsza bliżéj brzegu rzeka z lekkim szumem płucze kamienie, dno jéj pokrywające i sterczące nad wodą. Tam mięsza się ze spławnemi nurtami cichy i wązki strumyk, samém dnem parowu do Niemna śpieszący, a spadzisty brzeg przeciwległy, staremi lipami pokryty, dźwiga na grzbiecie starożytny kościołek, do którego pobożni snują się z modłami swemi po wszystkich ścieżkach góry, to raz się okazują na pochyłości, to się kryją w załamkach, lub w cieniu gęstéj krzewiny.

Ale nasz Faustynek nie patrzał ani na gaje, ani na wzgórza, ani na chaty, ani na pałace. Gdy poglądał ku łękowi rzeki, śledził pilnie lotu kilku dzikich kaczek, które bezpiecznego szukały koczowiska; gdy przed siebie patrzał, zwróciły uwagę jego krzyki żydowstwa kąpiącego się z tamtéj strony rzeki; a gdy ciekawie poglądał w miejsce, gdzie parów dwie góry od siebie oddziela, zajęły go konie do pojenia i pławienia przywiedzione, których rżenie po całéj rozlegało się okolicy.

Gdy i to widowisko razem z napojonemi i wypławionemi końmi z oczów jego znikło, ziewnął raz jeszcze do całéj okolicy i z wolna bez żadnego zamiaru na dół zeszedł. Tu się nawinęła nowa kwestya, równie trudna do odgadnienia, jak ta, od któréj się ten rozdział zaczął: — *Po com ja tu zeszedł?* — pomyślał sobie Faustynek, będąc na samém dnie parowu, i posuwając się daléj nad brzegiem rzeki, szedł wydeptaną ścieżką niechcący na górę, zapewne dlatego tylko, aby stanąwszy na jéj wierzchołku, mógł się znowu zapytać siebie samego: — *A po co ja tu wlazłem?*

W późniejszéj kolei życia swego mógł był Faustynek odpowiedzieć sobie na te wszystkie pytania, bo jak jego przyjazd do Grodna, tak zejście do parowu, a tém bardziéj wchodzenie ścieżką na górę, miały nader ważny wpływ na całe życie jego, i zaraz się okaże, iż nie po to

szedł pod górę, aby wszedłszy zapytał się siebie samego: — *Po com ja tu przyszedł?*

Na pół bowiem drogi, gdy uczuł, że znośniéj było włazić na spadzistą górę, jak iść po prostéj, i gdy stanąwszy nieco, aby nowych sił nabrać, myślał nad tém, czyby nie lepiéj było wrócić się na dół, jak iść daléj pod górę, usłyszał przeraźliwy krzyk niewieści, potém szelest toczących się z góry kamyków, nakoniec ujrzał coś białego prosto na siebie z pomiędzy nizkich krzewin wypadającego, i chciał się właśnie usunąć z drogi, gdy przerażona i wybladła kobieta wpadła na niego, tak, że nim mocno o pień wyniosłéj lipy uderzyła, a sama w jego objęciach ocalenie znalazła. — *O dla Boga!* — krzyknął nasz bohater silnie o drzewo pchnięty, i całym ciężarem dosyć poważnéj niewiasty do niego przyciśniony, i chciał się właśnie wydobyć z pomiędzy drzewa i białogłowy, aby się jednego i drugiego sąsiedztwa pozbyć, lecz dama nie władała sobą i w omdleniu głowę swoję na ramieniu jego sparła.

Nie można było jéj wypuścić z rąk, raz dlatego, iżby wtenczas po prostu na ziemię upadła, a ztamtąd mogłaby się jak kamyk aż do rzeki potoczyć, drugi raz, że nie tylko nie było w tém nic nieprzyjemnego trzymać w objęciu damę pięknie ubraną, niezbyt starą jeszcze, i niekoniecznie brzydką, ale, że nawet pewne miłe uczucie przejmowało całą istotę Faustynka pod ciężarem wdzięków, które mu tak niespodzianie w ręce wpadły. Dlatego też stał w miejscu, trzymał omdloną silnie, oglądał się na wszystkie strony, czy mu kto w pomoc nie przyjdzie, i kiedy niekiedy zwracał oczy na zasnute powieki, które mocne czarne brwi wieńczyły, i na kark śnieżny, ciemnemi pierścieniami rozpuszczonych włosów pokryty; a w tém spojrzeniu malowała się razem jakaś wewnętrzna uciecha i pewna obawa, czy było godziwém, podobnie, jak kiedy kto przez dziurkę od klucza albo przez szparę u drzwi pogląda na to, czegoby widzieć nie powinien dlatego samego, że drzwi są zamknięte.

Co-to było, i co się daléj naszemu Faustynkowi przytrafiło, to we własnych słowach jego czytelnikowi udzielić musimy.

W parę godzin po tym wypadku, widziano zadyszanego i nadzwyczaj zajętego, jak biegł przez ulicę Grodna, wpadł do mieszkania wojewodzica, zapytał się o Srokosza, a gdy go nie zastał, jeszcze prędzéj powrócił na miasto, i z domu do domu przebiegał, gdzie tylko muzyka grzmiała, lub dworszczyzna z półmiskami lub kuflami się uwijała, pewnym będąc, że w którym z nich swego przyjaciela zastanie. Lecz ten ze swojéj strony troskliwym będąc o pupilla swego, który przeciwko zwyczajowi na godzinę obiadową do domu się nie stawił, wyszedł go także szukać i opisując go każdemu, pytał się przechodniów, czyby Faustynka nie widzieli? Tym sposobem doszedł aż do owego wzgó-

rza, na którémeśmy naszego bohatera zostawili, i gdy właśnie od dziadka kościelnego dowiadywał się, że jakaś wielka pani, idąc do kościoła chybiła ścieżki, zesunęła się na dół i byłaby się mocno potłukła, albo nawet zabiła lub utopiła, gdyby ją człowiek do szukanego podobny nie był zatrzymał i uratował; w téj właśnie chwili obił się o jego uszy głos Faustynka, który przyłożywszy obie dłonie do ust, z całéj go siły z przeciwległéj góry wołał.

Wybiegł Srokosz z gaju na dół parowu i odezwał się Faustynkowi, który chcąc pośpieszyć ku niemu, zapomniał o spadzistości góry, puścił się prosto na dół i prędzéj nawet, jak sobie życzył, nie nogami, lecz całą okrągłością ciała swego, pędem toczonéj beczki całą górę przebył i odurzony, kurzem pokryty, u nóg biegnącego ku niemu Srokosza się zatrzymał.

— Cóż wam się stało? — zawołał — czyście się upili? — Widać było po krztuszeniu się i wypluwaniu, że Faustynek chciał mu pilno odpowiedzieć, lecz usta jego zbyt jeszcze były pełne piasku, który w kulanéj podróży nazbierał, i głowa zanadto jeszcze zmąconą, aby mógł cośkolwiek wymówić. — No, podnieścież się przecież — dodał Srokosz i dźwignął go do góry; a on wśród częstego jeszcze spluwania i przecierania zasypanych oczu, pojedynczemi wykrzyknikami: — Oj! Aj! Tfu! — przytomności oznaki dawał. Nakoniec odchrząknął mocno i zdołał przecież wymówić: — Oj, gdybyście wiedzieli!

— No wiem, żeś uratował jakąś panią.

— Tak — tfu! uratowałem, ocuciłem — tfu! odprowadziłem do domu — tfu! bo ona była — tfu!

— Jaka ona?.... Cóż wam się dzieje, cóżeście taki zapérzony?

— Co mi się dzieje? — tfu! tfu! Ten przeklęty piasek w gębie. Co mi się dzieje? A, ja ledwo nie oszaleję z radości — tfu! tfu! bo-to była ona.

— Ona, ona! ale co za ona?

— No, z naszych stron z pod Łowicza — tfu!

— Kto z pod Łowicza?

— Moja dawna pani.

— Co, pani podstolina?

— A jużci. Bom ją poznał, a ona mnie nie poznała.

— Podstolina? A ona tu co robi?

— A no, spadła z tamtéj góry tak niby, jak-to ja z téj, tylko, że się nie toczyła po ziemi, ale biegła rozpędzona prosto na mnie, a ja ją ścisnął, ot — tak!

— I czegóż mnie tak ściskacie, toć się mogę przecież domyśléć, jak-to było.

— A jak mi wpadła w ręce, to zemdlała; a ja nie wiedząc co robić, trzymałem ją, póki ludzie nie przyszli. A potém się ocuciła, i jak

otworzyła oczy, tom otworzył gębę, bom się nie mógł pomiarkować, zkąd się tu w takim dalekim kraju, ni ztąd ni z owąd, pani podstolina wzięła.

— Ona się bardziéj powinna była dziwić, że ciebie tu widzi.

— Eh, gdzie tam! kiedy mnie sobie wcale nie przybaczyła. Nazywała mnie panem, dziękowała mi grzecznie, kazała się pod rękę prowadzić, uśmiechała się po drodze, rozmawiała bardzo łaskawie zemną, dopytywała się, co ja za jeden?

— No i cóżeście powiedzieli na to?

— I cóż miałem mówić? ni to, ni owo. Albo ja wiem, jak jéj miałem powiedzieć: czy jak było dawniéj, czy jak teraz? Czy trzeba było skłamać, albo prawdę powiedzieć? A potém, czy ja wiem, co ja tu znaczę? pocom tu przyjechał?

— Jakżeście się tedy wywinęli z tego wszystkiego?

— Ni tak, ni sak. Jąkałem się: to chciałem jéj wszystko powiedzieć, to potém pomyślałem sobie, że nie mogę, i na tém się skończyło. Ale gdyśmy przyszli do jéj mieszkania, raz jeszcze mi podziękowała, wzięła mię za rękę, ścisnęła serdecznie i prosiła, abym ją odwiedził.

— Czy też się nie mylicie? czy pewni jesteście, że to była podstolina?

— Ba! jakżebym jéj nie miał poznać!

— Co się to wszystko znaczy? Wiem na pamięć wszystkich z Korony, którzy do Grodna przybyli, alem ani słowa o niéj nie słyszał. Trzeba to wyjaśnić.

To rzekłszy, wrócił do domu ze swoim towarzyszem, który się przez cały dzień nie mógł uspokoić po nadzwyczajném zdarzeniu, którego był uczestnikiem.

Trzy dni upłynęło od owego wypadku na górze pod kościołem, który tyle niespokojności naszego bohatera nabawił; a Srokosz nie pozwolił mu był jeszcze odwiedzieć powtórnie ocalonéj damy, lecz sam za to, udając się za dworzanina jego, przebywał w jéj domu, dowiadywał się niby od pana swego o stanie jéj zdrowia, aby przytém mógł znaleźć sposobność widzenia jéj i przekonania się, iż się Faustynek nie mylił. Powziąwszy dokładną w téj mierze wiadomość i przekonawszy, się, iż to była w saméj istocie podstolina, postanowił zemścić się na niéj krzywd, jakich biedny Wacław od niéj doznawał, i niebawem się zajął wykonaniem wielkiéj myśli swojéj.

Trzeba mu było do tego pohamować niecierpliwość Faustynka, który czwartego dnia koniecznie się do podstoliny wybierał, i kładąc się spać, zapowiedział Srokoszowi, że nazajutrz niezawodnie attencyą jéj swoję odda. Ten właśnie tego nie chciał, i obudziwszy się bardzo rano, cichuteńko się podniósł z posłania, zabrał buty i czapkę swemu towarzyszowi i poszedł do przyległego mieszkania wojewodzica, czekać aż się pan obudzi, aby mu zamiary swoje objawić i pomocy w ich wykonaniu błagać.

Już był kilka razy ziewnął głośno wojewodzic, jakby na pożegnanie snu, który go opuszczał. Duży wyżeł, który zawsze sypiał przy jego łożu, podniósł się, przeciągnął i obrócił do pana ruszając ogonem, potém poszedł do drzwi i zadrapnął dwa razy na znak, że go miano na dwór wypuścić. Drapanie psa i ziewanie pana, ucieszyły zniecierpliwionego już Srokosza; powstał, poprawił pasa i czupryny i pośpieszył wyświadczyć wyżłowi przysługę, która miała nastręczyć sposobność przedstawienia osoby swojéj obudzonemu panu.

— Hej, który tam jest? — zawołał tenże; gdy Srokosz drzwi uchylał, dodał spostrzegłszy go: — Co to? Waść tak rano! A co go tu sprowadza?

— Zawsze jedna chęć przysłużenia się jaśnie wielmożnemu panu — odpowiedział Srokosz z ukłonem.

— Ej, waść czegoś potrzebujesz, bobyś mi tak nie nadskakiwał naprózno. Wszakżem zgadł?

— Chcę jaśnie wielmożnego pana rozweselić.

— Aby potém co odemnie wyłudzić?

— Nie, bynajmniéj: aby się na kimś pomścić krzywdy dawnego pana mego.

— Waść wiész, że ja nie lubię wdawać się w obce sprawy, ani komu dokuczać, co mi nic nie winien.

— Tu nie idzie o dokuczenie, tylko o żart niewinny, o podejście jednéj pani, która nam kiedyś bardzo dokuczała. — Tu opowiedział Srokosz dawne zatargi podstoliny z Wacławem, których najprzód nasz Dodosiński, a potém on sam padł ofiarą; wyjawił tajemnicę nazwiska Faustynka i jego dziwnych przypadków, i potém tak daléj mówił:

— Otóż-to sama pani podstolina, która najprzód chciała opanować sobie za męża mego dobrego pana starościca, a potém przez proces do wieży go wsadziła za zabicie, jak ona twierdziła jéj dworzanina, a tego samego Dodosińskiego, co dziś jaśnie wielmożnemu panu ma zaszczyt assystować — taż, mówię, pani podstolina znajduje się tutaj pod zmyślonem nazwiskiem, i dziwnym trafem prawdziwie w ręce naszego Faustynka wpadła.

— Ale pocóżby miała przybierać zmyślone nazwisko? — zapytał z ciekawością wojewodzic.

— Nie była nigdy lubioną od młodzieży naszéj — odpowiedział Srokosz: — bo to jest, widzi jaśnie wielmożny pan, hic mulier, a teraz, po surowém obejściu się jéj z panem starościcem, zupełnie się osławiła, tak dalece, iżby w całéj Koronie podobno męża nie znalazła. Dlatego przebrała się inaczéj i przyjechała do Grodna, aby którego Litwina na męża ułowić.

— O, nic z tego nie będzie, panie bracie! — ozwał się żywo wo-

jewodzic. — Szkoda i Litwina dla takiego szatana. Trzeba zdjąć z niéj larwę, pod którą się ukrywa, i roznieść po mieście wszystko, coś mi waść powiedział, ażeby sobie z kwitkiem ztąd odjechała. Wszak waść w tym celu zapewne żądasz mojéj pomocy?

— Nie, jaśnie wielmożny panie, to niedosyć dla mnie. Ja się muszę lepiéj zemścić za mojego pana; jabym chciał, ponieważ tu po męża przyjechała, dostarczyć jéj go, ale tak, coby tego potém całe życie żałowała.

— Chybaby ten mąż żałował, ale nie ona. Kogóż ty tedy przeznaczasz?

— A tego samego Faustynka Dodosińskiego, o którego zabicie mego dawnego pana uwięzić kazała; bo jak go pojmie za męża i z sobą do Korony wywiezie, to nam sama dostarczy najmocniejszy dowód niewinności pana starościca.

— To za śmiało, to się nie uda. Jakżeby nie miała poznać dawnego dworzanina swego?

— Już go nie poznała, bo go w własnym domu jako pana jakiego przyjmowała, wtenczas, gdy ją z niebezpieczeństwa wybawił. Inne dziś nosi nazwisko, zmienił się znacznie....

— Ale zawsze równie głupi, jak dawniéj. W tém się już nie odmieni, a trudno przypuścić, aby się podstolina na tém poznać nie miała, aby go z taką głową chciała za męża.

— O, jaśnie wielmożny panie! głupstwo popłaca u niejednéj kobiety, zwłaszcza u takiéj, co chce przewodzić nad mężem i być panią w domu. Cały sęk na tém tylko, aby Dodosińskiego miała za pana, za bogacza.... a temu jaśnie wielmożny pan łatwo zaradzić możesz.

— A to jak?

— Pozwalając, aby nasz Faustynek używał przez czas niejaki dworu, pojazdów i służących jaśnie wielmożnego pana, tak jakby własnych; aby jaśnie wielmożny pan dla własnéj zabawy dodał mu w potrzebie trochę złota....

— Mniejsza o to, bylebyś mnie zabawił, a na żadne nieprzyzwoitości imienia mego nie naraził.

— A, jaśnie wielmożny panie! Niech się jaśnie wielmożny pan tego nie obawia; a za zabawę ręczę. Boć czyż można wymyśléć co pocieszniejszego, jak Faustynka wielkim panem, i udającego się w zaloty do téj, u któréj dawniéj służył? A jaśnie wielmożny pan będziesz się mógł temu wszystkiemu przypatrzéć, towarzysząc mu kiedy niekiedy w jego miłośnych wyprawach.

— Dobrzeć to jest; ale czy się tajemnica nie wyda?

— O, już-to cały dwór pański i wszyscy panowie, z któremi jaśnie wielmożny pan żyje, muszą wiedzieć wszystko, dopomagać nam i milczéć. Będzie-to konfederacya przeciwko złéj kobiecie.

— Zgoda na konfederacyą! Biegaj waść i rób co chcesz, masz wszelkie pozwolenie odemnie.

Skłonił się Srokosz i pośpieszył uradowany do mieszkania swego, odnosząc Faustynkowi buty i czapkę, które w przedsionku był zostawił.

ROZDZIAŁ XXI.

Czterdzieści lat później.

Przepraszam bardzo czytelników moich za *salto mortale*, które teraz uczynię, i za to, że zamiast opowiadania im, co się daléj działo w Grodnie, po konferencyi Srokosza z wojewodzicem, przeskoczę od razu lat czterdzieści kilka, aby prędzéj do końca powieści mojéj trafić, a zarazem jéj początek i źródło odkryć. Przepraszam ich także za to, iż zamiast mówienia im o Dodosińskim vel Sińskim, o podstolinie, starościcu, Srokoszu i o innych osobach, z któremi znajomość zrobili w téj powieści, ni ztąd ni z owąd o sobie samym mówić im zacznę. Lecz wszak dziwactwo jest w modzie, więc i mnie wybaczyć można skoki i dziwactwa moje.

Po kilku latach swobodnego, to jest próżniackiego życia, wśród zabaw z wesołemi kolegami, i do tego za pruskich czasów spędzonego, szczęście czy nieszczęście zrobiło mnie po śmierci najukochańszego stryjaszka dziedzicem kilku dobrych wiosek. Ledwo żem je był objął w posiadanie i nad tém myśléć zaczynał, jak stary dwór przerobić, abym w nim wielu dobrych przyjaciół mógł przyjmować i mieścić, aliści spadły na niewinną głowę moją tysiące kłopotów. Był-to właśnie rok największych przechodów wojsk francuzkich, początkowy naszego księztwa Warszawskiego, którego będąc obywatelem, tém samém i urzędnikiem, to jest wójtem gminy być musiałem. Po słodkiém próżniactwie, trzeba było poświęcić się ciągłym i trudzącym czynnościom: to wypełniać obowiązki oberżysty we własnym domu, przyjmując i żegnając codziennie zbrojnych gości, którzy na popasy i noclegi do mnie przybywali; to uczyć się nowych dla mnie obowiązków urzędniczych, których ostatecznym rezultatem było to, żem jako wójt, sam siebie jako dziedzica ze wszystkiego ogołacał; to nakoniec, czyniąc ofiarę z ambicyi ówczesnym dziedzicom właściwéj, aby dostać zkąd bądź pieniędzy, i aby uprosić włościan, iżby nie wszyscy przecie wioski moje opuścili. Do tego wszystkiego brakowało mi tylko jedne-

go jeszcze kłopotu, to jest procesu. I ten się znalazł wkrótce: bo kochany mój sąsiad osądził, iż to była właśnie najdogodniejsza pora dla niego do rozpoczęcia wielkiéj granicznéj sprawy, przez którą zamierzał odebrać mi połowę gruntów jednéj z moich wiosek, dowodząc, że te grunta do niego należą, dlatego, iż dawniéj do wsi mojéj nie należały.

Przez środek mego pola szła jakaś linia graniczna kopcami oznaczona, a że kierunek jéj był równoodległy linii granicznéj mego sąsiada, wnosił ztąd bardzo naturalnie, że pole moje, aż do owych nieszczęśliwych kopców, jego powinno było być własnością. Gruntując prawa swoje na różnych gwałtownościach za życia zbyt dobrego stryjaszka mego przez siebie popełnianych, zrobił mi proces *in possessorio*, a przegrawszy go, jak się spodziewał, rozpoczął natychmiast proces *in petitorio*, i nauczył mnie znaczenia tych dwóch wyrazów technicznych, które odtąd zawsze przykro brzmią w moich uszach.

Zatrwożony groźnemi wyrazami pozwu, i lękając się licznych świadków, których na poparcie swoich żądań przypozywał, zacząłem myśléć o obronie mojéj własności, i jakkolwiek niechętnie, otworzyłem do spleśniałéj skrzyni z gruntowemi papierami, aby w niéj jakich dokumentów na moję obronę poszukać. Przerzucając między tysiącem szpargałów, na których zawsze te wyrazy: *Actum in Curia* napotykałem, i w których pomimo największą usilność, szukając rzeczy, zawsze zbłądziłem w labiryncie tytułów, nazwisk i czczych formalności, natrafiłem na pęk papierów osobno zwiniętych, z napisem ręką stryja mego: *Papiery tyczące się Dodoszów.* A ponieważ ta właśnie część pól moich, którą mój sąsiad miał ochotę mi odebrać, nosiła to nazwisko, okurzyłem papiery i zabrałem się do mozolnéj pracy czytania, a raczéj domyślania się, co one zawierają.

Niedługo dotrwałem przy téj czynności, lecz dowiedziawszy się tyle przynajmniéj, iż przed kilkudziesiąt laty owe Dodosze do dóbr mego stryja wcielone zostały, umyśliłem zapytać się najstarszych gospodarzy miejscowych, czyliby który z nich lepiéj, niż papiery, całéj téj okoliczności wyjaśnić mi nie potrafił.

Był między nimi siedmdziesięcioletni starzec, który do późnego wieku czerstwość i przytomność umysłu zachował. Powszechnie za najmędrszego poczytywany, zdawał mi się być godnym zaufania, i dla tego udałem się na pole szukać starego Wojtka.

Zastałem go na swojéj roli przy pługu, i powitawszy zwykłém życzeniem: *Szczęść Boże do roboty* — zapytałem — czyliby nie wiedział co mogą znaczyć kopce na mojém polu kiedyś usypane?

— A Bogać tam nie wiem, wielmożny panie — odpowiedział Wojtek, pocmuknąwszy na woły, aby stanęły, i zdejmując czapkę.—Toć to

była część szlachecka i do tego kawał dobrego pola, który nieboszczyk jegomość kupił za pół darmo.

— A od kogo?

— Toć od Dodosińskiego. Dawnoć to już temu, bo ja wtenczas służyłem za fornala we dworze, kiedy on odprzedał tę fortunę nieboszczykowi jegomości.

— A jakże się nazywała ta fortuna?

— Dodosze, wielmożny panie, Dodosze. Toćby to wielmożny pan powinien lepiéj wiedzieć odemnie, boć za polskich czasów była konscendencya i kompromis, i mnie tam wołali i kazali mi przysięgać na to, com powiedział, jak prawda była: że póty, jak te kopce, była granica Dodosińskiego; i to wszystko spisali i nieboszczyk jegomość przykazał nam: — Żeśwa pamiętali, jak to było!—i pochował wszystkie papierzyska, co tam wtenczas podpisali.

— Mam ja te papiery, ale nie wiedziałem, że to była kiedyś wioska. Gdzież tedy były te Dodosze?

— Nie byłać to wioska tylko fortuna szlachecka. Oto widzi wielmożny pan ową gruszkę dużą, co to już przez połowę sucha: ona stała przed dworkiem Dodosińskiego. Wyłatał ci on mi raz skórę za to, żem wlazł na nią po gruszki na ulęgałki; pamiętam ja to dobrze. A to błoto, ojwo za gruszką, co dziś całe tatarakiem zarosło, było sadzawką za dworkiem. A tam, kędy to ten duży kamień leży, stała stodołka Dodosińskiego! lichać ona była, to prawda, aleć bywało i w niéj zboże, kiedy Pan Bóg dał. A tu, kędy kopce stoją, to był las, boć i na całém polu był las, i Dodosiński miał swoje kopce w lesie, ale wyciął on jeszcze wszystko drzewo i wywlókł po trochu do miasta żydom za długi, a nieboszczyk jegomość już tylko same zarośle kupił. Niezła-ć to była fortuna, ale szlachcic był ladaco i marnotrawnik, jéno się wieszał przy panach, a gospodarstwa nie pilnował.

— Więc to on zniszczył ten dworek? czy się też spalił, czy co?

— Bogać tam spalił: nieboszczyk Dodosiński siedział w nim aż do śmierci. Ale jak ci mu syn jego jedynak gdzieś przepadł, to mu najprzód żona umarła, a potém i on sam niedługo za nią poszedł.

— Jakto syn przepadł? Czy zginął na wojnie?

— E, gdzie tam, proszę wielmożnego pana; on ci też właśnie podobnym był na wojaka!.... Tak zwyczajnie, rodzice jego i my wszyscy myśleliśwa długo, że on przepadł, aż on tu znowu się zjawił i był nawet niby panem, ale krótko; a jak znowu nic nie miał, to się potém dopominał swojéj fortuny po rodzicach od nieboszczyka jegomości, właśnie jak gdyby nieboszczyk jegomość nie był wszystkiego zapłacił żydom, u których stary Dodosiński więcéj długów zostawił, niż cała fortuna jego warta była.

— Szkoda, że tu nie masz tego syna Dodosińskiego, boby mi ten mógł wiele dopomódz w mojéj sprawie.

— Jak-to nie ma? A toć on żyje jeszcze, proszę wielmożnego pana, i chodzi po panach z jednego dworu do drugiego, a gdzie przyjdzie, to cały z całuchną fortuną swoją. A panowie mu dają jeść i przyodziewek, i śmieją się z niego i przez drwiny zowią go starostą.

— O gdybym mógł wiedzieć, gdzie on się teraz znajduje!

— Najpewniéj się wielmożny pan o niego dopyta u pana kasztelana, bo kiedy nie wędruje po świecie, to u niego siedzi.

Podziękowałem staremu Wojtkowi za tę tak ważną dla mnie wiadomość, a idąc za jego radą, pojechałem w kilka dni potém do pana kasztelana, o którym mi wspominał. U niego znalazłem więcéj, niż szukałem; bo zrobienie znajomości z Faustynem Dodosińskim, *vulgo* starostą zwanym, podało mi sposobność nie tylko zniweczenia zamiarów mego sąsiada, ale prócz tego materyały do niniejszéj powieści, któréj zakończenie z ust samego bohatera słyszałem i własnemi jego słowami starać się będę oddać.

Pan kasztelan opowiedział mi był ważniejsze wypadki życia Faustynka, i dodał w końcu: — Ale co ożenienie się swoje, to on sam opowiedzieć musi. Każę go przywołać i użyję zwykłego sposobu rozwiązania mu języka, to jest, postawię przed nim butelkę wina, aby mu dodać odwagi i wymowy, dwa przymioty, których nigdy nie posiadał.

Wkrótce stanął przed nami nasz Dodosiński. Był to wysoki, pochyło głowę trzymający, lecz dość jeszcze czerstwy człowiek, sześćdziesiąt kilka lat mieć mogący. Rzadki siwy włos, równo ostrzyżony nad czołem, sam tylko świadczył o podeszłym wieku jego, bo twarz tłusta mało bardzo zmarszczkami pokryta była. Na pierwszy rzut oka poznać można było, że troski, zmartwienia i dolegliwości pożycia, które starość tylu tkliwszych ludzi przyśpieszają, nie wywierały żadnego wpływu na duszę i ciało tego człowieka, który w całém życiu swojém mało czuł, a jeszcze mniéj myślał, i o którego się różne przygody życia, jak wały morskie o twardą skałę, bez żadnego skutku obijały.

Wszedłszy do pokoju skłonił się pokornie, nieśmiało i z pod oka poprowadził wzrok po nas obudwóch, stanął przy drzwiach, rękę w rękę włożył i zaczął ruszać niemi, jakby się umywał, i dla nabrania śmiałości kiedy niekiedy na pułap poglądał. Butelka wina już stała na stole; rzucił na nią okiem wewnętrzną pociechę wydającém, i zwrócił nagle wzrok ku oknu, jakby się tego wstydził. Pan kasztelan nalał trzy kieliszki, co znowu wyraz pociechy na twarz Dodosińskiego sprowadziło, bo ztąd wniósł naturalnie, że jeden ze trzech jemu się dostanie, gdy więcéj osób nie było w pokoju.

— Proszę asana, panie Dodosiński, na kieliszek wina — rzekł

kasztelan, skazując na trzeci nalany, który na stole czekał właściciela. Skłonił się Dodosiński, pochyło posunął się ku stolikowi i zdala nieśmiałą ręką sięgnął po kieliszek; potém skłonił się raz jeszcze, spuszczając drugą rękę ku nogom kasztelana, upił nieco wina i na swoje miejsce ku drzwiom cofać się zaczął.

— Ten pan — rzekł kasztelan, wskazując na mnie — ma interes do asana, panie Dodosiński.

— Do mnie? — zapytał tenże, przerywając sobie nagle drugi łyk wina—które z wolna ciągnął z kieliszka.

— Jest-to dzisiejszy dziedzic Dodoszów, dawnéj fortuny waszéj, miejsca, w którém się asan rodziłeś.

Uśmiechnął się obojętnie Dodosiński i odpowiedział: — Kiedy tego miejsca już nie masz, proszę jaśnie wielmożnego pana.

— Miejsce jest — odparłem — nie masz tylko dworu, w którym się pan wychowałeś.

— Byłać to tylko chałupa — rzekł Dodosiński z uśmiechem podobnym do poprzedzającego. — Nie wychowałemci ja się w niéj, bom z maleńkiego na dworach pańskich i w służbie u paniczów po szkołach przebywał.

— A późniéj się i własny dwór miało — rzekł kasztelan — i pokazał nachyloną butelkę, do któréj się Dodosiński z ukłonem i próżnym kieliszkiem zbliżył — i panem się nawet było; wszak prawda? — dodał nalawszy kieliszek.

— Panem? — odpowiedział z głośniejszym uśmiechem Dodosiński i popił wina. — Nie wiedziéć, jak się to stało, a jak przyszło, tak poszło, proszę jaśnie wielmożnego pana.

— Wypij-no asan ten kieliszek — rzekł kasztelan. A gdy to zlecenie natychmiast spełnioném zostało, nalał trzeci i dodał: — Oto siadaj asan tutaj i opowiedz nam, jak się to stało, żeś został panem.

— E, e—odśmiechnął się głupowato Dodosiński i zbliżył się nieśmiało do stolika.

— Usiądź asan, proszę — rzekł kasztelan — i my siadajmy także. Bardzo lubię słuchać téj powieści. No daléj, mój panie starosto Siński.

— E, wolne żarty pańskie — odparł siadając Dodosiński — ja nigdy starostą nie byłem.

— A żona twoja rozumiała przez czas niejaki, że nim jesteś.

— Moja żona! — odpowiedział poprawiając się na stołku i wychylił kieliszek.—Oj, ta to przewodziła nademną! gorzéj od wszystkich ludzi, co nademną przez całe życie przewodzili.

— Pocóż się było z nią żenić? — rzekł kasztelan, nalewając mu czwarty kieliszek.

— Ale — odpowiedział sięgając śmieléj po niego — albo ja wie-

dział, jak i kiedym się ożenił? Ludzie to zwyczajnie takie psoty mi robili, a zwłaszcza też ten nieboszczyk Srokosz. Co też to był za skóra na buty, proszę jaśnie wielmożnego pana.

— Jakże się to mogło dziać, aby pana kto mimo woli ożenił? — zapytałem.

— E, przed laty to wszystko uchodziło. Kazali, to człowiek musiał. A potém, jak się tu taki chudy pachołek, jak ja, nie miał żenić z panią podstoliną, z panią tak bogatą, kiedy ona wyraźnie chciała człowieka za męża?

— Tak, tak — dodał kasztelan obracając się do mnie. — Jak go pan widzisz, był to niegdyś człowiek niebezpieczny dla kobiet, bardzo od nich lubiony i szczęśliwy w miłości.

— E zaś — odpowiedział Dodosiński — gdzie ja tam kiedy myślał o tém?

— Skromność, skromność, mój starosto — rzekł kasztelan, nalewając kieliszek dla naszego bohatera.—Bądź co bądź, powiedz-no nam, jak to było z podstoliną?

— Jak było? Albo ja wiem! Oto oszukali ją zwyczajnie i mnie wciągnęli do tego, sam nie wiem jak. Pan wojewodzic był to wesoły pan, który miał wiele pieniędzy do stracenia i lubił się bawić. Zachciało mu się żartów, dał mi pieniędzy, dał mi dworzan, dał mi piękną kolasę i kazał mi udawać pana.

— Wiész co, starosto, to były dobre żarty — rzekł kasztelan.

— Ba zapewne.... Teraz tak nikt z człowieka nie żartuje. A wojewodzic, dawszy mi raz pieniędzy, miał prawo rozkazać, a ja musiałem go słuchać, bo inaczéj to był gotów kazać człowieka rozciągnąć na kobiercu.

— Więc to z obawy, aby cię na kobiercu nie rozciągnęli, zalecałeś i ożeniłeś się z podstoliną?

— Z razu robił człowiek wszystko dlatego, że mu tak kazali, a potém jak się człowiek wciągnął, to się też to podobało, i już nie trzeba było ani nakazywać, ani nawet namawiać.

— Ale nam przecież opowiedz porządnie twoje zaloty, mój starosto: jakeś zajeżdżał do podstoliny, jakeś z nią polował. No, wychyl jeszcze jeden kieliszek i opowiedz nam wszystko!

Wypełnił rozkaz kasztelana, stare lica jego pokryły się niezwykłym rumieńcem, większa śmiałość malowała się w wejrzeniu, a odwilżone winem usta weszły w ruch i wymownym go uczyniły.

— Więc tedy, kiedy sobie państwo tego życzą, opowiem im, jak to było.

Otóż to ten skóra na buty Srokosz, jak się namówił z panem wojewodzicem, tak potém udał, że jest moim dworzaninem. Chociaż to ja niby miałem być jego panem, robił ze mną co chciał i mówił nie-

raz, że ja mu coś takiego zrobić kazałem, o czém mi się i nie śniło. I tak poszedł raz, w tém Grodnie, tam na Litwie, jakeśmy tam z wojewodzicem bawili, poszedł, mówię, do pani podstoliny, pokłonił jéj się odemnie i oświadczył, iżbym chciał jéj oddać moję attencyę. Ona téż, licho wié dlaczego, odpowiedziała mu, że bardzoby rada była poznać bliżéj swego wybawcę. Bo trzeba państwu wiedzieć, że jéj się raz noga z góry usunęła i że mi ni ztąd ni z owąd w ręce wpadła, lecąc na dół, gdzie ja stałem. Otóż tak byłem jéj wybawcą, a ona chyba była oczarowana, że mnie nie poznała wtenczas, mnie, com u niéj służył był dawniéj za rękodajnego. Ale cóż było robić? Chciała, więc mnie przybrali w paradny żupan i kontusz, pas dali złotem lity i kameryzowaną karabelę, i choć było blizko do niéj, a człowiek całe życie piechotą chodził, kazali mi wsiąść do poszóstnéj kolasy, u któréj się hajduków nawieszało, a Srokosz przy niéj konno jechał, i tak mnie zawieźli do podstoliny.

Tu dopiéro był strach na mnie i bieda wielka. Bo jak to u licha ciężkiego było udawać pana, kiedy człek był chudym pachołkiem? jak się zbliżyć, jak usiąść przy téj saméj pani, u któréj się dawniéj za drzwiami i za krzesłem stało? jak się komplementować do niéj, kiedy się człowiek nie znał na komplementach? Ha, cóż robić! kazali, więc trzeba było. Jak człowiek raz wlazł do izby, to się już nie można było wycofać. A potém ten przeklęty Srokosz zawsze był tuż przy mnie i nie dałby mi był umknąć z placu, choć mnie do tego ochota brała. On mnie uczył, jak gadać, a kiedy mi się nie chciało kleść, sam gadał za mnie; kazał to stać, to siedzieć, to się kłaniać, to rękę pocałować; dosyć, że się to wszystko tak udało, iż podstolina była kontenta, a ja się nieborak pocił ze strachu i tak się umęczył, gorzéj jakbym cepami był młócił w stodole.

Drugi raz już mi było snadniéj. Jakoś ta podstolina umiała tak omamić człowieka, że nabrał śmiałości; bo te kobiety takie sztuki umieją, że co chcą, to dokażą z nami. Ha, cóż było robić? Byłem u niéj raz, byłem drugi, byłem i trzeci, aż tu rozgłosili po mieście, że się pan Siński do pani podstoliny komplementuje. To była tak prawda, jak to, że ja byłem Sińskim; ale wszyscy tak mówili, więc trzeba było wierzyć. W kilkanaście dni po mojéj pierwszéj bytności u podstoliny, przyszło do głowy panu wojewodzicowi, abym ja wyprawił wielkie polowanie z myśliwskiém śniadaniem dla podstoliny. Ha, cóż było robić? Ja jak żyję na świecie, nie byłem myśliwym, ale kiedy chcą, pomyślałem sobie, to niechże będzie i polowanie, bo wiedziałem, że moja głowa w tém nie będzie i że oni sami wszystko wymyślą, ułożą i zapłacą.

— Tak się téż stało. Srokosz poszedł odemnie do podstoliny prosić ją na wielkie polowanie, które w przyległéj kniei, nad samym

Niemnem położonéj, odbyć się miało. Wyznaczyli dzień i godzinę, naspędzali ludzi, koni i psów; wojewodzic z swoimi przyjaciołmi przyłączył się niby do mnie; zajechaliśmy w ogromnéj czeredzie po podstolinę, która tak jak my, dosiadła konia i z rusznicą w ręku udała się z nami na polowanie.

Z razu było dużo hałasu po kniei; natrębywanie, wycie psów, okrzykiwanie się myśliwców, krzyki naszéj hałastry i rżenie koni, wszystko to rozlegało się daleko i wypędzało zwierzynę z lasu, niemeśmy do niego weszli. Ale boć téż nie szło nikomu o zwierzynę, ani o polowanie, tylko o zabawę: a nadewszystko o drwinki ze mnie i podstoliny, któréj musiałem przedstawić wojewodzica i innych paniczów, jak moich przyjaciół, a ona rada była temu, że tacy panowie zemną żyją, właśnie jakby to tak było.

Po godzinie krzyków i hałasów przypomnieli sobie przecież, że to trzeba zacząć polowanie, i rozstawili wszystkich na stanowiskach, kiedy już oddawna psy były puszczone. Mnie kazali towarzyszyć nieodstępnie podstolinie, i dlatego postawili mnie na jedném z nią stanowisku. Jak dziś pamiętam, żeśmy stali pod wielkim dębem nad łączką, wkoło gęstym krzewem otoczoną, a wszyscy inni rozbiegli się niby po lesie; a ja dobrze widział, że wojewodzic i jego kompania ukryli się w krzakach, aby nas widzieli i drwinkowali sobie z nas. Podstolina była tego dnia, jak na złość, bardzo łaskawa; raz wraz mi podawała rękę do pocałowania i moję ściskała, a ja za każdym razem, com się schylił do tego pocałowania, tom z oka poglądał wkoło na krzaki, czy który nie patrzy. Bo proszę państwa, jak się tu było komplementować, kiedy człowiek wiedział, że na niego patrzą. A podstolina nie domyślała się tego wcale i coraz to była łaskawszą, i Bóg wié nie co mi plotła, tak że mi się w głowie przewracało.

Naostatek znudziła się stać pod drzewem, zaczęła narzekać, że ją nogi bolą, usiadła na murawie pod dębem i mnie przy sobie usiąść kazała. Ha! cóż było robić? Usiadłem, a tam któryś w krzakach parsknął śmiechem, aż się podstolina obejrzała i zapytała, coby to było? Jać wiedział co, alem nie śmiał powiedzieć, i odrzekłem, że nic, albo może jaki zwierz parsknął w gęstwinie, i jak na złość zaspokoiłem ją do tego stopnia, że mnie za rękę wzięła i jakoś na mnie tak spojrzała, jak to tylko kobiety spoglądać umieją. Oj, gorąco mi się zrobiło, bom wiedział że wszyscy patrzą, i sam nie wiedziałem co począć, kiedyć przecież na moje szczęście psisko jakieś natrafiło na zająca i na oko zławiać zaczęło, i któryś palnął i krzyknął: *Patrzaj!* Zerwała się podstolina i ja także, i tak się przecie skończyło.

— Tak się nie skończyło — dodał kasztelan — to dopiéro połowa wypadków owego dnia pamiętnego. No wypijmy jeszcze po kieliszku, aby pokrzepić mowę i pamięć nasza. Wszak prawda, mój Dodosiński?

— Jużci prawda, że wtenczas daleko jeszcze było do wieczora — odpowiedział Dodosiński podając kieliszek, a wypiwszy potém nalany, mówił tak daléj:

— Jak raz psy na zwierzynę natrafiły, tak się zaczęło pukanie do biednego zająca, i to z takiéj blizkości od nas, iż podstolina mogła była poznać, żeśmy nie byli sami na naszém stanowisku. Płoszone ze wszech stron zajęczysko nie wiedziało gdzie się obrócić, i wypadło na łączkę, nad którą było nasze stanowisko. Podstolina palnęła do niego i czy go tam trafiła, czy też który inny strzał go dokonał, dość że poległ na łące po jéj wystrzale. Dopiéroż ja z całego gardła zacząłem wołać:—Na, na!—Ho, ho! a tu się cała czereda wysypała z za krzaków i zaczęła *wiwat* na cześć podstoliny wykrzykiwać za to, że tak dobrze strzela.

Trzeba było sprawić pogrzeb biednemu zającowi i wypić za zdrowie podstoliny. Ztąd wzięto asumpt do śniadania, które było zastawione opodal pod namiotem. Ale to było śniadanie nielada, które się na kieliszku wódki i na kawałku chleba z torby dobytego, tak jak zwykle u strzelca, nie kończyło. Zasiedli wszyscy do stołu, i jedli i pili jedno zdrowie po drugiém, a chwalili potrawy i cukry, marcepany i wino, a do mnie wszystkie obracali pochwały, niby jako do gospodarza; a ja Bogu duszę winien o niczém nie wiedziałem, ale jadłem i piłem, bo mi smakowało, i mówiłem sobie: — Niechże i tak będzie, kiedy chcą koniecznie. Ha, cóż było robić? Choćbym chciał był wyznać podstolinie, że ją oszukują, toby mi się to na nic nie było zdało; a potém miałbym był co słuchać od Srokosza, którego się bałem jak djabła.

Pan wojewodzic kiedy pił, to pił dobrze, i wtenczas wszyscy zarówno z nim pić musieli. Dlatego przedłużyło się nasze śniadanie nad wszelką miarę, i przy kolejnych kielichach zapomnieli myśliwi o polowaniu, i tak się ochoczo pod namiotem bawili, że się słońce już ku zachodowi miało, a nikomu nie przyszło na myśl wrócić do łowów.

Przyznam się państwu, że lubo i ja mogę wypić, jednakże w końcu i mnie zaszmerało trochę w głowie, tak iż siedząc przy podstolinie, nie obawiałem się już tyle, co z rana w lesie, wejrzenia tych paniczów, lubo oni daleko bliżéj nas byli i nie z za krzaków na nas patrzyli. Ale też trzeba wiedzieć panom, że oni w końcu śniadania już tylko jak przeze mgłę patrzeli i że mało mogli widzieć, chociaż z całéj siły oczy otwierali.

Nakoniec sprzykrzyło się podstolinie przy stole; mówiąc, że jéj duszno, wyszła przed namiot, a ja za nią.—Czas będzie wracać do Grodna — rzekła i kazała sobie podać konia, a dosiadłszy go, dodała obracając się do mnie: — Spodziewam się, że mi pan będziesz towarzyszył. — Ha, cóż było robić? Wsiadłem i ja na konia, i to do tego

nie na takiego, na jakim zwykle jeździłem, ale na jakiegoś waryata, którego mi w tym dniu dla większéj parady dali, tak żem się ledwo mógł na nim utrzymać.

Kiedym ja się sadowił na nim, jak mogłem, podstolina ruszyła na swoim z kopyta, ale zamiast do Grodna, w przeciwną stronę, w las. Krzyczę za nią: — Nie tędy — mościa dobrodziéjko!— Eh, gdzie tam, nie słuchała mego napomnienia, a mój waryat koń darł się za jéj koniem, rżał i spinał się, żem się ledwo utrzymał na siodle, a w końcu, kiedy nie pójdzie za tamtym koniem! A panowie! jeszcze mi dziś włosy na głowie powstają! Zapomniałem o Grodnie, o podstolinie, o wojewodzicu i o całym świecie, tylkom myślał, jak się na tym waryacie utrzymać, i jak albo karku z niego nie skręcić, albo głowy na gałęzi nie zostawić. Porwałem go oburącz za grzywę, zmrużyłem oczy, przychyliłem się do szyi jego i leciałem za podstoliną jak szalony, tuż dusza na ramieniu. Przecież po pewnéj chwili stanął raptem, ażem ledwo przez łeb mu nie przeleciał: ale bo i podstolina była zatrzymała konia swego i musiała stanąć, bo przepaść do głębokiego parowu była przed nią. Ani myśléć o tém, żeby na koniu można było zjechać do dna parowu. Zesiadła więc, a ja jéj mówię dopiéro: — Ale mościa dobrodziéjko, nie tędy droga do Grodna. — E, gdzie tam, ani chciała słuchać, i tylko mi odpowiada, że zna lepiéj odemnie te okolice.

Ale jakże będzie z tą górą? jak się tu śpuścić do parowu? jak się przedostać na tamtą stronę? Ba! albo ona na co zważała? Ja w życiu mojém tak odważnéj kobiety nie widziałem. Oddaje konia masztalerzowi, który za nami jechał, każe mu odebrać mojego, oba na drogę do miasta wyprowadzić i tam na nas czekać, a sama podawszy mi rękę, wciąga mnie poprostu do parowu.

Wystawcie sobie, moi panowie, co to był za strach dla mnie! bo góra była spadzista, a tu nie tylko że wieczór zapadł; ale jeszcze jak na złość zachmurzyło się całe niebo, wicher powstał, żem ledwo czapkę mógł utrzymać na głowie, i oczywiście deszcz ulewny wisiał nad nami. Ha! cóż było robić? Ona szła, trzeba było iść za nią. Postępowaliśmy z wolna z kamienia na kamień, tu i owdzie ziemia usuwała się pod nogami; przedzieraliśmy się przez krzaki i chrusty, i już byliśmy blizko samego dna parowu... a tu, kiedy nie łyśnie, kiedy nie zagrzmi, aż mi się mroczki w oczach zrobiły i w obu uszach zaszumiało. — *Słowo stało się!* — krzyknąłem, a ona na to: — Cóż to, boisz się? To łyśnięcie było nam potrzebne, bo oświeciło dalszą drogę naszą. — Piękną drogę, proszę panów! Byliśmy między dwiema górami, w okropnym wąwozie; z obu stron białe urwiska, u wierzchu i w przerwach gęstém drzewem pokryte; na samém dnie niby ścieżka nad jakąś wodą, która między kamieniami płynęła. Ta ścieżka kręto się wiła w parowie i prowadziła gdzieś w las, zapewne na lepsze pastwisko: bo to nie

było nic innego, jak stegna bydła tamtędy przepędzanego. A podstolina szła żwawo naprzód; właśnie jakby wiedziała, dokąd nas to doprowadzi, i mocno mnie trzymała za rękę, zapewne żebym się jéj nie wymknął i nie drapnął. Byłcibym ja tak zrobił, ale dokąd tu było uciekać, kiedy człowiek nie wiedział, gdzie jest i kędy się obrócić?

Wtém, kiedy nie lunie dészcz, ale tak jak z cebra. — Tego tylko jeszcze brakowało — pomyślałem sobie. — Idźmy prędzéj! — rzekła podstolina. — Ale dokąd? — Na to mi nic nie odpowiedziała, tylko biegła coraz żywiéj, mówiąc: — że nam się trzeba schronić przed falą, — tak właśnie, jakby wiedziała, że będziemy mieli gdzie się schronić. Łysnęło się jeszcze gorzéj jak pierwszy raz, a przy tém rozjaśnieniu spostrzegliśmy, żeśmy wyszli na jakieś otwarte miejsce. Była to spora łączka między górami, ale drogi żadnéj. Trzeci raz się łysnęło w tém miejscu, a podstolina rzuciła okiem na bok i rzekła: — Oto schronienie dla nas! — Był pod górą w krzakach jakiś szałas, zapewne przez pastuchów wystawiony, gałęziami i darnią pokryty: poszła ku niemu podstolina i mnie pociągnęła za sobą.... Szukaliśmy schronienia, bo dészcz lał ogromny. Ha! cóż było robić?

— *Speluncam Dido dux et Trojanus eandem*
Deveniunt...

rzekł przerywając kasztelan i dodał, obracając się do mnie: — Pan się domyślasz, że ona była Dydoną, a on Eneaszem. Łatwo się także domyśléć, co daléj nastąpiło, i że sława stugębna, nie ta, która bohaterów opiewa, ale ta, co plotki roznosi, po całém Grodnie wypadki polowania i nader spóźniony powrót Dydony i Eneasza rozgłosiła: że podstolina, nie chcąc doczekać się losu téj nieszczęśliwéj poprzedniczki swojéj, ani wystawić się na przekąsy plotkonośnéj famy, kazała wywieźć z miasta naszego bohatera, i sama za nim pośpieszywszy, w pierwszym kościele parafialnym, ślubnym związkiem się połączyła. Lecz gdy niestety! późniéj w mężu swoim dawnego sługę swego poznała, potrafiła z łatwością wystarać się o unieważnienie swego małżeństwa *propter errorem*, i po nader krótkiém pożyciu odprawiła tego męża jak służącego, tak dalece, iż ów niegdy przez nią do starościńskiéj godności wyniesiony pan Siński, między nami do rodzinnego nazwiska i wrodzonéj sobie nicości powrócił.

Ale na pochwałę jego dodać to muszę, że dobre serce i przychylność jego do dawnego pana, stały się pierwszą przyczyną utraty żony, majątku i znaczenia. Opowiedz nam to jeszcze, mój Dodosiński, jak to było podczas owego spotkania z Wacławem?

— Ha! cóż miało być? zwyczajnie musiało się to raz wydać, że ja byłem ja, a nie kto inny. Bo kiedy podstolina z Litwy wróciła do

Korony i do swoich dóbr zajechała, toć mnie oczywiście między moich zawiozła, gdzie mnie wszyscy znali i gdzie się nie mogłem zapierać, że byłem mną samym.

— Oczywiście, oczywiście — odpowiedział kasztelan. — Ale to podobno najpierwéj się wydało przez starościca Wacława?

— A tak ci, tak. Oto jechaliśmy sobie z Litwy z tą podówczas niby żoną moją. Siedziałem przy niéj w pojeździe jak truśka, i długo pamiętałem na to, że nie trzeba się z niczém wygadać. Ale kiedyśmy wjechali w te tu strony, gdym zobaczył wieże Łowicza i całą tę okolicę, w któréj się urodziłem i wzrosłem na nogi, tak mi się miło zrobiło na sercu, tak mi się dusza radowała, żem dłużéj spokojnie w pojeździe usiedzieć nie mógł; aż mnie się podstolina ustawicznie pytała: coby mi było? i w końcu nawet, czym nie zwaryował przypadkiem?

Gdyśmy minęli Łowicz, przejeżdżamy drogą, ale gdzie? oto koło fortuny starego Dulskiego, tego, com się już miał z jego córką Anielą żenić. Nad samą drogą spostrzegam jakiegoś młodego szlachcica, idącego wesoło za pługiem, przez dobrą parę wołów ciągnionym. Wychylam się z kolasy, patrzę... i kogóż poznaję? Oto pana Wacława, mojego dobrego paniczka. On to był, on sam, on, pan i starościc orał spokojnie i wesoło ziemię, na wiano z piękną Anielą wziętą, bo po ojcu swoim nic nie był odziedziczył, nieborak. A! panowie moi, na taki widok nie mogłem dłużéj dosiedzieć w pojeździe. — Stój — zawołałem na woźnicę, wyskoczyłem z kolasy, pobiegłem do pana starościca i plackiem mu do nóg upadłem; boć to był mój pan, mój dobrodziéj, przy którym się wychowałem. Ale za to, gdym się podniósł, nie było już pojazdu mojéj żony na drodze; a ja, spędziwszy kilka godzin szczęśliwych u pana starościca i u Anieli, poszedłem piechotą do domu pani podstoliny, i niedługo potém piechotą z niego wyszedłem.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

		Str.
I.	Szkoła	9
II.	Rada i wyrok	15
III.	Gościnność	19
IV.	Rodzice	27
V.	Więzień	32
VI.	Niespodziewana łaska	37
VII.	Wyprowadzenie jedynaka w świat	44
VIII.	Przypadek	50
IX.	Nawiedziny	54
X.	Czarownica	62
XI.	Wesele	70
XII.	Ksiądz	76
XIII.	Illustrissimus	87
XIV.	Podstolina chce zemsty	94
XV.	Cyganki	99
XVI.	Nieboszczyk	106
XVII.	Koło chorągwi pancernéj	111
XVIII.	Gość niespodziany	119
XIX.	Sejmik	127
XX.	Góra pod Grodnem	135
XXI.	Czterdzieści lat późniéj	142